

# *Czerwień, Jarzebin*

Opowieść o prawdziwej miłości,  
bez której wszystko  
byłoby niczym.



KATARZYNA  
**MICHALAK**

Katarzyna Michalak



*Czerwień Jarzebin*

**znak** *ltera*  
*nova*

KRAKÓW 2017

*Żyj tak, by po twojej śmierci  
płakano z żalu, a nie z ulgi*

*Katarzyna Michalak*

## ROZDZIAŁ I



Marcin Prado był w siódmym niebie. Impreza, na którą przyciągnęła go Isabella Rotschild – bo tak kazała do siebie mówić: nie Iza, tylko Isabella – ze wspaniałej willi, stojącej tuż nad brzegiem ciepłego morza, przeniosła się do równie wspaniałego basenu, gdzie w najróżniejszych pozach i zestawieniach uprawiali seks młodzi, piękni, bogaci ludzie.

Marcin nie był wyjątkiem. Równie pijany jak wszyscy przed chwilą wyszedł na zewnątrz z kieliszkiem szampana, wyciągnął się na leżaku i pozwolił, by dwie napalone laski zaczęły ściągać z niego ciuchy. Zanim jednak na serio się do niego dobrały, wstał, wziął rozbieg i pięknym łukiem wskoczył do basenu.

Powoli, od niechcienia przepłynął połowę długości, po czym odwrócił się na plecy i leżał nieruchomo, wpatrzony w niebo hojnie usiane miriadami srebrzystych gwiazd.

To było życie...! W takich chwilach nie dowierzał, że udało mu się uciec z piekła. Że spod łóżka zoliborskiej willi, gdzie – zatykając usta małą pięścią – patrzył, jak bestia katuje jego brata, a potem z nory na dalekim Mokotowie, w której jako ośmioletni smarkacz musiał najpierw wytepić pluskwy, by dało się w ogóle żyć, trafił wreszcie tutaj, do rajy na ziemi...

Odetchnął głęboko, słysząc, jak dwie piękne dziewczyny, których imion nie znał, nawołują go z brzegu, i już miał do nich wracać, oddać się ich chętnym dłoniom i ustom, gdy dźwięk telefonu – jakim cudem go usłyszał w huku muzyki, która zagłuszała wszystko inne? – sprawił, że... znieruchomiał.

Chwilę nasłuchiwał, czy aby to nie wytwór jego wyobraźni, ale nie. Ten telefon zawsze nosił przy sobie. Ciuchy cisnął niedaleko basenu i stamtąd dochodziła melodyjka przypisana Patrykowi.

Marcin zacisnął powieki. „Błagam cię, bracie, nie teraz!”, pomyślał, pragnąc zatrzymać tę chwilę szczęścia i bez troski chociaż na parę sekund dłużej.

Telefon dzwonił nieprzerwanie.

Parę ruchów umięśnionymi, opalonymi na brąz ramionami i już Marcin wyskakiwał na brzeg, gdzie natychmiast dopadły go dwie dziewczyny.

Odepchnął je.

– Zaraz wracam – rzucił, owijając się w pasie białym ręcznikiem. – Oj, zamknąłbyś się na chwilę! – mówił, idąc w stronę dzwoniącego bez przerwy telefonu. – Znów jakąś Julię mam ci ratować, będąc na Ibizie?

Wyciągnął komórkę z kieszeni spodenek.

– Czego chcesz? – warknął do Patryka. – Właśnie wyrwałem dwie

napalone...

– Oszczędź mi tego – usłyszał zimny głos brata. No tak, na ten numer nie dzwonił, by wymieniać uprzejmości. Coś musiało się stać, skoro Patryk go użył. – Jesteś trzeźwy czy pijany? – padło pytanie.

– A jak myślisz?! Imprezuję na Ibizie. Tutaj nie bywa się trzeźwym!

– Ale kontaktujesz, więc zamknij się i słuchaj...

Marcin ze zdumieniem spojrzał na wyświetlacz. To naprawdę dzwonił jego brat? Nigdy nie słyszał u Patryka takiego tonu i takich słów, chyba że odwalił jakiś numer, ale tym razem niczego nie miał na sumieniu.

– Gabriela zaginęła – rzucił Patryk. – Kilkanaście godzin temu. Właśnie wyszliśmy od Tamtego. – Tu Marcin poczuł zimny dreszcz spływający po kręgosłupie. – To on kazał ją uprowadzić. Nie wiem, czy skończy się tylko na zbiorowym gwałcie, czy dostali polecenie, by ją zamordować, ale... Wiktor jest w strasznym stanie – dokończył łamiącym się głosem.

Marcin poczuł, że musi usiąść. Zapomniał, gdzie jest, zapomniał, co przed chwilą robił, był teraz tam, na Żoliborzu, razem z Wiktorem i Patrykiem.

– On... ten bydlak... – ciągnął Patryk, a Marcin słyszał po drzeniu w jego głosie, że walczy ze łzami – przyniósł swój pięciopalczasty batog i kazał Wiktorowi na klęczkach błagać o litość dla Gabrieli. Nie mogłem na to patrzeć. Po prostu nie mogłem. Wyciągnąłem Wiktora na ulicę i... Nie wiem, co robić, Marcin. Być może wydałem tym wyrok na Gabrielę, a wiesz, że jej śmierci Wiktor nie zniesie. Znow będzie próbował...

– Jak to znow? – przerwał mu Marcin, czując jak przerażenie unosi mu włosy na karku. – Co Wiktor próbował?

– Po tym, jak Tamten zmiażdżył mu buciorem dłoń, Wiktor próbował... próbował w nocy się powiesić. – Patryk, trzymający w drżącej ręce komórkę, zacisnął powieki.

„Nie teraz! – krzyczał w myślach. – Nie chcę o tym mówić! Nie chcę tego pamiętać!”

\*

Miał wtedy siedem lat. Wszyscy trzej wrócili po północy ze szpitala. Odwiózł ich doktor Braniewski, wyjątkowo wściekły na Kuchtę, że musi milczeć.

Wiktor, z ręką w gipsie, był ledwo żywy z bólu i szoku. Braniewski odprowadził go do drzwi, za którymi bestia już chrapała, schłana do nieprzytomności.

– Nie wiem, jak ci pomóc, dzieciaku – szepnął, przytulając Wiktora.

Ten nie miał siły unieść ręki, by objąć jedyne go człowieka, który był im życzliwy. Chwiał się lekko na nogach, oczy wypełniały mu cierpienie i zupełna rezygnacja.

– Wiesz, że masz wybór? Możecie wszyscy trzej zgłosić się na policję i...

– Wiem – przerwał mu chłopak. – Rozdysponują nas po domach dziecka.

– Może to lepsze niż...

– Może... – W głosie Wiktora brzmiało błaganie, by doktor pozwolił mu po prostu wejść do domu, powlec się do swojego pokoju, paść na łóżko i zasnąć. O ile ból zmiądzzonej dłoni mu na to pozwoli, bo na razie rwała tak, że ledwo powstrzymywał łzy.

– Tu masz tabletki przeciwbólowe i nasenne. Tylko bądź rozważny, to silne leki. – Doktor podał mu niewielką apteczną kopertę. – Pilnujcie brata, chłopcy – zwrócił się do stojących tuż obok bliźniaków.

Marcin poważnie skinął głową. Patryk... zaledwie siedmioletni Patryk... wpatrywał się w twarz Wiktora. Czuł, że coś się w nim zmieniło. Od dwóch lat mniej więcej co dwa miesiące był przez Tamtego katowany. Nie po raz pierwszy wracali o tej porze ze szpitala, dokąd jeździli po pomoc, o ile dyżur miał doktor Braniewski. Jeśli nie, Wiktor nawet nie chciał słyszeć o pogotowiu.

Za każdym razem ledwo stał na nogach, pobity mniej lub bardziej, ale... mimo wszystko w oczach miał życie. I chęć walki. Dzisiaj zaś... Wyglądało, jakby się poddał.

Mały Patryk spojrzał na jego obandażowaną rękę. Gdy Tamten to robił, Wiktor krzyczał. Krzyczał jak jeszcze nigdy. Obaj z Marcinem zacisnęli powieki i zatkali uszy rękami, by nie widzieć, nie słyszeć... W następnej chwili, gdy ten nieludzki skowyt umilkł, wypełzli spod łóżka i zaczęli błagać ojczyrna, by dał już spokój, by nie bił już Wiktora, który leżał nieprzytomny u jego stóp. Tamten odkopnął go i wyszedł.

Marcin zadzwonił pod jeden ze znanych na pamięć numerów, by zapytać doktora Braniewskiego, czy ma dzisiaj dyżur. Patryk klęczał przy bracie, jak zwykle z jego głową na kolanach, i błagał go, by nie umierał. Łzy kapwały na twarz Wiktora, na jego włosy, gładzone siedmioletnią rączką, na posiniaczone ramię. Dziecko patrzyło na zakrwawioną dłoń brata i... mogło tylko bezradnie płakać i głaskać go po włosach.

– Jest doktor – wyszeptał Marcin. – Przyśle po nas taksówkę. Tylko owiń czymś Wikusiowi tę rękę, żeby nic nie było widać...

Ocucili brata – w tym mieli już wprawę – i wyprowadzili go tylnymi drzwiami z domu. Braniewski go opatrzył, podał leki...

Teraz wrócili na miejsce kaźni, równie zmęczeni jak on. Ale w nich obu – Patryku i Marcinie – dopóki mieli przy sobie starszego brata, tliła się iskra nadziei.

„Kiedyś uciekniemy, zabiorę was ze sobą” – tak im przyrzekł. Te słowa pozwalały im wytrzymać krzyki i jęki bitego Wiktora, gdy siedzieli skuleni pod łóżkiem.

Teraz jednak, gdy stali na schodach żoliborskiej willi, mały Patryk widział

to, czego nie dostrzegł doktor Braniewski: coś się w Wiktorze zmieniło. Coś w nim umarło.

Tej nocy Patryk, mimo śmiertelnego zmęczenia, nie mógł zasnąć. Przewracał się w łóżku z boku na bok, aż w pewnym momencie znieruchomiał, czując, jak ciało sztywnieje mu z przerażenia, a gardło zaciska się, dusząc oddech. Nie wiedząc dlaczego, półżywy ze strachu, poderwał się na równe nogi. Cicho, tak by nie zbudzić Marcina, pobiegł do pokoju obok, nacisnął klamkę i zajrzał ukradkiem do środka.

Wiktor... stał przy oknie, zwrócony twarzą ku drzwiom. W ręce trzymał sznur, przywiązany do klamki, który niezdarnie, łkając z bólu, bo nie mógł sobie pomóc drugą dłonią, próbował zarzucić sobie na szyję.

Nagle ręka z pętlą opadła. Wiktor patrzył na stojącego w drzwiach Patryka.

Chłopczyk przez chwilę nie rozumiał, właściwie w ogóle nie rozumiał, co starszy brat chce zrobić. Czuł tylko, że to coś strasznego. Ruszył biegiem. Przytulił się do Wiktora z całych sił. Ten ni to z jękiem, ni ze szlochem opadł na kolana i przycisnął do siebie łkające dziecko.

– Pój-pójdziemy do domu dziecka, tylko nie rób tego – wyszeptał Patryk przez łzy, patrząc w pociemniałe źrenice brata.

On przytulił go jeszcze mocniej.

– Wytrzymam – szepnął.

\*

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – Marcin cedził te słowa dwadzieścia pięć lat później, ściskając telefon tak silnie, jakby chciał go zmiażdżyć. Nienawidził wspomnień z dzieciństwa... Nienawidził bestii, która im takie dzieciństwo zafundowała. Ach, z jaką rozkoszą zacisnęłaby palce, gdyby zamiast w telefon, miał je teraz wbite w gardło Tamtego. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

– Bo nie – uciał Patryk. – Wtedy nie rozumiałem, co Wiktor chciał zrobić. Dzisiaj owszem. I wiem, że teraz wygląda tak jak tamtej nocy. Jeżeli Gabriela się nie odnajdzie albo wyłowią z Wisły jej zwłoki, nasz brat skończy ze sobą... Marcin, do cholery, czy nie mógłbyś wyjść na zewnątrz, gdzie nie słyhać tego łomotu?! Czy chociaż raz mógłbyś się zachować jak dorosły człowiek?! Nie dociera do ciebie powaga sytuacji? Nie rozumiesz, że możemy stracić kogoś, kto...

I w tym momencie Marcin wybuchnął:

– Kurrrwa, Pat! Za kogo ty mnie uważasz?! Jestem na zewnątrz!!! I owszem, zrozumiałem, że jest źle, bardzo źle! I tak, rozumiem, że trzeba działać natychmiast, bo Wiktor się powiesi, a już raz próbował! Gdy tylko skończymy tę rozmowę, poruszę niebo i ziemię, by mu pomóc! Dlaczego we mnie, kurwa, wątpisz?! Wiem, wiem: jestem złotym chłopcem, rozwydrzonym bachorem, tym najgorszym z trzech braci Prado, ale czy kiedykolwiek was zawiodłem?! Moim

życiem jest nasza firma! Nasza zasrana firma, na którą pracowaliśmy wszyscy trzej, a Wiktor najciężej! Na pstryknięcie twoje czy jego jadę tam, gdzie mnie wysyłacie, wrodzonym urokiem i z zębami wyszczerzonymi w uśmiechu uwodzę każdego, kto jest wam potrzebny. Nigdy nie pytacie, czy chcę albo mogę gdzieś jechać, czy nie mam swoich planów, tylko pstryk i marionetka posłusznie leci do Paryża czy Hongkongu. Ale ty, właśnie ty, powinieneś wiedzieć, co się ukrywa za tym uśmiechem, za maską playboya, bo siedzieliśmy pod jednym łóżkiem! Pamiętam każdy krzyk Wiktora, pamiętam świst bata na jego nagich plecach, pamiętam każdą kroplę jego krwi na moich rękach, gdy ciągnęliśmy go półżywego do szpitala, i na twojej piźamie, którą próbowałeś otrzeć mu tę krew z twarzy. Pamiętam, jak po ucieczce ukrył nas tam, gdzie nikt nie mógł nas znaleźć, w opuszczonej norze na krańcach Mokotowa, a potem wracał z roboty tak skonany, że karmiliśmy go niemal przez sen. I zrobię dla Wiktora wszystko – wszystko! – choćbym miał prosić o pomoc złych chłopców z Czeczenii, a wiesz dlaczego? Nie z wdzięczności, choć już to by wystarczyło, ale dlatego, że kocham Wiktora jak brata! Nie. Kocham go, bo jest moim bratem. Jest też najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam, i najbardziej skrzywdzonym przez los. Gabriela, jak się okazuje, chyba jeszcze bardziej. Zrobię wszystko, by odnaleźć ją – niewinną ofiarę Kuchty – dla naszego brata, który przed Kuchtą nigdy się nie ugiął.

Urwał, czując łzy w oczach. Wziął głęboki oddech.

– Przepraszam, Marcin – odezwał się cichy głos po drugiej stronie. – Ale nie patrzysz na Wiktora w tej chwili, nie widzisz, jak...

– A ty tracisz bezcenny czas, którego Gabriela być może nie ma – wpadł mu w słowo. – Musimy ją znaleźć jak najszybciej.

– Ale jak?! Jak odnaleźć zaginioną kobietę, która wyszła rano od przyjaciółki ze szpitala i do tej pory nie dała znaku życia? Policja nawet zgłoszenia o zaginięciu nie przyjmie...

– Daj spokój z policją. I daj mi pomyśleć. Znam kogoś, kto nam pomoże, chociaż będzie to słono kosztowało, ale...

– Pieniądze nie grają roli...

– Wiem przecież. Mamy pieniądze. Na szczęście teraz już mamy. Nie jesteśmy zdani na łaskę tamtego bydlaka. Możemy walczyć z nim jego metodami. Nie wiem, jak szybko zdołam wrócić do Polski...

– Nie wracaj – przerwał mu Patryk. – Pozostań na zewnątrz, w razie gdyby była potrzebna szybka, duża gotówka na okup albo... pomoc tej drugiej, ciemnej strony mocy. Wiem, że ty znasz wszystkich...

– Znam – uciął Marcin. Jego nagle trzeźwy umysł już pracował na najwyższych obrotach. – Wracaj z Wiktorem do hotelu i pozwólcie mi działać. Odezwę się, gdy tylko złapię odpowiedni kontakt. Nie dzwoń i nie ponaglaj mnie. Wiem, że czas ucieka, a każda minuta może być ostatnią dla Gabrieli, mimo to



cierpliwie czekaj na telefon.

– Dzięki, Marcin – usłyszał słowa brata, chyba po raz pierwszy wypowiedziane takim tonem, jakim zwykle Wiktor zwracał się do Patryka, i poczuł ciepło w sercu i łzy w oczach. – Będziemy czekać u pana Antoniego. Z nim też jest bardzo źle...

– Domyślam się – wyszeptał Marcin, patrząc na ciemniejący wyświetlacz.

Nie zważając na nic ani na nikogo i nie słysząc zdziwionego głosu Isabelli, w którym zaskoczenie, że tak nagle, bez słowa wyjaśnienia opuszcza imprezę i tym samym ją, zmieniło się we wściekłość, zgarnął swoje rzeczy, zamknął się w łazience, ubrał i już po chwili – trzeźwy, jakby nie wypił ani kropli – wzywał taksówkę.

Zamelinował się w hotelowym pokoju, gdzie spokojnie mógł szukać tego, kto był im potrzebny, a pół godziny później – bardzo długie pół godziny – spotkał się przy fontannach, gdzie nikt nie mógł go podsłuchać ani nagrać, ze swoją zdecydowanie najbrzydszą i jeszcze bardziej zdecydowanie najinteligentniejszą przyjaciółką, która mając laptop w rękę, potrafiła... wszystko.

Irina – znana w hakerskim półświatku jako X Factor – wysłuchiwała uważnie skróconej historii braci Prado i bestii, która ich „wychowywała”, wysłuchiwała smutnego zakończenia miłości Wiktora i Gabrieli, którą to miłość również zabiła owa bestia, po czym zadysponowała:

– Martin – on za granicą był z kolei Martinem – potrzebne mi będzie zaciszne miejsce z szybkim netem i bez kamer. Takie, które będzie można po wszystkim spalić.

– Spalić dosłownie czy w przenośni?

– W przenośni. Na do widzenia rozpieprzę im całą sieć, za co nie będą ci wdzięczni, więc nigdy więcej się tam raczej nie pokazuj.

– Okej, w moim hotelu będziemy mieli spokój. Co jeszcze?

– Dostęp do komputera któregoś z twoich braci tam, w Polsce. Z systemem Windows.

Marcin uniósł brwi, ale zanotował.

– I ktoś, kto dobrze zna tę zaginioną i rozpozna ją zawsze i wszędzie.

Kiwnął głową. Powie Patrykowi, żeby ściągnął tę przyjaciółkę Gabrieli. Majkę jakąś tam.

– Okej. Łącz się z braćmi, przekaż moje polecenia i zaczynamy.

## ROZDZIAŁ II



Gdy Wiktor z Patrykiem wrócili do domu pana Antoniego, wystarczyło jedno spojrzenie na ich poszarzałe twarze, by starszy człowiek stracił nadzieję.

– Żyje? Powiedz chociaż, że moja córka żyje... – zwrócił się błagalnym tonem do Patryka, zaciskając palce na jego dłoni.

– Zna pan Kuchtę, panie Antoni... – zaczął cicho młody mężczyzna. – Dla niego ta zabawa dopiero się zaczyna. Zamierza dłużej podręczyć i Gabrielę, i nas.

Jako prawnik powinien nieco rozważniej dobierać słowa. Leszeński pobladł, wypuścił jego rękę i opadł na poduszkę. Majka natychmiast przy nim była.

– Mam nadzieję, że go nie zabiłeś tymi rewelacjami – syknęła do Patryka. – Nie mogłeś sformułować tego jakoś łagodniej?! – Chwyciła komórkę i wybrała 112. – Pogotowie? Starszy pan, którym się opiekuję, nagle stracił przytomność. Dziś zaginęła mu córka, już wieczorem czuł się źle, ma chore serce, teraz zaś... Dobrze. Podaję adres... Dziękuję. Czekam.

Gdy sanitariusze wynosili nosze, Antoni na chwilę odzyskał świadomość, odnalazł dłoń Majki i przycisnął do ust.

– Zróbcie dla mojej dziewczynki, co tylko możliwe. I powiadajcie mnie o wszystkim. Dobrym i złym.

– Nie zostawimy pana w tej cholernej niepewności i jeszcze gorszym strachu ani sekundy dłużej, niż trzeba – obiecała Majka. – Przybiegnę, gdy tylko będę coś wiedziała.

Ucałowała dłoń staruszka i ze łzami w oczach patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi karetki, mercedes rusza na sygnale i znika w mroku nocy.

Wróciła do mieszkania. Właśnie dzwonił Marcin z dalekiej Ibizy. Patryk przełączył swój telefon na głośnik, by wszyscy w pokoju mogli słuchać tego, co tamten ma do powiedzenia.

– Potrzebny nam szybki, dobry laptop z Windowsem... – zaczął.

Wiktor, który już nieco oprzytomniał i próbował wziąć się w garść, spojrzał na Patryka bezradnie:

– Obaj mamy apple.

Majka nonszalanckim gestem rzuciła na stół nowiutką, srebrzystą toshibę.

– Proszę bardzo. Z Windowsem.

Marcin mówił coś szybko i cicho do osoby, która mu towarzyszyła. Potem długo słuchał jej wyjaśnień. Wreszcie odezwał się.

– Mój... powiedzmy, że znajomy, znany jako X Factor, włamie ci się teraz do komputera, ale musisz mu w tym pomóc, musisz go sama zaprosić.

– Zapraszam serdecznie! – odparła Majka sarkastycznie. – Zawsze marzyłam, żeby mi haker komputer przetrzepał.

– Dostaniesz mailem link, zalogujesz się i otworzysz program. Tam będzie hasło. Podasz je przez telefon.

Majka wzruszyła ramionami, otworzyła link, znalazła hasło i podyktowała je. Trochę się zaniepokoiła, widząc, jak cyfry i litery zaczynają pojawiać się w okienku „powtórz hasło”, chociaż... nie ona je wpisywała.

Ale zupełnie zapało jej dech w piersiach, gdy kursor – choć Majka nie trzymała w dłoni myszki – drgnął, przesunął się na czerwony prostokąt, podpisany *Let's play*, i... jej komputer przejął haker.

Czując się coraz bardziej nieswojo, patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak ktoś swobodnie porusza się po jej toshibce, otwierając strony, których potrzebował, i ściągając z nich tajemnicze kody czy szyfry. Czyjeś ręce, oczy i mózg zaczęły pracować coraz szybciej, w końcu okienka otwierały się i zamykały w takim tempie, że Majka, ogłuszona tym wszystkim – i widząc to na ekranie własnego laptopa! – po prostu usiadła.

Patryk oparł jej lekko dłoń na ramieniu, jakby dawał znać, że rozumie, co dziewczyna w tej chwili czuje. Posłała mu zboląły uśmiech.

Zgasł, gdy odezwał się Marcin:

– O której Gabriela wyszła ze szpitala? Im dokładniejszy czas dostaniemy, tym szybciej ją znajdziemy...

– Dzwonię do Julii – odparła.

Julia odebrała natychmiast. Zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

– To musiało być jakiś kwadrans przed siódmą rano.

Informacja poszła w eter, to znaczy do chciwych tej informacji uszu, a potem palców hakera.

– Teraz przełączcie ekran laptopa na coś większego.

Podłączyli toshibę do telewizora i nagle tapeta z laptopa Majki – piękny nagi model – znalazła się na znacznie większym niż laptop ekranie. Nikt słowem tego modelu nie skomentował, za co była wdzięczna i braciom Prado, i hakerowi, a najbardziej cieszyła się, że pan Antoni nie musi tego oglądać i się za nią wstydzić. Nie było jednak czasu na takie przemyślenia.

– Teraz uwaga: zaraz dostaniecie szybki zrzut z czterech kamer – odezwał się Marcin. – W przyspieszonym tempie, bo mamy mało czasu. Jeżeli na którymś rozpoznacie Gabrielę, krzyczcie.

Tapeta z modelem zniknęła. Zastąpił ją obraz z czterech szpitalnych kamer. Wiktor i Majka podeszli bliżej. Patryk trzymał telefon. Nie pamiętał Gabrieli na tyle dobrze, by poznać ją po dziewięciu latach...

Obrazki zmieniały się szybko, ludziki na ekranie poruszały się w nienaturalnym tempie. Majka oczopląsu zaczęła dostawać, gdy wreszcie:

– Jest!!! Stop!!! W lewym górnym rogu, ta w błękitnych dżinsach i niebieskiej bluzce to Gabrysia!

„Jak strasznie chciałabym mieć pewność, że tak jak cała i zdrowa wychodziłaś ze szpitala, tak do nas wrócisz”, pomyślała ze smutkiem.

Ekran z Gabrielą powiększył się. Jej twarz, a potem cała sylwetka zostały zeskanowane. Niebieska bluzka dodatkowo jeszcze oznaczona.

– To będzie nasz marker, o ile jej nie zmieni – usłyszeli głos Marcina. – Zaczynamy zabawę.

Jak Majka przed chwilą myślała, że oczy jej wypłyną od zmieniających się błyskawicznie obrazów, tak teraz projekcja nabrała takiego tempa, że nawet nie próbowała za nią nadążyć.

Komputer zaczął sam namierzać oznaczony obiekt, przeskakując z kamery na kamerę. Monitoring miejski pokrywał niemal całe miasto, śledzili więc Gabrielę, jak idzie ulicami Bielan, potem Żoliborza, wreszcie wzdłuż Wisły aż do Starówki. W rzeczywistości taki spacer zajął jej dobrych parę godzin. Na ekranie – zaledwie trzy kwadransy. Jedno bezsprzecznie rzucało się w oczy: Gabrysia była cieniem samej siebie, wlokła się noga za nogą z ramionami zwieszonymi, jakby dźwigała na nich zbyt wielki ciężar, i wzrokiem wbitym w chodnik... Wiktorowi, który chłonał jej widok, serce się krajało. Majce, która powinna była wcześniej zauważyć, w jak fatalnym stanie jest jej przyjaciółka – jeszcze bardziej.

Nagle Gabriela, która dotąd wędrowała najwyraźniej bez celu, wyprostowała się, jakby podjęła decyzję – obraz w tym momencie zwolnił – i weszła na most.

Już nie szła przed siebie jak otępiała. Wszyscy troje widzieli, iż wie, dokąd i po co zdąża. Jej sylwetka zaczęła maleć. Oddalała się od jednej kamery, zamontowanej na początku mostu Śląsko-Dąbrowskiego, i jeszcze nie uchwyciła jej następna. Haker powiększył obraz. Gabriela nagle się zatrzymała. Oparła się łokciami o barierkę i zaczęła wpatrywać w płynącą kilka pięter poniżej burą, spienioną wodę.

Samochody obojętnie mijały samotną kobietę. Nieliczni spacerowicze szli po drugiej stronie mostu, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Tylko ich troje, Majka, Wiktor i Patryk, i dwójka po drugiej stronie telefonu, Marcin z hakerem, wpatrywali się w nieruchomą sylwetkę z narastającym przerażeniem.

– Co ona chce zrobić? – wyszeptała Majka, łapiąc się rękawa Patryka. – Błagam, powiedzcie, że nie ma zamiaru skoczyć.

Mężczyzna objął ją od tyłu, przytulił. Oboje nie mogli oderwać wzroku od ekranu telewizora, na którym Gabriela ponownie pochyliła się nad barierką odgradzającą ją od wolności. Całkowitej wolności...

...bez tabelk, Leśnych Polan i Wiktora Prado.

Znów wpatrywała się w otchłań, a ona wpatrywała się w Gabrielę.

Nagle – widzieli to – coś się w niej zmieniło. Coś pękło. Patrzyli, jak

z zaciętą miną zrzuca z ramienia torbę, chwytając obiema dłońmi za barierkę i...

– Dosyć!!! – krzyknęła Majka, dopadła toshiby i zatrzasnęła ją. – Jeżeli ona skoczy, ja nie będę na to patrzeć! Nie mogę! Nie wytrzymam! Niech ten haker przewinie do przodu i powie, co się stało, to wystarczy, ale ja nie będę oglądać samobójstwa mojej przyjaciółki! Nie zmusicie mnie do tego!

– Majka – rozległ się ostry głos Marcina, głos, który już kiedyś słyszała, ale nie miała głowy się nad tym zastanawiać – otwórz ten cholerny laptop! Będziemy musieli odtworzyć nagranie od początku i zajmie nam to niemal godzinę, żeby za Gabrielą dotrzeć na most, a w twoim komputerze jesteśmy już na miejscu. Otwórz go, słyszysz?!

– Nie ma mowy – rzuciła, ocierając wierzchem dłoni łzy z policzków.

– Majka – usłyszała cichy głos Wiktora – muszę wiedzieć, co się stało z Gabrielą. Oddaj laptop Patrykowi, a my oboje przejdziemy do kuchni...

Drżącymi dłońmi uniosła klawkę komputera. Na ekranie znów ujrzeli Gabrysię, jak wpatruje się, coraz bardziej pochylona do przodu, w bure, głębokie wody Wisły.

– Nie będę na to patrzeć – wyszeptała Majka i wybiegła do kuchni.

Za nią wyszedł Wiktor.

Wtuliła się w niego, a on objął ją mocno ramionami.

Oboje czuli drżenie swoich ciał i wściekły łomot serc. Nie była to miłość, a umieranie ze strachu o Gabrielę.

Czekali, aż Patryk krzyknie: „Skoczyła!” – i...

...zadzwoił telefon.

Stary rupieć z innej epoki, stojący w sypialni, przy łóżku pana Antoniego. W pierwszej chwili nikt nie zwrócił na ten dźwięk uwagi, ale w następnej Majka, która wzięła odpowiedzialność za ojca Gabrysi, zmusiła się, by odebrać.

Podniosła słuchawkę, rzuciła „Halo?” i... oniemiała.

– O, to ty, myślałam, że odbierze mój tata. Coś się stało? – zabrzmiał spokojny, no, pod koniec może nieco zaniepokojony głos... Gabrysi.

Majka zacisnęła powieki, jeszcze nie wiedząc, czy z ulgi, czy z chęci mordy, czy z radości, że słyszy normalny głos żywej przyjaciółki.

– Gdzie ty się podziałas? – zaczęła, cedząc zgłoska po zgłosce, bo zęby szczękały jej tak, że ledwo mogła wyartykułować słowa. Wiktor stanął przy niej i nie tyle położył jej rękę na ramieniu, co po prostu wsparł się na Majce... – Zniknęłaś wczoraj rano, szukamy cię od wielu godzin. Jeżeli my ciebie nie obchodzimy, to chociaż nad swoim tatą mogłaś się zlitować...

– Przecież wysłałam mu wiadomość! „Wyjeżdżam na parę dni. Odezwę się, gdy tylko dolecę na miejsce”. Na pewno odebrał tego esemesa! I nagrałam się na automatyczną sekretarkę!

Majka, nie wypuszczając słuchawki, drugą ręką sięgnęła po starą, wysłużoną

nokię pana Antoniego. Była rozładowana.

– Gabriela... – zaczęła, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Patryk zapytał spojrzeniem, czy ma przejąć telefon, lecz pokręciła głową i wzięła się w garść. – Myśleliśmy, że zostałaś porwana jak dziewięć lat temu! Że Kuchta znęca się nad tobą, a może już jesteś martwa! Dlaczego wyłączyłaś telefon?! Dzwoniłyśmy do ciebie z Julą setki razy! Szukaliśmy cię w szpitalach i na komisariatach policji. Gdzieś ty się, do cholery, podziała?!

– Jestem w Stanach – odparła Gabriela jakimś dziwnym, obcym głosem.

– Jakich stanach?! – Majce odebrałoby głos albo słuchawka rupiecia wypadłaby jej z ręki, gdyby nie czuła w tej chwili takiej wściekłości na Gabrielę, jaką czuła.

– No chyba nie w odmiennych stanach świadomości. W USA. W Ameryce.

Patryk podszedł do Majki, podał jej telefon komórkowy i powiedział bezgłośnie: „My też chcemy to słyszeć”.

– Słuchaj, ty cholerna podróżniczko, masz przy sobie swoją komórkę?

– Przecież z niej dzwonię. I właśnie zaczęły przychodzić esemesy i powiadomienia o nieodebranych połączeniach...

– Bo mówię przecież, że dzwoniłyśmy do ciebie ze sto razy! Teraz się rozłączymy, bo ja przez ten rupieć ze słuchawką i cyferkami w kółkach nic nie słyszę, ale zaraz do ciebie zadzwonię. Tylko nie wyłączaj komórki!

– Musiałam. Podczas lotu – wyjaśniła Gabriela. – Dobrze, oddzwon, bo ta rozmowa zaczyna mnie coraz więcej kosztować.

„Zabiję ją”, pomyślała Majka. Odłożyła słuchawkę i po raz sto pierwszy wybrała numer Gabrieli. Od razu przełączyła też rozmowę na głośnik, by wszyscy, którzy poszukiwali tej niewdzięcznicy, łącznie z Marcinem i hakerem, słyszeli każde jej słowo.

Odebrała po pierwszym sygnale.

– Dlaczego nam to zrobiłaś?! – wybuchnęła Majka przez łyzy, bo nadal miała przed oczami obraz Wiktora i Patryka wracających od Kuchty. Pamiętała też swoje przerażenie, gdy musiała patrzeć, jak Gabriela, którą przecież kochała, szykuje się do samobójczego skoku.

Patryk bez słowa zacisnął dłoń na ramieniu Majki. Była mu wdzięczna za ten gest. Odetchnęła głęboko. Zaczęła jeszcze raz:

– Dlaczego poleciałas do Stanów, nie uprzedzając nas o tym?

– Bo bałam się, że zaczniecie odwozić mnie od tego pomysłu. Jak się okazuje, słusznie się obawiałam – odparła Gabriela cicho.

– Czego?! Niby my, twoje przyjaciółki, będziemy miały coś przeciwko temu, że bierzesz urlop od tablek i lecisz zwiedzać świat?!

– Nie, Majka. Ja nie jestem tu na wycieczce. Stoję, choć po tylu godzinach lotu ledwo stoję, przed budynkiem, w którym mieści się firma Prado Ltd. Tobie to

pewnie nic nie mówi...

– Mówi – wpadła jej w słowo Majka. – Ale kontynuuj.

– Stoję więc przed firmą kogoś, kto... kiedyś był... był mi bardzo bliski. I nadal jest. To jedyny człowiek, którego mogę prosić o pieniądze na Leśną Polanę. Dlatego tu jestem, bo zrozumiałam, że ten dom to moja ostatnia szansa. Muszę, po prostu muszę go mieć.

Wiktor w tym momencie usiadł na wersalce pana Antoniego i przytknął dłoń do oczu, siłą powstrzymując łzy.

Majka za to... parsknęła śmiechem. Histerycznym co prawda, ale śmiechem.

– Widzisz, Gabrina, tak się głupio składa, że ten człowiek, Wiktor Prado, bo rozumiem, że o nim mówisz, jest nie w Stanach, a tutaj, obok mnie. – Usłyszała, jak przyjaciółka wciąga powietrze. – A jeszcze głupiej się składa, że Leśna Polana już dziś, w tej chwili, należy do ciebie. Już ją masz.

– Proszę, nie żartuj sobie ze mnie tak okrutnie – odpowiedział jej szept po drugiej stronie.

– Mówię śmiertelnie poważnie. Kupiliśmy ją dla ciebie. I wiesz, co teraz zrobię? Oddam telefon Wiktorowi. On najbardziej z nas wszystkich chce z tobą porozmawiać. I chyba najbardziej z nas wszystkich ma do tego prawo...

Nie czekając na „tak” lub „nie” Gabrieli, podała komórkę mężczyźnie. Właściwie telefon wypadł z jej drżącej dłoni i spadł w jego rękę.

– Gabrysiu... – zaczął Wiktor i głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Wiktor... – usłyszał szept Gabrieli i jej zduszony szloch. – Dlaczego?

Wiedział, o co pyta, ale...

– Poczekaj na mnie w Nowym Jorku – poprosił. – Chcę ci wszystko wyznać, trzymając twoje dłonie w swoich, patrząc ci w oczy, klęcząc i prosząc o wybaczenie. Przylecę najbliższym rejssem, tylko, błagam, Gabrysiu, kochana moja, nie wracaj do Polski. Pozostań tam, gdzie jesteś, i czekaj na mnie.

– Wiktor...

– Podaj mi numer konta, wyślę ci pieniądze i wynajmę najlepszy hotel, tylko poczekaj na mnie. Tutaj, w kraju, nadal nie jesteś bezpieczna, tak jak nie byłaś dziewięć lat temu.

– Dobrze, poczekam – usłyszał cichy głos i odetchnął głęboko, choć nadal łzy spływały mu po policzkach. Ulga, jaką czuł, wiedząc, że jest cała i daleko od Kuchty, była niewyobrażalna. – Wiktor, musisz wiedzieć... ja nigdy nie przestałam cię kochać.

– Ja ciebie też, Gabrysiu...

– Czekam na ciebie.

– Będę. Przylecę... Kocham cię...

Oboje chcieli coś jeszcze powiedzieć, jeszcze siebie słyszeć, oboje nie chcieli się jeszcze rozłączać, ale Majka, nadal wściekła, wyrwała telefon

Wiktorowi z ręki i rzuciła bezceremonialnie:

– Wszystko ładnie, pięknie, Gabrina, ale my jeszcze ze sobą nie skończyłyśmy. Jeszcze cię zdrowo opierniczę za to, że przybyło mi parę siwych włosów, ale, sorry, muszę teraz odwołać pewnego dobrego ducha, który włamał mi się do komputera, żeby cię odnaleźć, a potem uspokoić twojego ojca, którego zabrało pogotowie.

– Co mu jest?!

– Wszystko z nim okej oprócz tego, że odchodził od zmysłów ze strachu o swoją córkę.

– Nagrałam się na oba telefony!

– Jego nokia zdechła, a ten przedpotopowy rupieć może i miga na czerwono, ale dosyć słabo. Ja na to miganie nie zwróciłam uwagi, więc twój tata tym bardziej, bo może już niedowidzieć. Mówię: my pogadamy później. Wiktor do ciebie przyleci. Leśna Polana jest twoja. Wszystko jak w bajce. Teraz tylko: żyli długo i szczęśliwie...

Patryk odebrał jej nagle telefon i przerwał połączenie.

– Sorry, Majeczka, ale zaczęłaś bredzić – wyjaśnił łagodnie.

– Bo tak się o nią bałam – wybuchnęła łkaniem, wtulając się w mężczyznę. –

I ten most... Byłam pewna, że skoczy!

Gabriela również była tego w tamtej chwili pewna.

I nie do końca wierzyła, że zamiast w Wiśle, znajduje się w Nowym Jorku...



## ROZDZIAŁ III



Gdy Gabriela wyszła ze szpitala, jej jedynym celem było podążać przed siebie. Umysł miała zupełnie pusty. Iść przed siebie. Krok za krokiem.

Dokąd ta podróż prowadzi? Zaczynała się domyślać, słysząc gdzieś na dnie duszy śpiewne przyzywanie Otchłani – przez duże O, tak jak kiedyś ją nazywała. Znała ten głos. Każdy po kilku latach depresji i kilku próbach samobójczych go znał i albo za nim podążał, jak dzieci za Szczurołapem, albo wzywał pogotowie i trafiał tam, gdzie nie istniało nic oprócz błogiego spokoju. Świat zewnętrzny przestawał mieć wobec ciebie wymagania i oczekiwania. Nikt nie kazał brać się w garść i zmieniać swojego życia. Nikt nie wymagał niczego więcej poza tym, byś wstawała na posiłki, przyjmowała leki o określonych porach i codziennie się myła. Jeśli na to ostatnie nie miałaś sił, też specjalnie nikogo to nie obchodziło. Miałaś jeść i brać leki. Tylko tyle.

Praca? Tabelki? Ktoś wymagający opieki? To przestawało istnieć. Przestawało się o ciebie upominać. Istniała tylko kołdra, pod którą mogłaś się zwinąć i trwać tak całe dnie, albo biały sufit, w który mogłaś się całe dnie wpatrywać. Jak w Otchłań.

Gabriela doskonale zdawała sobie sprawę, że Ona wróciła. Tego dnia, gdy zostawiała za sobą pierścionek i Leśną Polanę, umarła w niej nadzieja na to, że kiedykolwiek będzie lepiej. A nadzieja umiera ostatnia, potem przychodzi czas na ciebie.

Szła więc ulicami Warszawy tam, dokąd ją wzywano.

Ludzie gardzą samobójcami. Myślą, że to tchórze, którzy uciekają przed problemami, zamiast z nimi walczyć.

Mylą się.

Trzeba być zepchniętym poza krawędź, by przezwyciężyć strach przed śmiercią, paraliżujący lęk przed tym, co nas Tam czeka, i zrobić krok w Otchłań. Trzeba cierpieć męki – całe ciało, dusza i serce muszą wyć z bólu – by śmierć wydała się wybawicielką, a nie karą. By zyletka tnąca nadgarstek przynosiła ulgę.

– No i po co to zrobiłaś, dziewczyno? – zapytała kiedyś Gabriele pielęgniarka, gdy po zszyciu rany przez lekarza bandażowała jej rękę.

– Bo chciałam umrzeć – odparła szeptem Gabriela.

– Gdybyś naprawdę tego chciała, położyłabyś się na torach kolejowych, przykuła do nich kajdankami albo łańcuchem i odrzuciła jak najdalej kluczyk – skwitowała tamta. Z pogardą. – Ach, ci samobójcy, wszyscy tacy sami, wszystko na pokaz, żeby zwrócić na siebie uwagę...

Gabrysia przeniosła wzrok ze zszytej przed chwilą ręki, która bolała tak strasznie, że w końcu przyćmiła wycie duszy, na tę kobietę. Czy była tak znieczulona na cierpienie pacjentów, tak bezduszna, czy tak... głupia, żeby nie wiedzieć, że samobójstwo to wołanie o pomoc? I albo to wołanie ktoś usłyszy, albo usłyszy je Otchłań i wtedy... wtedy...

Pochyliła się nad wodami Wisły.

Piękne to było. Nad głową lipcowe słońce, pod nogami woda, kłębiąca się wokół filarów mostu, bura, niebezpieczna, zachęcająca.

„Nigdy więcej bólu”, śpiewała. „Nigdy więcej cierpienia, tęsknoty, domu i dziecka, które straciłaś. Nigdy więcej utraconej miłości, wiary i nadziei...”

Zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, rzuciła pod nogi torebkę, objęła balustradę dłońmi z całych sił i...

...klakson samochodu tuż za plecami był jak uderzenie w twarz. Cofnęła się, zamrugła, odwróciła gwałtownie, oślepiąca łzami, nawet nie wiedząc, że płacze. Tuż przy krawężniku stał potężny czarny SUV. Jego kierowca właśnie opuszczał szybę po stronie kobiety i pochylając się ku niej, mówił:

– Jeśli chcesz się zabić, koleżanko, to nie w tym miejscu. Tu jest za płytko. Skoczysz, ja będę musiał skoczyć za tobą, połamiemy kręgosłupy i oboje resztę życia spędzimy na wózkach inwalidzkich. Oszczędź nam tego i albo przenieś się między tamte przesła – wskazał za siebie – gdzie przynajmniej będziemy mieć szansę li tylko na połamanie nóg, albo wsiadaj. Pogadamy.

Gabriela patrzyła na niego zupełnie oniemiała.

Mówił więc dalej, wiedząc, że im dłużej ona słucha, tym większe są szanse, by jej pomóc:

– Sorry, że krzyżuję twoje plany, ale, widzisz, jestem psychologiem i jakoś nieswojo mi przejechać obojętnie obok kogoś, kto popełnia samobójstwo. Tutaj masz moją wizytówkę, gdybyś chciała sprawdzić, czy aby nie jestem zbrojnym, co chce cię porwać, zgwałcić i utopić w tejże Wiśle.

Wyciągnął do Gabrieli biały prostokąt z czarnym, prostym napisem:

„Jerzy Masłowski. Dr n. med., psychoterapeuta. Klinika Leczenia Nerwic i Depresji »Ukojenie«, ul... tel...”.

Odruchowo przyjęła wizytówkę i gapiała się na nią przez parę chwil tak, jak przed chwilą na tego człowieka.

– Pospiesz się, koleżanko, z podejmowaniem decyzji, bo zajmuję połowę pasa – odezwał się łagodnie. – Możesz sobie wyobrazić, jak wszyscy wymijający na nas klną.

Gabriela... podniosła torebkę, usiadła na miejscu pasażera, zapięła pasy i... rozplakała się. Po prostu się rozplakała.

Ruszył, podając jej paczkę chusteczek.

I tak sobie jechali. On prowadził bez słowa, nie za wolno i nie za szybko,

ona szlochała raz ciszej, raz głośniejsze, sięgając co jakiś czas do paczki. Wreszcie samochód stanął. Gabriela uniosła głowę, ocierając oczy, bo przez opuchnięte od łez powieki zupełnie nic nie widziała.

Byli na parkingu przed niedużym budynkiem w ładnym ogrodzie. Napis z mosiężnych liter nad drzwiami układał się w te same słowa co na wizytówce: Klinika Leczenia Nerwicy i Depresji „Ukojenie”.

Ukojenie... opadła na oparcie siedzenia i zamknęła oczy. Tego właśnie potrzebowała jej wyjąca z bólu dusza: ukojenia.

– Chodź, koleżanko – usłyszała głos mężczyzny, tak samo łagodny.

Gdyby miała tego człowieka opisać, człowieka, który uratował jej życie, nie potrafiłaby o nim powiedzieć ani słowa. Zupełnie, jakby ktoś zamknął za nią rozdział tam, na moście i otworzył nowy, tu, przed tym budynkiem.

Spojrzała na doktora. Był trochę od niej starszy. Zwyczajny, choć niezwykajny. Emanowały zeń ciepło i serdeczność, gdy tak mówił do Gabrysi: „Chodź, koleżanko”, i jeszcze coś nieuchwytnego, trudnego do nazwania, co pozwalało mu zaufać...

– Wejdziemy do środka, Monia zrobi nam dobrej herbaty albo kawy, chociaż nie, kawę cię nie poczęstuję, prędzej miętą albo melisą, przyniesie kawałek ciasta domowej roboty, bo wyglądasz, jakbyś od tygodnia nic nie jadła, a potem usiądziesz wygodnie w fotelu i pogadamy lub pomilczymy, popijając zgodnie herbatę i delektując się ciastem. Co ty na to?

Jego głos hipnotyzował jak śpiew Otchłani, ale pochodził z jasnej, a nie mrocznej strony. Gabriela podążyła za tym głosem, zupełnie bezwolna.

Chwilę potem siedziała – jak się tu znalazła? – w miękkim, wygodnym fotelu, w którym aż chciało się skulić i zasnąć, zasnąć spokojnie, bez zmartwień o Julię, tatę i pilne tabele do wypełnienia... i to właśnie zrobiła.

Gdy doktor Jerzy wrócił z dwoma kubkami herbaty, udręczona do granic wytrzymałości nieznajoma kobieta spała skulona w fotelu. Wycofał się po cichu, wrócił z kocem, przykrył ją, a potem zostawił w spokoju.

– Monia, daj mi znać, gdy nasz gość się obudzi – poprosił recepcjonistkę.

Ta uśmiechnęła się i skinęła głową. On zaś przeszedł do pokoju obok i tam przez następne półtorej godziny przyjmował pacjentów, którzy mieli dusze podobnie pogruchotane jak dusza Gabrysi.

Ocknęła się przed południem. Niezbyt długi był to sen. Rozejrzała się półprzytomnie dookoła, mrugając powiekami. Wreszcie podniosła się z fotela, odłożyła na bok koc i wyszła z pokoju. Recepcjonistka uniosła głowę i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Może teraz ma pani ochotę na herbatę i domowe ciasto? – zapytała, wstając.

Gabrysia uniosła brwi. Już wiedziała, gdzie się znajduje – w prywatnej

klinice leczenia nerwic i depresji – ale myślała, że zaraz po przebudzeniu zostanie łagodnie wyproszona. Nie miała pieniędzy na prywatne kliniki, tymczasem...

– Jerzy nakazał mi się panią zaopiekować. Teraz ma pacjenta, ale za kwadrans będzie wolny. Proszę się rozgościć. – Młoda kobieta zrobiła szeroki gest dłonią. – Herbata i ciasto?

Gabriela próbowała się uśmiechnąć.

– Tak, poproszę.

Chwilę później Monika, bo tak przedstawiła się dziewczyna, stawiała przed Gabrielą pięknie pachnącą szarlotkę i kubek gorącej herbaty, a Gabrysia dopiero w tej chwili poczuła, jak bardzo jest głodna. I zmęczona, mimo niedawnego snu.

Opadła na fotel, w którym się obudziła.

Monika przysiadła naprzeciw z kubkiem kawy w dłoniach.

– Jak pani na imię? – zapytała, upijając łyk.

– Nie przedstawiłam się? – przeraziła się Gabrysia.

Tamta pokręciła głową.

Boże, co za wstyd... Ktoś ją ratuje, zabiera do siebie, pozwala zasnąć w fotelu, częstuje ciastem i herbatą, a ona nawet nie powiedziała, jak się nazywa...

– Gabriela Leszeńska. Proszę mi mówić po imieniu.

Dziewczyna skinęła głową i spojrzała na zegar, który we wszystkich gabinetach psychologicznych odmierza czarodziejskie trzy kwadransy, ani minuty dłużej.

– Jeszcze dziesięć minut. Wracam popracować, ale jeśli chcesz, żeby z tobą posiedzieć, po prostu powiedz.

– Dziękuję, zostanę sama. I tak pewnie już bardzo namieszałam w waszym grafiku.

– Myślę, że więcej namieszałaś w swoim życiu – zaśmiała się dziewczyna. – Dobrze trafiłaś. Doktor potrafi wyprostować pokręcone ścieżki.

Klepnęła Gabrielę po przyjacielsku w kolano i wyszła. Ta opadła na oparcie fotela i przymknęła oczy. Mogłaby tak zostać do końca świata. Tutaj, w tym cichym, słonecznym pokoju, pachnącym woskiem do parkietów, otoczona sosnowymi meblami, w wygodnym fotelu, z kawałkiem ciasta na talerzyku i kubkiem herbaty obok. Świat zewnętrzny mógłby przestać istnieć.

Zapatrzyła się na ogród za oknem, na różnokolorowe kwiaty hortensji i róże, rosnące wzdłuż ogrodzenia.

Taką właśnie, zapadniętą głęboko w siebie, zastał ją Jerzy Masłowski, wchodząc do pokoju.

Zauważyła jego obecność, dopiero gdy siadał naprzeciw niej. Drgnęła, jak obudzona ze snu. Odstawiła kubek z herbatą, który od dłuższej chwili ścisnęła w rękach, po czym nerwowo splotła palce. Teraz będzie musiała się spowiadać temu człowiekowi z tego, co robiła na moście. Co chciała zrobić. A nie bardzo

miała na spowiedź ochotę. Uniosła wzrok.

– Dziękuję za... tamto. – Machnęła ręką w niesprecyzowanym kierunku.

– To znaczy? – odezwał się po raz pierwszy, od kiedy wszedł do pokoju, tym swoim miękkim, ciepłym głosem.

– Za uratowanie mnie – wyszeptała.

– A, za to. Myślałem, że to nietknięta szarlotka Moni tak ci smakowała – odparł, a gdy spojrzała na niego ponownie, tym razem ze zdumieniem, parsknął śmiechem. – Nie masz poczucia humoru, co, koleżanko Gabrielo?

– Mam, tylko nie dzisiaj.

– Wczoraj pewnie także nie miałaś. Ani przedwczoraj... – Ponownie się uśmiechnął.

Nie odpowiedziała tym samym.

– Jakoś brak mi powodów do radości – w jej głosie zabrzmiała złość. I żal.

– Domyślam się – rzekł, po czym odwrócił od niej wzrok i zapatrzył się w okno, na ogród. – Masz kogoś bliskiego, kto wie, co się z tobą dzieje? – rzucił lekkim tonem, ale już bez uśmiechu.

Milczała długo, wpatrzona w swoje kurczowo splecione palce.

– Nic się nie dzieje – odparła wreszcie, mając nadzieję, że tak jak w szpitalu, a potem w Komorowie, zbędzie go tymi słowami, a on odpuści i pozwoli Gabrieli odejść. Po prostu wstać i wyjść.

– Nic z tego, koleżanko. – Pokręcił głową, zupełnie jakby czytał w jej myślach. – Przyłapałem cię na próbie samobójczej. Nawet gdybym był zwykłym przechodniem, a nie psychologiem, nie pozwoliłbym ci ot tak zniknąć z mojego życia, bo przez resztę swojego zastanawiałbym się, czy dotarłaś bezpiecznie do domu, czy też spróbowałaś raz jeszcze i tym razem nikt się nie zatrzymał.

– To nie była próba...

– Nie, nie – przerwał jej. – Ty jedynie chciałaś się ochłodzić w Wiśle.

Umilkła.

Milczał i on, patrząc na spuszczoną głowę kobiety. Wreszcie z powrotem przeniósł spojrzenie na ogród.

Cisza trwała tak długo, aż wreszcie stała się dla Gabrieli nie do zniesienia. On pewnie mógł milczeć godzinami.

– Miałam powody – odezwała się cicho.

Skinął tylko głową. Był pierwszym psychologiem w długiej szpitalnej karierze Gabrysi, który patrzył w okno, zamiast przyszpilać ją wzrokiem i zmuszać do zwierzeń.

– Mam depresję. Od dziewięciu lat – rzuciła z nadzieją, że taka odpowiedź go zadowoli.

– Bierzesz leki? – Powoli zwrócił spojrzenie w jej stronę.

Oczywiście mogła przytaknąć i miałyby tę nieoczekiwaną wizytę

w gabinecie psychologicznym z głowy, ale... temu mężczyźnie nie potrafiła skłamać.

Zaprzeczyła.

– Brałam. Przez kilka pierwszych lat, ale potem musiałam wrócić do pracy, a leki... Nie pozwalały mi się skupić. Byłam otępiała. A mam na utrzymaniu ciężko chorego ojca. Proszę zrozumieć...

– Kto by się nim zajął po twojej śmierci? – zapytał. Ot tak. Łagodnie, bez krzty wyrzutu w głosie. – Twoja mama? Siostra albo brat?

Pokręciła głową, łykając łzy, które nagle napłynęły jej do oczu.

– Ma tylko mnie.

I opuściła głowę jeszcze niżej. Poczucie winy przygniotło ją niemal do podłogi. Nieznośny ciężar przygarbił ramiona. Otchłań zachichotała złośliwie.

Doktor nagle klepnął dłońmi w kolana i wstał. Gabriela poderwała wzrok na jego twarz.

– Więc teraz ma i mnie – rzekł, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Zrozum, Gabrielo Leszeńska, jestem psychoterapeutą, lekarzem duszy. Nie mogę przejść obojętnie obok czyjegoś cierpienia. Pomogę ci, jeżeli na to pozwolisz...

– Jak mi pan pomoże?! – Gabriela poderwała się nagle, stając z nim twarzą w twarz. – Zwróci mi pan kogoś, kogo kochałam?! Nasze dziecko?! I dom, którego progu nawet nie przekroczyliśmy?!

Stał i patrzył pociemniałymi oczami na łzy, płynące po policzkach kobiety.

– Odszedł czy zginął? – padło pytanie.

Gabriela otarła oczy gwałtownym ruchem.

– Pan nigdy nie odpuszcza, doktorze?

Powoli pokręcił głową, a ona nagle poczuła... że jeśli jest ktoś, komu może się zwierzyć, komu rzeczywiście na niej zależy, kto nie wypisze jej recepty na psychotropy ani nie skończy wizyty po czterdziestu pięciu minutach, w momencie gdy ona gotowa była wyrzucić z siebie całą bolesną prawdę, to jest to ten człowiek. Doktor Jerzy. Który stał teraz naprzeciw niej i cierpliwie czekał.

– Nie ma pan następnych pacjentów? – wyszeptała, znów czując napływające do oczu łzy.

– Odwołałem, gdy tylko się pojawiłaś. Mamy tyle czasu, ile ci potrzeba, Gabrielo – odrzekł, a pod nią... po prostu ugięły się kolana, tak wielką poczuła ulgę.

Musiała usiąść z powrotem w fotelu, owinać się kocem, a potem zacząć opowieść od początku.

Gdy skończyła, miała w rękach ostatnią mokrą chusteczkę. Doktor wstał, podszedł do biurka i wyjął z szuflady nowe pudełko. Podał je Gabrieli, która spróbowała się uśmiechnąć. Tym razem jednak on pozostał poważny. Spotykał się

tutaj, w swoim gabinecie z różnymi tragediami, wysłuchiwał codziennie różnych zwierzeń, a cierpienie jego pacjentów zdawało się nie mieć granic. Jednak opowieść tej kobiety, która w jednej chwili – zupełnie nie wiedząc dlaczego – straciła wszystko, naprawdę nim wstrząsnęła. I tym bardziej pragnął jej pomóc.

– To cię najbardziej boli? Że odszedł? – zapytał cicho, siadając z powrotem w fotelu naprzeciw niej.

Skinęła głową, ale zaraz zaprzeczyła.

– Że odszedł bez słowa wyjaśnienia. Niczym tchórz. A był dla mnie... był... jak mój tata, wzorem odwagi i honoru. Uwierzyłam mu... zaufałam... a on...

Umilkła, krztusząc się łzami.

– Wiesz, myślę, że twój Wiktor jednak się czegoś bał... – zaczął doktor powoli, zastanawiając się nad każdym następnym słowem. – Bał się śmierci, ale nie swojej. Bał się twojej śmierci. Sama powiedziałaś: tych sześciu to było ostrzeżenie. Gdyby mi ktoś pokroju Kuchty zagroził, że zamorduje moją narzeczoną, uciekłbym na koniec świata, jeśli to miałyby ocalić jej życie.

Uniosła nań oczy pełne łez.

– Mógł mi o tym powiedzieć – wyszeptała.

– Co byś zrobiła, gdyby Wiktor klęknął wtedy, tamtej nocy, przy twoim łóżku i wyznał, że dla twojego bezpieczeństwa musi odejść? – padło ciche pytanie...

– Błagałabym go, by został. By mnie nie opuszczał – i równie cicha odpowiedź.

– A co on by wtedy zrobił?

– Zostałby.

Patrzyli sobie prosto w oczy. Doktor, trzymający lodowate dłonie Gabrieli w swoich, i ona, drżąca na całym ciele ze zgrozy, szoku, rozpacz... Prawda, oślepiająca niczym piorun, właśnie wstrząsnęła całym jej jestestwem. I złamała ją doszczętnie.

– Gdybym dała mu szansę... – wyszeptała, zginając się w pół. – Gdybym nie uniosła się głupią dumą, wzgardzoną, podeptaną, jak mi się wtedy wydawało, miłością... Gdybym posłuchała taty, który prosił, bym dała jemu, Wiktorowi, i sobie czas...

– To daj.

Doktor nagle wypuścił jej dłonie ze swoich i cofnął się.

– Zrób to. Odnajdź Wiktora, poproś, by opowiedział o tamtej nocy teraz, chociaż minęło dziewięć lat. Przynajmniej to jest ci winien.

– To nie takie proste – wyszeptała, kręcąc głową. – On ma na pewno szczęśliwą rodzinę, żonę, może dzieci... Nie chcę tego burzyć.

– Nie da się zbudować szczęścia na czyimś cierpieniu. Nie wiesz, czy jest szczęśliwy, nie masz pewności co do żony i rodziny, zresztą... przecież nie o tym

chcesz z nim rozmawiać, nie po to chcesz się z nim spotkać. Pragniesz, by wyjaśnił, dlaczego odszedł, i to odszedł w taki sposób, bez słowa, i chcesz poprosić go, w imię tamtej miłości, by ci pomógł.

– Pomógł?

– Pomógł odzyskać ukojenie. Leśną Polanę. Czyż nie?

Cofnęła się, jakby ją uderzył.

– Nic od niego nie chcę! – krzyknęła. – Nic bym od niego nie przyjęła! Sama zapracuję na ten dom, albo...

– ...się utopię – dokończył za nią.

Zachłysnęła się gniewem.

Zniósł jej wściekłe spojrzenie z tym samym spokojem, z jakim do tej pory patrzył na jej rozpacz.

– Łatwo mówić komuś, kto ma taką willę w takim ogrodzie – wycodziła.

Zmrużył lekko oczy, bo cios był celny. Czy raczej byłby – dla każdego innego, tylko nie Jerzego Masłowskiego. W następnej chwili psychoterapeuta uniósł kącik ust w uśmiechu.

– To nie pieniądze czy ich brak stanowią twój problem, koleżanko.

– Nie? A co w takim razie?! Gdybym miała chociaż na bilet do Stanów, poleciałabym, stanęła przed Wiktorem i poprosiła przynajmniej o odpowiedź, dlaczego...

– Serio? – Znów ten półuśmiech. – Masz wizę?

– Mam.

– Poczekaj chwilę...

Wyszedł, a po kilku minutach wrócił i położył na stoliku plik banknotów. Oczy kobiety zognomniały. On znów uśmiechnął się lekko.

– Proszę bardzo, Gabrielo, masz pieniądze na bilet w obie strony i jakiś tydzień pobytu w Nowym Jorku, o ile nie będziesz zbyt rozrzutna. Co teraz?

– Pan żartuje... – obruszyła się.

– Rzadko żartuję z kogoś, kogo w ostatniej chwili uratowałem od śmierci – odparł, chyba po raz pierwszy tak surowo i poważnie. – Jest takie stare chińskie przysłowie: „Gdy uratowałeś komuś życie, stajesz się za niego odpowiedzialny”. Proszę więc, masz pieniądze, które być może sprawią, że już nigdy więcej nie będziesz próbować. Że ocalejesz.

– I ot tak daję pan mi, obcej osobie, sześć tysięcy?

– Gdybyś miała je przepić, nie dałbym ani grosza, ale na tygodniową wycieczkę do Stanów, owszem. I myślę, że nie tylko ja. Gdybyś poprosiła o to swoich przyjaciół czy ojca, stanęliby na głowie, by zdobyć dla ciebie te pieniądze, ale wiesz, gdzie leży problem...? – zawiesił głos.

Wiedziała.

Nie potrafiła prosić o pomoc.



– To będzie twoja terapia, Gabrysiu – odezwał się po dłuższej chwili. – Poproś mnie o te pieniądze, które dzielą cię od Wiktora, albo wracaj na most.

Przełknęła łyżę. Chciała, naprawdę próbowała wypowiedzieć tych kilka prostych słów, ale... Może... może poprosi Majkę? Ona na pewno nie odmówi. Tata? Gdyby miał coś cenniejszego niż zadłużone mieszkanie, też by ją wsparł. Wystarczyłoby stanąć przed nimi i powiedzieć: „Muszę lecieć do Ameryki, porozmawiać z Wiktorem Prado”. Tylko że tata, gdy kiedyś wybuchnęła rozpaczą i gniewem, wykrzykując mu w twarz straszne rzeczy, a na koniec zabraniając więcej mówić o Wiktorze, nigdy już nie wymienił jego imienia, a Majka nie wiedziała nawet przecież, kto to jest Wiktor Prado.

Gabriela poczuła, jak pętla zaciska się na jej szyi, dławiąc krtań aż do bólu.

„Powiedz, na miłość boską, tych kilka głupich słów!”, chciała na siebie wrzasnąć, ale poczuła tylko skowyt w duszy i cichy śpiew Otchłani.

Jej towarzysz widział to wszystko. Był dobrym psychologiem. Poderwał się nagle i pociągnął ją za rękę w górę. Stała, nic nie rozumiejąc. Podprowadził ją do dużego lustra.

– Spójrz sobie w oczy – nakazał. W jego głosie nie było już ani krzty łagodności. – Spójrz sobie w oczy i powiedz, że zamiast Wiktora wybierasz śmierć.

Aż się cofnęła.

Zatrzymał ją, postawił z powrotem przed lustrem, uniósł jej twarz pod brodę i zmusił, by patrzyła wprost w swoje pociemniałe źrenice.

– Super. A teraz powiedz to sobie prosto w twarz i jesteś wolna. Możesz wracać na most.

I nagle ogarnął ją gniew. Nie, nawet nie gniew, a zimna furia. Chyba nigdy nie zaznała tej lodowatej chęci mordy, pełną od serca aż do mózgu. Zaciśnęła dłonie w pięści, i zęby, aż zgrzytnęło, a potem wycodziła:

– Panie doktorze, nikogo nie nienawidzę tak, jak siebie w tej chwili. Właśnie za to, że wolałabym umrzeć, niż prosić o pomoc. Ale jeżeli mógłby pan pożyczyć mi te sześć tysięcy, byłabym wdzięczna.

Odetchnął głęboko, a może to ona westchnęła z głębi duszy?

– Widzisz, jakie to proste, Gabi? – uśmiechnął się, choć widziała, że jest wyczerpany. – Prosisz, masz.

Wziął ze stolika plik banknotów i podał kobiecie.

– Ale...

– Przyślij mi pocztówkę ze Statuą Wolności – uciął.

Jeszcze sekundę się wahała, nie dowierzając, że mówi serio.

Jeszcze się broniła przed samą sobą. Wreszcie podniosła na doktora wzrok.

– Często obdarowuje pan swoich pacjentów taką fortuną?

– Tylko tych, którzy są tego warci. Większość raczej zostawia fortunę u mnie. – Ponownie się uśmiechnął, by wreszcie mogła się uśmiechnąć i ona.

– Czasem Bóg stawia na naszej drodze anioła... – zaczęła cicho.  
– Ty o swojego musiałabyś się potknąć, a i tak byś nie uwierzyła, że są ludzie, którzy naprawdę cię kochają i chcą ci pomóc. Wystarczy skończyć z tym „nie, dziękuję, poradzę sobie”.

Wreszcie wzięła z jego rąk pieniądze.

– Traktuję to jako pożyczkę – zastrzegła. – Oddam co do grosza.

Przechylił głowę i przyglądał się jej chwilę zmrużonymi oczyma.

– A wiesz, że nie mam co do tego wątpliwości? I myślę, że zrobisz to szybciej, niż mogłabyś sobie wymarzyć.

Spojrzała nań pytająco.

– Dostałaś nie pieniądze, a nadzieję – wyjaśnił łagodnie i poprowadził ją do wyjścia.

Jeszcze w drzwiach obejrzała się, z oczami pełnymi łez. Chciała podziękować, ale zaciśnięta krtań znów nie pozwoliła jej wykrztusić choćby słowa.

– Pamiętaj: pocztówka ze Statuą Wolności – uśmiechnął się po raz ostatni.

Gabriela skinęła głową i wyszła, mając obie garście pełne... nadziei.

Jak się znalazła w swoim mieszkaniu na Bielanach, by spakować parę rzeczy i paszport w niewielką torbę podróżną, pozostało dla Gabrieli zagadką.

Dopiero w drodze na lotnisko oprzytomniała na tyle, by zadzwonić do ojca, a gdy nie odebrał ani komórki, ani telefonu, który stał przy jego łóżku, nagrała wiadomość i wysłała esemesa. Przez chwilę wahała się, czy nie zadzwonić do Majki albo Julii, ale... wyobraziwszy sobie ich reakcję na ten szalony wyjazd, wyłączyła telefon i cisnęła go na dno torby. Przyjdzie czas, by pogadać z przyjaciółkami. Za godzinę miała samolot do Nowego Jorku, właśnie otwierali bramkę...

Zupełnie w to nie wierząc, parę kwadransów później patrzyła, jak potężna maszyna odrywa się od płyty warszawskiego lotniska. Miasto zniknęło w oddali... Nie oderwała od okna niewidzącego spojrzenia przez następnych dziesięć godzin, z przerwą na kolację, a potem śniadanie.

A już zupełnie nie mogła uwierzyć własnym oczom, gdy w okienku samolotu, podchodzącego do lądowania po drugiej stronie Atlantyku, mignęła jej Statua Wolności.

Była w Stanach!

Taksówka zatrzymała się pod wieżowcem ze szkła i stali.

Gabriela zapłaciła kierowcy, wysiadła i zadarła głowę. Gdzieś tam, na którymś piętrze był on, Wiktor. Za chwilę stanie z nim twarzą w twarz i... co mu powie? A może... może biuro było już puste? Może pracował do osiemnastej?

Nieświadomie cofnęła się o krok, znów będąc sobą – niepewną siebie, porzuconą bez słowa kobietą, której jedynym rozwiązaniem wydawały się bure fale Wisły. Torba, w której miała jeszcze kilkaset dolarów, zaciążyła jej na ramieniu.

Podarował Gabrieli te pieniądze obcy człowiek, żeby mogła być tu i teraz, przed biurowcem w Nowym Jorku – co ona robi w Nowym Jorku?! – w którym za chwilę spotka jedyną miłość swojego życia.

Odetchnęła głęboko.

Jeszcze tylko telefon do taty, że doleciała szczęśliwie, krótkie wyjaśnienie, gdzie właściwie jest, a potem...

– Gdzie ty się podziałas? – usłyszała cedzone zgłoska po zgłosce słowa...  
Majki.

## ROZDZIAŁ IV



Spojrzeni na siebie we troje: Majka na Patryka, Patryk na Majkę i Wiktora. Ten ostatni pokręcił głową zupełnie oszołomiony. Przycisnął palce do oczu, siłą powstrzymując łzy. Jego brat był w takim samym szoku, ale on na łzy nie mógł sobie pozwolić, za to Majka płakała zupełnie otwarcie.

– Boże, jak ja się o nią bałam... – wyszlochała, chwytając Patryka za rękaw.

– Majuś, dam ci chusteczkę, tylko nie zasmarkaj mi następnej koszuli – poprosił.

Musiąca się roześmiać. Wiktor też się uśmiechnął, choć z trudem. Nikt nie bał się o Gabriellę tak strasznie jak on. On, który najlepiej z nich wszystkich znał Adolfa Kuchtę. No, może jeszcze pan Antoni...

– Zadzwoń do szpitala – odezwał się, podając Majce telefon. – Trzeba uspokoić pana Leszeńskiego.

– I co mu powiem? Że Gabriela poleciała do ciebie na drugą półkulę, a ty jesteś tutaj?

Sam by w to nie uwierzył.

– Powiedz po prostu, że jest bezpieczna, cała i zdrowa, a ja niedługo u niej będę – odparł.

Gdyby wiedział, że Gabrieli tak szybko nie zobaczy...

Majka kończyła rozmowę z lekarzem, który obiecał natychmiast przekazać dobre wieści panu Antoniemu – na bezpośrednią rozmowę jej nie pozwolono, bo każda wiadomość, nawet najlepsza, przekazana nieodpowiednio, mogła się okazać zabójcza dla biednego, schorowanego serca – gdy do drzwi mieszkania głośno zapukano. Zbyt głośno jak na tę porę – było dobrze po północy.

Wiktor z Patrykiem wymienili spojrzenia.

– Masz na myśli tych co ja? – zapytał młodszy z braci Prado ściszym głosem.

– Nie ośmieliłby się nasłać tutaj mafii – odparł Wiktor. – Ale na wszelki wypadek zabierz Majkę do kuchni i nie wychodźcie, dopóki nie rozmówię się z gośćmi...

...którzy właśnie pukali ponownie. I jeszcze bardziej natarczywie.

Majka zakończyła połączenie i spojrzała w tamtą stronę.

– Kto to...? – zaczęła, ale Patryk chwycił ją za ramię i bezceremonialnie wyprowadził do sąsiedniego pomieszczenia, przymykając drzwi, za to otwierając okno.

Wyjrzał w ciemność nocy. Okno wychodziło na podwórko, ciche i spokojne.

Jeżeli tamci nie obstawili tyłów, będzie można tędy uciec.

Gdy zapukano po raz trzeci, Wiktor otworzył.

Na klatce stało dwóch policjantów.

– Sierżant Karol Wolski – przedstawił się wyższy. – Pan Patryk Prado?

Wiktor uniósł brwi w niemym zdumieniu, po czym odparł powoli:

– Zapraszam, panowie. Nie będziemy o tej porze robić przedstawienia na klatce schodowej.

– A zamierza pan robić przedstawienie? – zapytał młodszy, wchodząc do środka.

– Pan Patryk Prado? – powtórzył ten pierwszy znacznie surowszym tonem.

– Jestem jego starszym bratem i powinienem razem z nim być teraz w hotelu Bristol – odparł Wiktor, powoli domyślając się, po co ci dwaj tutaj są. – Kto panom podał ten adres?

– Poszkodowany – uciął policjant. – Zgłoszono ciężkie okaleczenie. Mamy nakaz zatrzymania Patryka Prado.

Wiktor uśmiechnął się lekko, po czym podwinął rękaw koszuli.

– To okaleczenie po zagojeniu będzie wyglądało mniej więcej tak? – Ramię mężczyzny przecinało pięć głębokich blizn. – Z tym że mój ojczym będzie je miał na policzku? Skąd o tym wiem? Bo to ja smagnałem go tym samym pejczem, co on mnie ponad dwadzieścia lat temu. Jeżeli mają panowie kogoś aresztować, to mnie, nie mojego brata.

– Mamy nakaz zatrzymania Patryka Prado – powtórzył uparcie wyższy.

– A mnie, winnego pobicia, puście wolno? – odparł pytaniem Wiktor. – Przecież dobrowolnie przyznaję się do winy. Nasz ojczym był tak pijany, że nie rozróżniał własnych pasierbów. Mam nadzieję, że te pięć krwawiących i rwących jak cholera ran nieco go otrzeźwiło...

– Pana to bawi? – Policjant zrobił krok w przód.

– To, że w cudzym mieszkaniu, a właśnie, kto wam podał ten adres?, usiłujecie aresztować niewinnego człowieka? Nie bardzo.

Spojrzeni po sobie.

– Poproszę dokument ze zdjęciem – odezwał się pierwszy, a Wiktor odetchnął w duchu.

Jeżeli ktoś ma spędzić dzisiejszą noc w areszcie, na pewno nie będzie to Patryk. Wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni i nonszalanckim gestem podał policjantowi paszport. Amerykański paszport. Gliniarz... od razu spokorniał.

– Jest pan Amerykaninem?

– Mam podwójne obywatelstwo. Jutro na pewno zainteresuje się tą sprawą nasz konsul. Pozwolą panowie, że uprzedzę o celu waszego najścia moją przyjaciółkę i jej chłopaka? Myśleliśmy, że to mafia, a to jedynie policja... – Kpił z nich w żywe oczy, a oni stawali się coraz bardziej niepewni.

Mieli przed sobą mężczyznę o nazwisku Prado, wszystko jedno którego. Ten przyznawał się do pobicia. Drugi był w hotelu Bristol albo Bóg wie gdzie. Spojrzeli jeden na drugiego. Wyższy skinął głową.

– Majka, możecie wyjść – krzyknął półgłosem Wiktor, wiedząc, że oboje słyszeli całą rozmowę.

Drzwi prowadzące do kuchni uchyliły się. Na korytarz wyszła nieco pobladła dziewczyna i jasnowłosy młody mężczyzna, w ogóle do Wiktora niepodobny. To nie mógł być jego brat Patryk.

– Za to wszystko, co Kuchta im zrobił – wyrzuciła rwącym się z gniewu głosem – sama obilałabym tej bestii mordę.

– Majka, daj spokój, a ty, chłopaku Majki, którego imienia nie pamiętam – zwrócił się Wiktor do własnego brata – zacznij spisywać historię braci Prado i prokuratora Kuchcińskiego. Sprzedaj ją wszystkim brukowcom, dołączając zdjęcia z „albumu rodzinnego”.

– Zrobi się – mruknął Patryk, pytając go wzrokiem, czy aby na pewno wie, co robi.

– Potem, albo lepiej przedtem, zawiadom mojego brata, Patryka, który jest doskonałym prawnikiem – tu Wiktor znów uśmiechnął się kpiąco do obu policjantów – gdzie jestem i za co mnie zamknęli. Dokąd mnie zawieziecie?

– Do aresztu na Włóściańskiej.

– Słyszałeś, chłopcze bezimienny. Areszt na Włóściańskiej. Majka, weź swój smartfon i pstryknij kilka shitfoci z aresztowania, ozdobią artykuły w gazetach.

Majka wyjęła telefon, co bardzo obu funkcjonariuszy zdenerwowało.

– Co pani wyrabia? To zabronione! Jesteśmy na służbie, podczas wykonywania obowiązków...

– Wiem, wiem, spokojna głowa, wymażę fotoszopem wasze twarze. – Dziewczyna przymierzyła się do pstryknięcia fotki.

– Chwila, Majka, nie bądź taka wyrywna – zatrzymał ją Wiktor. – A kajdanki?

– Zamierza pan stawiać opór? – nastroszył się sierżant Wolski, sięgając za pas.

– Nie. Ale kajdanki dodadzą zdjęciom dramaturgii. Znany prokurator, przez lata prześladowający działaczy opozycji, wcześniej kat z X pawilonu na Rakowieckiej, znęcał się nad swymi pasierbami, zlecił uprowadzenie i zamordowanie narzeczonej jednego z nich...

– On zlecił...?

– A dlaczego niby po tylu latach wreszcie nie wytrzymałem i strzeliłem go tym pejczem? – wycedził Wiktor już zupełnie innym tonem. – Skujcie mnie, bo dobrowolnie aresztować się nie pozwolę.

– Panie Prado... – Sierżant również zmienił ton. Nie było już w nim buty

i arogancji, tylko błaganie. Ta cała sytuacja... I to mieszkanie, należące prawdopodobnie do zwykłego, niewinnego obywatela, w którym nie powinno ich dwóch teraz być, gdyby nie telefon z prokuratury...

Wiktor wyciągnął ręce nagłym gestem.

– Kajdanki i kończmy, panowie – rzekł. – Majka jest dobra w fotoszpie, was nikt nie rozpozna, a mój brat, do spółki z konsulem, jutro mnie wyciągną. Śmiało. Bez obaw.

Gliniarz bez przekonania wyciągnął kajdanki. Szczęknęły ostro, zaciskane na nadgarstkach Wiktora, w tej samej chwili, w której smartfon Majki zaczął pstrykać zdjęcia. Policjanci, niechętnie wchodząc w swoje role, chwycili Wiktora pod pachy i pociągnęli do wyjścia. Obejrzał się chwilę przed tym, jak drzwi zamknęły się za nimi.

„Postaraj się, bracie, szybko mnie z tego bagna wyciągnąć”, mówiło jego spojrzenie.

– Macie go dobrze traktować! – krzyknęła Majka, jakby dopiero w tej chwili dotarła do niej cała groza sytuacji, i wybiegła na klatkę schodową. – Słyszycie? To dobry, szlachetny człowiek. Macie go dobrze traktować albo cała Polska zobaczy, jak policja...

– Daj spokój. – W połowie schodów zatrzymała ją dłoń Patryka. Szarpnął dziewczynę ku sobie w momencie, gdy drzwi u sąsiadów zaczęły się uchylać.

Otarła gniewnym ruchem łzy z policzka.

– Ja tego nie ogarniam! – wykrztusiła. – Jak to bydlę, jak to pieprzone bydlę mogło?!

– To cały Adolf Kuchta – odparł, wypowiadając ostatnie słowa, jakby to była najgorsza z obelg. – Chodź. Wracamy do mieszkania i ja zacznę wyciągać z aresztu Wiktora, a ty... dla ciebie też się znajdzie zajęcie.

\*

Marcin właśnie padał na łóżko w innym hotelu niż ten, w którym się rano zatrzymał – Irina uprzedziła go przecież, że po swojej ingerencji spali sieć internetową i lepiej będzie, jeśli do tego czasu zmieni lokum – gdy ponownie zadzwonił Patryk. Dźwięk tego telefonu sprawił, że młodemu mężczyźnie serce stanęło w pół uderzenia. Jeśli Kuchta coś jednak zrobił Gabrieli...

– Co jest? – rzucił bez tchu.

– Słuchaj, bracie, mamy problem. Aresztowali Wiktora.

Marcin poderwał się na równe nogi.

– Za co, do cholery?!

– Za to, że smagnąłem Tamtego pejcem po mordzie – padła spokojna odpowiedź.

– To dlaczego Wiktora, a nie ciebie?! Co tam się w tej zaszrannej Polsce

dzieje?! Wracam...

– Tym razem to dobry pomysł, Marcin, ale zanim wrócisz, poczekaj, aż prokurator wyznaczy kaucję. Nie wiem, jakiej będzie wysokości, domyślam się tylko, że za sprawą Kuchty sporo sobie policzą, więc dobrze, żebyśmy byli na taką kwotę przygotowani. Za dziewięć godzin, gdy tylko otworzą prokuraturę, zjawię się u nich z uprzejmą prośbą o wypuszczenie brata. Za dziewięć godzin ty masz być w Warszawie z pieniędzmi.

– Będę – mruknął Marcin. – Na wszelki wypadek zahaczę o Zurych. Wezmą za Wiktora jak za szefa mafii...

Patryk przytaknął i rozłączył się.

Majka stała tuż obok, w mroku korytarza i patrzyła nań wielkimi, przerażonymi oczyma.

– Ej, trzymasz się? – zapytał łagodnie, dotykając jej policzka.

Pokręciła przecząco głową.

– Chyba nie. Dlaczego?! Dlaczego on jak gdyby nigdy nic poszedł siedzieć za ciebie?!

Patryk spojrział na nią i odparł takim tonem, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie:

– Przecież to Wiktor.

– Nie pojmuję, jak ty możesz być taki spokojny! Po tym wszystkim, co się dzisiaj stało... po tych strasznych godzinach, gdy szukaliśmy Gabrysi... po wizycie u Kuchty... Teraz to, aresztowali twojego brata, wpieprzą Bogu ducha winnego człowieka do celi ze zbrojcami i mordercami, a ty... a wy...

– Dostanie osobną celę, wierz mi.

– Jesteś pewien?! Gdybym była tak mściwą bestią jak wasz ojczym, Wiktor dostałby najgorszą celę! Z najgorszym bydłem. Właśnie taką, gdzie go... – Nie dokończyła. Nie mogła nawet o tym myśleć.

– Jeżeli nawet, poradzi sobie. – Patryk powiedział to tak cicho, że musiała stłumić szloch, by to usłyszeć. – Ja bym nie dał rady, ale Wiktor poradzi sobie nawet z najgorszym bydłem. Dlatego wziął to na siebie.

Majkę zatkało. Przytknęła dłoń do ust i stała tak, patrząc wprost w pociemniałe oczy młodego mężczyzny. Na jego twarzy nie było ani cienia uśmiechu.

– Ja punkt dziesiąta stawię się u prokuratora. Wyrwę im Wiktora z gardła, choćbym miał poruszyć ambasadę amerykańską, ty... – urwał, nagle zmrożony pewnym faktem: była sobota.

To dlatego tamten parszywiec tak się pospieszył ze złożeniem doniesienia i dlatego „zaprzyjaźniony” prokurator wydał nakaz zatrzymania. Patryk mógł się nie spieszyć z interwencją, bo w weekend urzędy były zamknięte. Oczywiście ustanowiono coś takiego jak dyżur prokuratorski, ale ten, kto ów dyżur będzie



pełnił, z pewnością palcem nie kiwnie w sprawie Wiktora.

„Wybacz, bracie, do poniedziałku będziesz musiał znosić kolejne piekło, jakie zgotował ci ten bydlak”, pomyślał Patryk, czując jednocześnie bezsilność, wściekłość i żal. „Ja mogę zająć się jedynie twoją Gabriellą...”

Całkiem zrezygnowany, wiedząc, że jego starszy brat znów został skazany na Bóg wie jakie cierpienie, by chronić tych, których kochał, wyciągnął z kieszeni telefon.

Majka, która od jakiegoś czasu siedziała na kanapie pana Antoniego, patrząc bezmyślnie przed siebie, przeniosła spojrzenie na Patryka. Łączył się właśnie z asystentką Wiktora w Stanach.

– Cześć, Meg, musisz coś dla mnie zrobić... – zaczął po angielsku. – Wiem, że przed chwilą skończyłaś pracę i pewnie jesteś w drodze do domu, ale trzeba, żebyś wróciła do biura.

– Oczywiście, panie Prado – odparła natychmiast dziewczyna o imieniu Meg. – W czym mogę pomóc?

– Daj znać, gdy będziesz na miejscu. Wtedy zgłosi się do ciebie Gabriela Leszeńska, ktoś bardzo dla nas ważny... wyjątkowy... i znajdujący się w niebezpieczeństwie. Ulokuj ją w naszym apartamencie i zadбай o dwie sprawy: by niczego jej nie brakowało i żeby pozostała w tym miejscu aż do odwołania. Ona zrozumie. Ty też rozumiałaś?

– Oczywiście! Mam zadbać, by wyjątkowo ważna klientka Prado Ltd. rozgościła się w apartamencie i być na każde jej skinienie.

– Dokładnie tak, Meg. Proszę, potraktuj to bardzo serio.

Po drugiej stronie oceanu głos dziewczyny, w którym dotąd brzmiała zwykła życzliwość i usłużność wobec szefa, spoważniał nagle. Pracowała w tej firmie od początku, od czasu gdy trzech mężczyzn stać było na wynajęcie biura i asystentkę. Polubiła serdecznie Patryka i Marcina i niemal nabożną czią darzyła Wiktora, a on kiedyś zrewanżował się jej za poświęcenie dla firmy, odkrywając przed nią tajemnicę ich dzieciństwa. Od tej pory bezgranicznie uwielbiała najstarszego z braci Prado i jeszcze bardziej matkowała dwóm młodszym. W tej chwili zaświtało jej pewne podejrzenie: ma się zaopiekować kimś ważnym dla całej trójki – kobietą w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wiedziała, że to nie mafia grozi nieznajomej, bo Prado trzymali się od szemranego towarzystwa z daleka, więc kto, jak nie...?

– Będę strzegła pana przyjaciółki jak własnej siostry – odezwała się.

– Dziękuję, Megan. O to właśnie chciałem cię prosić...

– Czy z panem Wiktorem jest wszystko w porządku? – Nie miała prawa do takiego pytania, ale... musiała je zadać.

Patryk zawahał się. Lubił Megan i ufał jej bezgranicznie, bo była lojalna i oddana firmie. Właśnie dlatego, by niepotrzebnie jej nie przerażać, odpowiedział,

mijając się z prawdą:

– Od kiedy się dowiedział, że Gabriela jest w Stanach, owszem. Przyleci do niej i sam się nią zaopiekuje, gdy tylko obowiązki w Polsce na to pozwolą.

Usłyszał westchnienie ulgi i uśmiechnął się mimowolnie. Meg od zawsze podkochiwała się w Wiktorze. Platonicznie, bo on nigdy nie przekroczył granicy szef – podwładna, trzymając kobietę, jak zresztą wszystkich, oprócz swoich braci, na chłodny dystans, ona zaś, choć nie miałyby nic przeciwko temu, nigdy tej granicy nie próbowała przekroczyć. Za bardzo szanowała Wiktora i zbyt ceniła sobie dobrze płatną pracę dla trzech fajnych, normalnych facetów, a nie zboków, którym trzeba raz dziennie robić laskę pod biurkiem, żeby ryzykować utratę tego wszystkiego dla romansu z szefem.

– Proszę zapewnić pana Prado, że wszystkim się zajmę – przyrzekła, zawracając samochód niemal w miejscu.

– Dzięki, Meg. Zadzwon, gdy nasz gość znajdzie się cały i zdrowy za drzwiami apartamentu.

Rozłączył się i spojrzał na Majkę.

– Twoja kolej. – Wskazał komórkę, którą ścisnęła w rękach. – Dzwon do Gabrieli, by zmusić ją do pozostania w naszym mieszkaniu. Będzie traktowana po królewsku, apartament jest godny księżniczki. Musimy mieć pewność, że do czasu, gdy wydamy Wiktora z aresztu, ona tutaj nie wróci.

– Mówiłeś, że zajmiesz się tym z samego rana!

– Przeliczyłem się. Jest sobota. Wiktor musi odsiedzieć swoje do poniedziałku. Wtedy albo go wypuszczą, albo zatrzymają z nakazu sądu na Bóg wie jak długo.

Majka poderwała się na równe nogi, choć, prawdę mówiąc, nie miała już sił, by na nich ustać.

– Przecież mówiłeś, że go wykupicie! Że jutro, z samego rana... Marcin miał przywieźć pieniądze na kaucję... Patryk, zamknęli twojego brata w areszcie z najgorszymi żulami, a ty mi mówisz, że ma tam siedzieć nie wiadomo jak długo?! I ja mam to przekazać Gabrieli, która czeka na niego od dziewięciu lat?! Sama zdobędę pieniądze na tę kaucję i zmuszę cholerne gliny, by go wypuściły!

Ruszyła do drzwi, a on znów łagodnie, lecz stanowczo musiał ją zatrzymać.

– Dzwon do Gabrieli. Przekonaj ją, by została w Nowym Jorku. To jedyne, co możemy w tej chwili dla Wiktora uczynić.

Majka musiała się z nim zgodzić. Wybrała numer Gabrysi.

W tym samym momencie rozdzwoniła się komórka Patryka.

– Ty też się zorientowałeś, że jest weekend? – To było raczej stwierdzenie, nie pytanie.

– Właśnie – odpowiedział mu warknięciem Marcin, bo to on dzwonił. – Ja z pieniędzmi za dziewięć godzin będę i tak, ale poleżą sobie chyba do

poniedziałku. Jest szansa, by wyrwać Wiktora z pierdła jeszcze dziś?

– Nie ma. Ale spróbuję. Najpierw się upewnię, że jest bezpieczny. A potem poruszę niebo, ziemię i wszystkich przyjaciół, by wyszedł jak najszybciej.

– Zrób to, Patryk, albo zamień się z nim miejscami.

– Dzięki, bracie, za słowa otuchy – prychnął, wściekły na samego siebie. Gdyby parę godzin wcześniej się powstrzymał. Gdyby nie smagnął bestii pejczem...

„Tamten wymyśliłby co innego”, stwierdził w myślach. „Kuchta nie odpuści, nigdy. Że też piekło się w końcu o niego nie zapomni...”

– Gabriela załatwiona – wytrącił go z rozmyślań głos Majki. – Pojęła grozę sytuacji i nie zamierza narażać ukochanego Wiktora na niebezpieczeństwo.

– Ale to jej grozi... – zaczął Patryk, ale przerwała mu zrezygnowanym machnięciem ręki.

– Mniejsza o szczegóły. Jadę teraz do szpitala uspokoić wariującą ze strachu o nas wszystkich Julię i pana Antoniego. Szczególnie jego.

Patryk podszedł do dziewczyny i ujął ją pod brodę gestem tak czułym, że była gotowa się rozplakać, gdyby nie wyczerpała już limitu łez jak na jeden dzień.

– Jesteś... wspaniała – rzekł z głębi serca.

– A jednak mnie nie chcesz – odparła cicho.

Uśmiechnął się ze smutkiem w niebieskich jak letnie niebo oczach.

– My dwoje nie jesteśmy sobie pisani, ale poczekaj na Marcina...

– Rozumiem, że ja i on jesteśmy klasę niżej niż ty, a kilka klas niżej niż wspaniały, nieskazitelny Wiktor? – zapytała z mimowolną pogardą.

Zniósł tę pogardę i to wyzwanie tak jak brat i przyjaciel znieść powinien.

– Majeczko, jesteś niesamowicie piękną i wartościową dziewczyną – zaczął łagodnie, kładąc ręce na jej ramionach. – Mówię serio – dodał, gdy próbowała się wyrwać, rozżalona do granic. – Kocham cię jak siostrę i jak siostrę proszę: poczekaj... Ja jestem... – zaczął, po czym machnął ręką, jak przed chwilą ona, i zmienił temat: – Powinnaś się przespać chociaż parę godzin. Ledwo stoisz na nogach, ale domyślam się, że przed wizytą u Julii i pana Leszeńskiego cię nie powstrzymam?

Pokręciła głową.

– Jadę do szpitala. Ty próbuj jak najszybciej wydostać Wiktora z więzienia. Dla Gabrieli. Ona naprawdę dosyć wycierpiała. Nie chcę, po prostu nie zgadzam się, by ponownie straciła swoją miłość.

\*

Miłość Gabrieli właśnie poddawała się rewizji, składając na biurku dyżurnego wszystkie przedmioty osobiste, od portfela po kwit z parkomatu.

Policjant obrzucił zatrzymanego wzrokiem. Dwaj inni, którzy go tu

przyprawdzili, zakutego w kajdanki, próbowali przekazać coś dyżurnemu bez słów.

– Brutalne pobicie bezbronnego starca – odezwał się tamten, rzucając okiem na krótką notkę. – Do dziewiątki z nim.

– Słuchaj, Staszek, to nie jest takie proste... – zaczął Wolski. – Zatrzymany... miał pewne powody, by zrobić to, co zrobił.

Dyżurny uniósł tylko brwi.

– Ten, kto złożył doniesienie, były prokurator, prowadzi prywatną wendetę przeciwko własnym synom, czy tam pasierbom. Zatrzymany jest jej ofiarą. Będą kłopoty, jeśli stali bywalcy coś mu zrobią – dokończył tak cicho, by nikt oprócz dyżurnego nie mógł słyszeć.

– Miejmy to za sobą – odezwał się nagle Wiktor. – Zamknijcie mnie gdziekolwiek, bylebym wreszcie miał święty spokój.

Dyżurny spojrział na Wiktora jak na szaleńca. W dziewiątce zamykali najgorsze barachło. Zatrzymany zaś wyglądał na inteligencika w czarnej marynarce i białej, nieco już wymiętej koszuli. Żule z dziewiątki pożą go żywcem. A przedtem zgwałcą. Naprawdę ten elegancik chciał zakosztować prawdziwego życia? Cóż... skoro taka wola.

– Do dziewiątki z nim. Nie mamy wolnych miejsc. To nie hotel.

Wiktor odpowiedział wzruszeniem ramion.

Chwilę później zatrząskiwały się za nim ciężkie, żelazne drzwi celi. Trzech gości poderwało się z dwupiętrowych pryczy i zaczęło lustrować nowo przybyłego wzrokiem. On ich również.

Męska dziwka – to był pierwszy. Wytatuowany mięśniak – to drugi. I recydywista – to trzeci. Wiktor nie miał co do tego wątpliwości...

Nie będzie z nimi łatwo, ale też nie będzie tak trudno jak wtedy, gdy miał szesnaście lat...

\*

Pierwsza konfrontacja przydarzyła się jakieś dwa tygodnie po przyjęciu go do pracy.

On trzymał się z dala od zgranej paczki robotników remontujących hotel Bristol, oni zaś wiedzieli, że jest pupilkiem majstra, który był tu pierwszy po Bogu. Inwestorów nie interesowało, kto pracuje na budowie i z jakimi trudnościami musi się mierzyć kierownik. Życzyli sobie li tylko dotrzymywania terminów i zmieszczenia się w kosztorysie, a ten od początku zakładał „straty własne”, czyli kradzież materiałów.

Wiktora zupełnie nie obchodziło, co robotnicy podprowadzają z budowy, on pragnął jednego: mieć na chleb dla siebie i młodszych braci. Ale koledzy z ekipy byli zainteresowani jego osobą...

Nie podobało im się, że majster traktuje „młodego” z pewnym pobłażaniem, że przydzielił go do grupy Zygmunta, zajmującej się wykończeniem wnętrza, a więc najlżejszą robotą, o którą oni sami musieli się długo starać, dlatego... postanowili „młodego” sprawdzić, a najlepiej dać mu do zrozumienia, że w hierarchii, mimo patronatu majstra, zajmuje najniższe miejsce.

Wiktor siadał właśnie przy wspólnym stole do obiadu, który fundowała firma, gdy ten, co siedział najbliżej niego, poderwał się raptownie. Gorąca zupa wylądowała na jego koszuli i spodniach.

– Ty gnoju – wysyczał do Wiktora. – Potrafiłeś mnie celowo. Wredny, zasrany gnoju...

Wiktor spojrział mu w twarz. Z rezygnacją i wyrzutem jednocześnie.

Tamten – a potężny był z niego chłop – chwycił go obiema rękami za koszulę na piersi, poderwał do góry, wyciągnął zza stołu i postawił przed sobą.

W sali, która służyła ekipie remontowej za jadalnię, zapadła martwa cisza. Spojrzenia wszystkich spoczęły na tej dwójce: wściekłym Zenku, co pięścią cegły kruszy, i młodym, tak szczupłym, że niemal chudym chłopaku, na którego żaden z nich złamanego szeląga by nie postawił.

– I co teraz? – odezwał się... młody.

Tego było Zenkowi potrzeba. Wziął zamach i rąbnął chłopaka pięścią w twarz.

Wiktor uchylił się – tak jak go uczono na kursach samoobrony – żeby oberwać na tyle, by trysnęła krew, ale nie aż tak, by stracić przytomność, a wraz z nią panowanie nad sytuacją. Uderzeniemiotnęło nim o ścianę. Wierzchem dłoni otarł krew z rozbitego nosa.

– Wystarczy ci czy jeszcze trochę chcesz się nade mną poznać? – zapytał napastnika spokojnym, niemal obojętnym tonem. – Jeśli to drugie, to uprzedzam, że oddam...

Zenka... szlag trafił.

Uniósł pięść do powtórnego ciosu i...

„Gdy przeciwnik jest silniejszy, ty musisz być szybszy”, brzmiały słowa instruktora.

I Wiktor był szybki. Nieprawdopodobnie szybki. Żaden z podnoszących się z miejsc robotników nie zarejestrował wzrokiem uderzenia. Zenek również nie. Dopiero co unosił pięść, by przypierdolić młodemu powtórnie, a już składał się wpół niczym scyzoryk, z trudem łapiąc oddech...

„Pamiętaj, że uderzenie w splot słoneczny może być śmiertelne. Jeżeli chcesz przeciwnika jedynie obezwładnić, wbij pięść poniżej mostka. Jeżeli musisz go – w obronie życia – zabić, uderz tak, by twoja pięść przeszła na wylot”.

Wiktor chciał dryblasę, przez którego zalał się przed chwilą krwią z rozbitego nosa i dorobił się na twarzy siniaka na następne dwa tygodnie, jedynie

obezwładnić.

Gdy przeciwnik padł na kolana, on sam – widząc podnoszących się od stołu robotników, równie wściekłych jak przed chwilą ich kompan – chwycił pierwszy z brzegu nóż do chleba i błyskawicznie cofnął się w róg sali. Tego również uczono na kursach samoobrony: „Za plecami musisz mieć ścianę albo przyjaciół. Przed sobą najwyżej dwóch, trzech wrogów. Z tyłoma sobie poradzisz”.

Zbliżali się z minami niewróżącymi niczego dobrego. Oto gnojek z zewnątrz, dupowłaz majstra, znokautował jednego z nich. To nie mogło mu ująć płazem...

Wiktor widział furię na twarzach tych prostych, ale silnych jak byki ludzi, z których każdy trzymał w ręku coś, co mogło zabić i – uzbrojony tylko w nóż – czekał... Czekał nie na odsiecz, bo tej się nie spodziewał, lecz na walkę, w której wygra albo polegnie. Taki widać był jego los...

– Co tu się dzieje?! – ryk majstra usłyszeli wszyscy.

Ale nikt nie zareagował. Ani Wiktor nie opuścił noża, ani napastnicy.

– W dziesięciu chłopca na jednego dzieciaka?! Spierdalać na swoje miejsca, bo wzywam policję!

To poskutkowało. Robotnicy, obrzucając i majstra, i Wiktora wilczymi spojrzeniami, niechętnie zaczęli wracać na swoje miejsca za stołem. Zenek także jak gdyby nigdy nic pochylił się nad talerzem z resztką zupy...

– O co poszło, chłopcze? – Majster podszedł do Wiktora, wyjął mu nóż z ręki, która nagle zaczęła drżeć, i odłożył go na stół. – Co się stało, że na swoich kozik podnosisz?

Wiktor miał wybór: zakapować jednego z robociarzy albo milczeć. W pierwszym przypadku tamten straci pracę, która być może była mu tak rozpaczliwie potrzebna jak Wiktorowi, w drugim... będzie miał przesrane.

– Spadłem ze schodów – odparł, ocierając ciekącą z nosa krew.

– Ze schodów?! – wybuchnął gniewem majster. – Czy te schody wiedzą, że taki gówniarz jak ty zamiast chodzić do liceum musi zapierdalać na budowie, by utrzymać siebie i dwójkę kilkuletnich braci? Czy schody wiedzą, że masz nie więcej niż szesnaście lat i skurwysyństwem jest ciebie w dziesięciu atakować?

Robotnicy milczeli, wpatrzeni w talerze ze stygnącą zupą.

– To pytanie do schodów, nie do mnie, panie majstrze – odparł Wiktor i tym... rozbroił ich wszystkich.

Któryś parsknął śmiechem. Reszta mu zawtórowała. Wreszcie nie wytrzymał i sam majster. Tylko Wiktor, czując, jak od uderzenia pęka mu czaszka, puchnie policzek i krew z nosa spływa do gardła, jakoś nie był chętny dzielić z nimi radości.

– Zimny okład i będziesz żył. – Majster klepnął go serdecznie w ramię i wyszedł, wiedząc, że jego podopieczny, z pozoru – ale tylko z pozoru – tak wąły

i niegroźny, poradzi sobie...

– Wybacz, młody – odezwał się ten, który sprowokował zajście. – To ja wylałem na siebie tę pierdoloną zupę. Zrozum, musieliśmy wiedzieć, czy nie jesteś kapusiem majstra.

Wiktor powoli ruszył w jego stronę i siadł obok.

– Zależy mi tylko na pracy – odparł cicho. – Nie byłem i nie będę niczyją wtyczką.

Zenek odetchnął w duchu. Gdyby gówniarz go wskazał, straciłby dobrze płatną robotę.

– To co, młody, piątka? – Uniósł dłoń.

– Nie mam piątki na zbyciu – odrzekł Wiktor i zajął się swoim posiłkiem.

Ręka tamtego może i opadła, ale szacunek i jego, i reszty dla chłopaka, który harował ramię w ramię z nimi, by utrzymać siebie i braci, wzrósł. Od tego dnia nikt z robotników nie wątpił już w lojalność, czy raczej bezstronność najmłodszego z ekipy, a i Wiktor nie dał im nigdy powodów, by w niego zwątpili. Stał się jednym z nich. Prostym robolem, walczącym o przeżycie swoje i swojej rodziny.

Różnił się od nich jedynie tym, że oni połowę swojej tygodniówki przepijali, on zaś każdy grosz odkładał na ubrania dla braci, którzy rośli szybciej, niż on zarabiał, na jedzenie dla ciągle głodnej dwójki, na podręczniki, długopisy i gadzety, dzięki którym ani Patryk, ani Marcin nie odstawali od reszty uczniów. Sam mógł nie dojechać i po powrocie do domu padać ze zmęczenia, byle tylko młodsi bracia mieli wszystko, by wyrosnąć na porządnych ludzi.

Nigdy o tym nie zapomnieli.

A Patryk do dziś pamiętał, jak do spuchniętego policzka Wiktora przykładął kostkę zimnego masła, by opuchlizna trochę zesza, a ból zelzał.

– Spoko, mały – odezwał się wtedy Wiktor. – Jedno głupie uderzenie z pięści po tresurze Tamtego jest niemal pieszczotą...

\*

Dzisiaj w małej celi aresztu tymczasowego to wspomnienie zmusiło go do półuśmiechu... Wtedy był zaledwie chłopcem po przyspieszonym kursie samoobrony w domu kultury, a mimo to poradził sobie. Teraz był mężczyzną, który dwa razy w tygodniu fundował sobie wycisk z najlepszymi instruktorami sił specjalnych. Dziś umiał nie tylko wbić pięść w splot słoneczny.

Raz jeszcze zlustrował wzrokiem towarzystwo, do którego trafił.

Dwaj współwięźniowie rzucili pytające spojrzenie recydywiście. Ten ostentacyjnie podniósł się z pryczy i stanął twarzą w twarz z Wiktorem.

– Co za kurwa budzi porządnych obywateli w środku nocy? – rzucił, mierząc nowo przybyłego przeciągłym spojrzeniem. I nagle... uśmiechnął się, mlaskając oblesnie językiem. – W sumie to przyda się nowa dupa.

Wiktor również się uśmiechał. Wiedział, że to sprowokuje atak każdego, szczególnie dobrze umięśnionego półmózga. I po prostu chciał mieć tę konfrontację za sobą.

Tamten chwycił go pełną garścią za koszulę.

– I czego zęby szczerzysz, panienko? Poczekaj, aż gliny spuszczą cię z oczu, dopiero będziesz się szczerzył...

Policjant, który aresztował Wiktora, a teraz wbijał wzrok w ekran monitoringu, zaczął się podnosić... Lecz w następnej chwili opadł na krzesło.

Wiktor od niechcienia ujął ramię bandziora i z całej siły wbił mu kciuk w nerw łokciowy. Bandzior nie krzyknął z bólu tylko dlatego, że w porę zacisnął zęby. To by dopiero była kompromitacja... Ale ręka zaczęła mu drżeć. Wiktor, nadal obejmując dłonią w pozornie przyjacielskim geście ramię wytatuowanego bydlaka, wyszeptał tak, by jego głosu nie zarejestrowała monitorująca celę kamera:

– Jestem radcą prawnym bardzo, ale to bardzo złych chłopców. Jeśli nie chcesz, żeby moi przyjaciele zrobili ci samobójstwo, po prostu odpuść. I przekaż to pozostałym. Nie lubię się powtarzać.

Tamten puścił Wiktora tak raptownie, jak go chwycił, wygładzając jego koszulę niczym na gangsterskim filmie.

– Ty, ciota, wypierdalaj na górę – syknął do chłoptasia, który zajmował dolną pryczę. Ten bez słowa zgarnął poduszkę i koc i prysnął na pierwsze piętro. – Najlepsza miejscówka dla pana mecenasa. – Bandzior wskazał łóżko zachęcającym gestem.

Wiktor rzucił na pryczę koc i poduszkę, nie spuszczając wzroku z nowego kumpla. Jeszcze nie całkiem był go pewien.

– Tylko nie sygnij mnie glinom – rzucił półgłosem.

Tamten zachnął się.

– Ja i psy?!

– Jak masz na imię? – zapytał Wiktor, wyciągając dłoń.

Tamten niemal mu ją zmiażdżył, tak że teraz Wiktor musiał zaciskać zęby.

– Adam. Jak ten od Adama i Ewy.

– Gdybyś potrzebował bezpłatnej porady prawnej, masz mnie na miejscu co najmniej do poniedziałku.

– Dzięki, papugo, że tak powiem. Jesteś spoko gościu. Jeśli któryś go tknie, dostanie wpierdol – rzucił w przestrzeń.

Pozostałych dwóch po prostu odwróciło się do ściany. Żaden nie chciał zadzierać ani z bandziorem, ani z tym nowym.

– Jeszcze jedno, kolego – odezwał się Wiktor, a jego nowy kumpel stanął niemal na baczność. – Dopóki dzielimy celę, nie życzę tu sobie żadnych burd ani gwałtów. Mam za sobą ciężką noc i chcę odpocząć.

„Odpocząć w areszcie?! Co ty bredzisz, Wiktor?!”, zaśmiał się w duchu



z absurdalności sytuacji.

– Spoko, szefie – odparł tamten. – Ja jestem prawdziwy facet. Ciot nie tykam. Jeśli tamten – wskazał żuła – będzie miał ochotę, spuszczę mu wpierdol. Porządek w celi ma być!

– Dzięki, Adam. Mogę na ciebie liczyć? – Wiktor klepnął go w ramię. Tamten oddał. Z całej siły, ale elegancik w garniturku ani się skrzywił. I bandzior nagle spokorniał: jeżeli to rzeczywiście doradca mafii, lepiej trzymać łapy przy sobie. On był zwykłym złodziejem, tylko kradł, nie chciał ryzykować głową dla głupiego mordobicia, a mafia, jak wiadomo, nie wybacza...

– Będziesz miał tu spokój, mecenasie, jak we własnej chacie – zapewnił.

Wiktor mierzył go jeszcze przez parę chwil lodowatym spojrzeniem: mógł zaufać swojej intuicji czy musiał się mieć na baczności? Tamten raz jeszcze zmiażdżył mu dłoń uściskiem, po czym rzucił się na swoją pryczę, zasłaniając oczy przedramieniem.

„Ptryk, jeśli ci moje życie miłe, pospiesz się z odsieczą”, pomyślał Wiktor, kładąc się na swoim miejscu.

Wiedział, że cela jest monitorowana. Wiedział, że non stop jest pod obserwacją, by broń Boże nic się obywatelowi Stanów Zjednoczonych Ameryki w polskim areszcie nie stało. Ale miał też świadomość, że taki byk jak ten na pryczy obok potrzebuje sekundy, by skrócić jemu, Wiktorowi, kark, albo udusić go we śnie poduszką. Bandzior miał niewiele do stracenia: parę lat w pierdlu więcej. Wiktor przeciwnie – w tym momencie stawiał na szali losu swoje życie.

I zaryzykował. Uznał, że lepiej zaufać bandycie niż tym, którzy go tu wsadzili. Na zlecenie Tamtego.

Rzucił się na pryczę, nakrył cienkim kocem i posyłając ostatnią myśl Gabrysi, zasnął. Tak głęboko i spokojnie, jakby to był jego apartament w hotelu Bristol, a nie cela w żoliborskim areszcie.

## ROZDZIAŁ V



Patryk bynajmniej nie wrócił do wygodnego łóżka, chociaż ze zmęczenia i frustracji był bliski wybuchu. On, ten najbardziej zrównoważony, najłagodniejszy z braci Prado, czuł, jak mimo późnej pory jego wściekłość narasta.

Musi zapewnić bezpieczeństwo Wiktorowi, po prostu musi!!!

Do amerykańskiego konsula nie mógł się dodzwonić – pieprzyć dziada! – za to wpadł na inny pomysł...

„Wiktor, nie zostawię cię na pastwę losu i policji”, przyrzekał w myślach, dzwoniąc pod pewien numer.

Jego właścicielka – pewna dziennikarka – mogła się okazać przydatna. Zwłaszcza że od pierwszego wejrzenia zakochała się w Patryku Prado. „Zakochała” to za duże słowo w środowisku mediów – powiedzmy, że chciała tego pięknego, niebieskookiego blondyna przelecieć...

– Angie, przepraszam, że dzwonię w środku nocy, ale jest temat na pierwszą stronę – zaczął, gdy tylko rzuciła zaspane „Jeśli świat się nie wali albo islamiści nie wysadzili pół miasta, spierdalaj...”.

Zaraz potem jednak, słysząc głos mężczyzny, który był ucieleśnieniem jej dziewczęcych marzeń o rycerzu na białym koniu i tak dalej, natychmiast oprzytomniała.

– Patryś! – Odtrąciła faceta, z którym właśnie była w łóżku. Kto to właściwie był? Nie знаła człowieka... – Co u ciebie? Spotkamy się?

Ostatnio dał jej kosza, a ona nie przyjmowała odmowy do wiadomości...

– Owszem. Za godzinę w areszcie na Włóściańskiej – odrzekł Patryk.

Angela aż usiadła.

– Masz dla mnie materiał?

– Mam. I docień, że jesteś pierwsza. Wchodzisz w to?

– Pytanie! – prychnęła, szturchając łokciem chrapiącego gościa, którego w ogóle sobie nie przypominała z imprezy dobroczynnej, na której była tego wieczoru. – Gdzie mam być? Z kamerzystą czy bez?

– Ty sama wystarczysz – odrzekł Patryk.

Gdy sobie przypominała jego niebieskie oczy...

– Będę za kwadrans, góra dwa – przyrzekła, rzucając wymowne spojrzenie facetowi, który niemrawo wygrzebywał się z hotelowego łóżka.

Patryk Prado to zupełnie inna klasa niż to tutaj badziewie. Jeśli istniała szansa, by jej, Ance Grabowskiej, pseudonim Angela G., udało się go zdobyć, była gotowa dać mu wszystko, czego tylko potrzebował.

\*

Majka też była gotowa, tylko na coś wręcz przeciwnego. Marzyła, by zagrzebać się w koldrę i poduszki we własnym łóżku i zasnąć jak kamień. Po czym najlepiej nie obudzić się aż do dnia, gdy Gabriela i Wiktor staną na ślubnym kobiercu, zamieszkają w chacie pośrodku lasu i będą tak sobie żyli, w szczęściu i miłości, do końca swoich dni. Przynajmniej jedną przyjaciółkę miałyby odhaczoną.

Tymczasem gdzieś koło trzeciej nad ranem szła szpitalnym korytarzem, po drodze czarując wszystkich, którzy próbowali jej wyjaśnić, że pora odwiedzin wypada między dziesiątą a osiemną.

Julia nie spała, jak oni wszyscy tej przekłętej nocy. Próbowwała skupić się na tym, co puszczają w telewizji, ale myślami była z Majką i Gabrysią. One stanowiły jej najbliższą rodzinę. Jeżeli którejkolwiek z nich stałaby się krzywdą...

Majkę, która nagle stanęła w drzwiach, powitała zduszonym okrzykiem.

– Co z Gabrielą?

– Cała, zdrowa i bezpieczna – odparła dziewczyna, osuwając się na fotel stojący przy łóżku chorej. – Jezu, ześlij mi parę godzin spokojnego snu... – wyszeptała, zamykając oczy.

Ale spokojny sen nie był jej jeszcze dany.

– Mów! Opowiadaj! Co się właściwie stało?!

– A na jakim etapie jesteś?

– Streściłaś mi przez telefon historię pana Antoniego, braci Prado, Wiktora i Gabrieli.

– Ale już tego, co się wydarzyło po zniknięciu Gabrieli, nie?

– Majka, oprzytomniej! To ja was zaalarmowałam! Mieliście jej szukać! Od niekończących się godzin umieram ze strachu o nią!

– Jak my wszyscy... – wyszeptała Majka, zamykając oczy.

Julka szarpnęła ją za ramię i zażądała:

– Mów. Odpłyniesz za chwilę.

Dziewczyna zebrała się więc w sobie i opowiedziała o samotnej eskapadzie Gabrieli ze szpitala aż na most, zakończonej w Stanach.

– Rany boskie, chciała skakać do Wisły?! Dlaczego na to pozwoliłyśmy?! – wykrzyknęła w pewnym momencie Julia.

– Kobieto, odpuść sobie wpędzanie mnie w poczucie winy – wymamrotała Majka. – Grunt, że oboje są bezpieczni: Gabryna tysiące kilometrów stąd, Wiktor w pierdłu.

– W jakim pierdłu?! – jęknęła Julia, bo do tej części opowieści Majka jeszcze nie dotarła.

– Aresztowali go... właściwie nie wiem za co, bo to nie on strzelił Kuchtę

pejczem po ryju. Ale nie bój nic, Patryk, ten co marzy nie o mnie, a o swojej Julii, nie pozwoli, by ktokolwiek skrzywdził jego brata. Już się tym zajął. Chyba. Bo dzisiaj sobota.

– Majka, ja nic nie rozumiem... – jęknęła Julia. – Co ma do tego sobota?!

Dziewczyna westchnęła w duchu: „Ludzie, dajcie mi się przespać chociaż godzinę!”, po czym dokończyła swoją opowieść.

Julia opadła na poduszkę.

– To wszystko moja wina – wyszeptała.

– Dlaczego?! – Majka, autentycznie zdziwiona, uniosła brwi.

– Rano nagadałam Gabrieli strasznych rzeczy...

Jej przyjaciółka odetchnęła, bo gdyby zamiast tego Julia powiedziała, że to ona zleciła porwanie Gabrieli... Zaraz, jakie porwanie?! Przecież Gabi poleciała do Ameryki z własnej, nieprzymuszonej woli!

„Chyba mózg zaczyna mi się lasować”, pomyślała i odparła zmęczonym głosem:

– Weź, nie bądź głupia... Twoja wina, że Wiktor miał przesrane dzieciństwo? Twoja, że spotkał Gabriellę i zakochali się w sobie bez przytomności? Twoja, że...? Daj spokój. – Machnęła ręką. – Gabi jest na razie bezpieczna. A Wiktor...? Tego nie wiem, bo go usadzili w areszcie. Kur... Gdybym mogła dorwać Kuchtę w swoje ręce, nie skończyłoby się na jednym głupim smagnięciu pejczem. Sytuacja jest więc opanowana. I takimi wieściami poczęstuję za parę chwil pana Antoniego. A ty, jeśli wychylisz się z czymś, co mogłoby mu zaszkodzić... – zawiesiła głos.

Julia patrzyła na przyjaciółkę, jakby ją widziała po raz pierwszy w życiu. Ale nikt z nas nie jest przygotowany na totalną apokalipsę i każdy radzi sobie wtedy, jak może. Majka czyniła wszystko, co w jej mocy, by pozostać przytomną, w miarę spokojną i nie zwariować.

Choć jedna tequila – podwójna! – by się jej teraz przydała. Albo przynajmniej mocna kawa. Z red bullem.

– Idę. – Podniosła się tylko dzięki sile woli. – Mam nadzieję, że wpuszczą mnie do pana Antoniego i nie zabiją go tą opowieścią.

– Mnie zabiłaś – wyszeptała Julia.

– Ale żyjesz i żyć będziesz. Jego zabrało pogotowie.

– Oszczędź mu chociaż tego kawałka, jak Gabriela chciała skakać do Wisły.

– I nie tylko tego. Spokojnie, Jula, to będzie radosna opowieść z happy endem. – Poklepała przyjaciółkę po ręce, ucałowała w policzek i powlekła się do drzwi.

Na szczęście OIOM, na którym leżał starszy pan, znajdował się tylko kilka pięter niżej.

Parę chwil później Majka znów musiała użyć wrodzonego wdzięku, by

lekarz dyżurny pozwolił jej na krótką wizytę u chorego. Przekonując doktora cichym głosem, patrzyła przez duże okno na leżącą w rogu sali kruchą postać ojca Gabrysi. Czy to na pewno dobry pomysł, by go teraz budzić? Sama nabrała wątpliwości i już miała się zgodzić z lekarzem, by przełożyć wizytę na rano, gdy pan Antoni otworzył oczy, spojrzał na Majkę i wyciągnął ku niej dłoń błagalnym gestem.

Bez namysłu otworzyła drzwi do przeszklonego pomieszczenia i podeszła do otoczonego kroplówkami i aparaturą łóżka, na którym leżał staruszek. Chwyliła jego drżącą dłoń w swoje ręce i przez chwilę oboje próbowali zapanować nad wzruszeniem.

– Na pewno mojej córeczce nic nie jest? – wyszeptał, patrząc Majce prosto w oczy.

– Jest cała, zdrowa, bezpieczna i... chyba szczęśliwa. Nawet na pewno. Zdradziłam Gabrysi nasz mały sekret. Już wie, że Leśna Polana należy do niej.

Pan Antoni uśmiechnął się i zamknął oczy. Po policzku spłynęła mu samotna łza. Majka otarła ją delikatnie.

– Co się z nią stało? – Staruszek znów patrzył na dziewczynę. – Doktor powiedział mi tylko, że Gabrysia się odnalazła i wszystko z nią dobrze. Ale przecież...

No, Majeczko, teraz musisz być bardzo ostrożna.

– Wyszła ze szpitala, popałętała się po mieście i... właściwie nie wiem dlaczego, może przeszła duchową przemianę...? nagle postanowiła polecieć do Nowego Jorku, prosić Wiktora o pieniądze na tę chałupę.

– Przecież Wiktor jest tutaj, w Polsce.

– No tego właśnie Gabi nie wiedziała. Ale to dobrze, prawda? Jest tysiące kilometrów stąd. Od Kuchty dzieli ją cały ocean. Dopóki tu nie wróci, będzie bezpieczna.

– Ale Wiktor nie jest bezpieczny – szepnął pan Antoni. – Widziałaś, w jakim stanie wrócił od Tamtego. To się musi wreszcie skończyć.

– Chętnie podsypałabym Kuchcie trutki na szczury, ale poszłabym siedzieć jak za człowieka – odparła Majka ponuro.

– On czeka na mnie – znów ten cichy szept i nieobecne spojrzenie Leszeńskiego sprawiły, że dziewczynie serce zamarło na parę chwil.

– Panie Antoni, niech pan nawet nie próbuje rozmawiać z tym bydlakiem! On jest niebezpieczny, a Gabrysia pana potrzebuje. Jest pan jej jedyną rodziną!

– Ma nie tylko mnie. – Uśmiechnął się, uniósł jej dłoń do ust i ucałował. – Jesteście przy niej ty i Julisia. Jest Wiktor. Są jego bracia. Nie pozwolicie skrzywdzić mojej Gabrysi po raz kolejny. Przyrzeknij mi to.

Majka zdobyła się tylko na skinięcie głową.

Pan Antoni opadł na poduszkę i ponownie zamknął oczy. Był tak blady, że

gdyby nie unoszący jego pierś oddech i pikająca miarowo aparatura, Majka przeraziłaby się, że zabiła go tymi odwiedzinami. Poczula na ramieniu dłoń lekarza. Wstała i ruszyła do drzwi.

– Majeczko – zatrzymał ją w połowie drogi szept pana Antoniego. – Powiedz Gabrysi, że bardzo ją kocham. I żeby mi wybaczyła... Wszystko...

– Sam jej pan to powie – ucięła gniewnie Majka, po czym wyszła, opadła na stojące na korytarzu krzesło i zaczęła cicho płakać. Ze zmęczenia, żalu, strachu, wreszcie ulgi, że zaraz znajdzie się w swoim bezpiecznym domu, bez grożących jej bestii z pięciopalczystym pejczem. Padnie na swoje łóżko, nakryje się po czubek nosa pościelą pachnącą letnią łąką, wtuli twarz w poduszkę i...

– Proszę pani, wszystko w porządku? – obudził ją głos doktora.

Zamrugła. Spojrzała nań półprzyciemnie.

– Wygląda na to, że zasnęłam na siedząco.

– I z otwartymi oczami – zaśmiał się lekarz. – Skąd ja to znam. Wezwać taksówkę?

– Jeśli byłby pan tak miły...

– Nie ma sprawy. Może się pani zdrzemnąć przez ten kwadrans. Tylko proszę nie spaść z krzesła.

Wrócił do dyżurki, a Majka pomyślała, że świat nie jest jeszcze do końca zły, skoro istnieją na nim tacy ludzie jak ten doktor, pan Antoni, Wiktor, Patryk, Gabrysia, Jula... Z tą myślą pół godziny później zapadała w sen, tak jak sobie wymarzyła: we własnym, cudownie miękkim łóżku, z twarzą wtuloną w poduszkę.

Patryk Prado nadal mógł o tym tylko pomarzyć.

Czekając w taksówce przed aresztem na Angelę, wypił dwa red bulle i po kilku minutach poczuł, że wraca mu jasność umysłu i siła na jeszcze jedną walkę.

Dwa kwadransy później, co i tak było dla tej kobiety rekordem, jego znajoma wysiadła z samochodu, już w pełnym makijażu, z umyтыми naprędcami, rozjaśnionymi na platynowy blond włosami, które spadały jej na nagie plecy. Obcisła i wydekoltowana sukienka, którą miała na sobie, nie bardzo pasowała ani do późnej pory, ani do miejsca, w którym za chwilę oboje się znajdą, ale... praca pracą, a druga szansa na usidlenie Patryka Prado tak szybko się nie przydarzy!

Patryk ucałował szarmancko jej dłoń, co za każdym razem tak samo Angelę rozbrajało, obrzucił nieprzeniknionym spojrzeniem obcisłą, błyszczącą sukienkę z cekinów i odezwał się:

– Dziękuję, że przyjechałaś. Możemy usiąść w twoim samochodzie? Opowiem ci pewną historię...

O trzeciej nad ranem Angela wolałaby wprawdzie robić różne zdrożne rzeczy, zamiast wysłuchiwać jakichś historii, ale dla tego przystojniaka mogła się poświęcić. Było warto... Gdy tylko zaczął mówić, dziennikarska intuicja podszeptała jej, że dostaje naprawdę mocny materiał. Znęcanie się nad trójką

pasierbów? To się zawsze dobrze sprzedaje. Zwłaszcza okraszone przerażającymi zdjęciami pociętych drutem dziecięcych pleców. Angela aż się zachłysnęła oddechem, widząc pierwsze fotografie z „albumu rodzinnego”. A jeszcze katem jest znany prokurator? Pysznie!

– Dajesz mi to na wyłączność? Mogę o tym napisać? O was? – musiała się upewnić, gdy Patryk skończył opowieść na wydarzeniach tego wieczoru. – Te zdjęcia pójdą na pierwszą stronę, staniecie się sławni, ty, twoi bracia i ta kobieta... Nie mówiąc już o Kuchcińskim. Na pewno tego chcesz?

– Żadnemu z nas nie zależy na sławie, ale jeśli w ten sposób możemy ukrócić Kuchtę, jesteśmy gotowi ponieść ryzyko.

– Może się mścić – zauważyła. Po Angeli uwodzicielce nie został nawet ślad. Przeglądając pospieszne notatki, zmieniła się w wytrawną dziennikarkę. – Skompromitujecie go nie tylko w środowisku jego kumpli, ale i tam, gdzie mieszka.

– Zasłużył na to. A jego zemsty się nie boję. Zabić nas nie zabije, bo podejrzenie od razu padłoby na niego. Gabrysia jest bezpieczna. Nic nikomu nie zrobi ten pies z powybijanymi zębami.

– Skoro jesteś tego pewien...

– Jestem. – Stanowczym gestem podał jej album. – Chodźmy do Wiktora. Zanim padnę, muszę wiedzieć, że jest bezpieczny. Jeżeli zamknęli go w celi z jakimiś żułami...

Oczywiście zrobili to. Patryk już miał wybuchnąć gniewem, a Angela już miała sięgać po dziennikarską legitymację, gdy dyżurny – zaraz po wylegitymowaniu młodego mężczyzny, który miał przy sobie paszport Marcina – odwrócił ku niemu ekran komputera, na którym wyświetlały się zrzuty z kamer monitoringu. Nacisnął klawisz i oto ukazało się wnętrze niedużej celi, w której spokojnie spało czterech mężczyzn. Z trzema z nich Patryk nie chciałby mieć do czynienia. Czwarty był jego bratem.

– Nie wiem, co naopowiadał temu wytatuowanemu... – odezwał się drugi policjant, puszczając fragment nagrania, na którym Wiktor wymienia z nowym znajomym parę zdań – ...ale od tego momentu jest cisza i spokój. Wszyscy grzecznie śpią. Proszę się nie martwić, wszystko pod kontrolą.

Patryk prychnął tylko.

– Proszę się nie martwić?! Zamknęliście niewinnego człowieka w areszcie z trzema bandziorami na co najmniej dwa dni i mam się nie martwić?!

– Jutro z samego rana przeniesiemy go do jedyńki – wtrącił sierżant Wolski.

– Sprawdź to – rzucił Patryk.

Wolski tylko skinął głową. Już tam, w mieszkaniu, wiedział, że to aresztowanie jest błędem. Mogli spokojnie wstrzymać się do poniedziałku. Tyle że prokurator, poderwany o północy telefonem od starego druha Kuchcińskiego,

domagał się natychmiastowej interwencji...

– Pana bratu włos z głowy nie spadnie, panie Marcinie – zapewnił raz jeszcze.

„Marcinie?!”, Angela spojrzała na Patryka ze zdumieniem. Ten wzruszył wieloznacznie ramionami. Gdyby przedstawił się jako Patryk Prado, gliniarze mogliby go zatrzymać. Bądź co bądź, mieli nakaz jego aresztowania. A tak wystarczyło wyciągnąć amerykański paszport Marcina, do którego Patryk był przecież bliźniaczo podobny, i po sprawie. Jedyne Marcin mógłby wyskoczyć jak filip z konopi, gdyby przyjechał od razu do aresztu.

– Kiedy będę mógł porozmawiać z Wiktorem? – zadał ostatnie pytanie.

Policjant spojrzał na dyżurnego.

– Jestem jego bratem i jednocześnie prawnikiem – dodał surowym tonem.

– Po śniadaniu. O dziesiątej – odrzekł gliniarz niechętnie.

Nie lubił papug, nie lubił prokuratorów i nie lubił takich spraw jak ta. I jeszcze przysłuchująca się wszystkiemu z niezdrową ciekawością kobieta, którą ten mecenasik przyprowadził ze sobą... Spojrzał na nią podejrzliwie. Ona uśmiechnęła się równie szeroko, co nieszczerze.

– Dobrze się pan domyśla, panie posterunkowy – odezwała się słodkim głosem. Zanim zdążył się zachnąć, że ma stopień młodszego sierżanta, dokończyła:

– Jestem dziennikarką z „Faktów i Skandali”.

– Poproszę legitymację! – warknął.

– Na razie interesuję się tą sprawą prywatnie, jako przyjaciółka braci Prado – pospieszyła z uspokojeniem, w którym zabrzmiała niewypowiedziana groźba: „Nie chcecie, bym zainteresowała się waszymi poczynaniami służbowo”.

Policjanci zrozumieli tę groźbę. Bez słowa przełknęli upokorzenie.

– Przyjdziemy jutro punkt dziesiąta – rzekł Patryk i skierował się do wyjścia.

Nikt nie wątpił w to, że tak właśnie będzie.

Chwilę później otwierał przed Angielą drzwi jej samochodu.

– Podrzucę cię, gdzie chcesz – zaoferowała się dziennikarka.

Już miał odmówić, bo nie chciał jej dawać nadziei na gorące zakończenie tego spotkania, gdy dodała:

– Wyglądasz jak z krzyża zdjęty. Odwiozę cię do hotelu czy mieszkania, upewnię, że pójdziesz prosto do łóżka, i znikam pracować nad artykułem. Chciałabym, żeby ukazał się w poniedziałek.

Posłał jej pełne wdzięczności spojrzenie, podał adres swojego hotelu i usiadł na miejscu pasażera, po czym przymknął powieki i chyba na chwilę zasnął, bo nie zapamiętał ani chwili z tej podróży.

– Jesteśmy na miejscu, Patryk – dźwięk głosu Angeli i delikatny dotyk jej dłoni na ramieniu sprawiły, że otworzył oczy, przytomniejąc gwałtownie. – Dotrzesz do pokoju sam, czy chcesz, żeby cię odprowadzić?



– Dam radę – mruknął, trąc piekące powieki. – Dzięki, Angelika.

Dochodziła piąta nad ranem, gdy przed udręczonym do granic Patrykiem otwierano wielkie szklane drzwi hotelu Bristol.

Marząc tylko o szybkim prysznicu, lampce wina i długim śnie w wygodnym łóżku, już miał kierować się do windy, gdy recepcjonistka podbiegła doń i rzekła przyciszonym tonem:

– Panie Prado, czeka na pana jakaś kobieta. Czy mam powiedzieć, że udał się pan na spoczynek, czy też zamieni pan z nią kilka słów? Powiedziała, że to ważna sprawa rodzinna, i nie pozwoliła się wyprosić. Jest w barze nocnym. Wygląda... dosyć niecodziennie... Naprawdę próbowałam odwieść tę panią od spotkania, ale... to chyba naprawdę ważne. Przepraszam, jeśli postąpiłam niewłaściwie.

Patryk westchnął tylko w duchu. Widocznie dla niego ta noc będzie trwać do następnego ranka. Za oknami już zaczęło świtać.

– Proszę ją zawołać – westchnął.

Niewiele osób wiedziało, że przyjechali do Polski. Przyjaciół tutaj nie mieli, rodziny tym bardziej, spotkania biznesowe były poumawiane. Nie miał pojęcia, kto o tej porze mógł się domagać rozmowy...

W następnej chwili już miał. I musiał się zdumieć:

– Co pani...? Co ty tu robisz?!

\*

Julia przez pół nocy czekała na jakiegokolwiek informację o Gabrieli, gdy wreszcie usłyszała od Majki, udręczonej, ale szczęśliwej, że ich przyjaciółka jest w Nowym Jorku i ma się całkiem nieźle.

Już miała nadzieję, że najgorsze za nimi, że teraz przynajmniej dla Gabrysi zaświeci słońce, bo przecież odnalazł się też Wiktor, w tajemnicy kupił jej wymarzony domek, jeszcze tylko wybaczą sobie nawzajem, zapomną o przeszłości, która nie pozwalała im być ze sobą, i choć jedna przyjaciółka będzie szczęśliwa, ale okazało się to mrzonką.

Opowieść Majki wstrząsnęła Julią. Tragedia Gabrieli i Wiktora jeszcze bardziej. Po wyjściu przyjaciółki dziewczyna nie mogła zasnąć, mimo że była równie zmęczona co wszyscy. Owinęła się w szlafrok i zeszła dwa piętra niżej, zobaczyć chociaż przez szybę, czy z panem Antonim jest wszystko w porządku.

Na szczęście chyba tak było. Starszy mężczyzna spał. Pielęgniarka nie pozwoliła Julii wejść do sali, ale doktor, który się pacjentem opiekował, zapewnił dziewczynę, że wszystko będzie dobrze. Potrzeba tylko czasu i spokoju.

– Czasu panu Leszeńskiemu nie zabraknie, ale co do spokoju... – Julia pokręciła głową.

Pragnęła z kimś porozmawiać albo chociaż posiedzieć w milczeniu. Nie

chciała jeszcze wracać do pustego szpitalnego pokoju, w którym nikt ani nic na nią nie czekało. Doktor zrozumiał to bez słów.

– Może wejdzie pani na chwilę do dyżurki, zrobię dobrą herbatę – zaproponował.

Julia spojrzała w dobre, łagodne oczy starszego mężczyzny i uśmiechnęła się ze swą zwykłą nieśmiałością.

– Nie chcę przeszkadzać, panie doktorze...

– Gdybym był zajęty, nie zapraszałbym na kubek herbaty. Czy ktoś na oddziale wie, że opuściła pani pokój? – musiał zapytać.

– Nie. Przepraszam, ale wymknęłam się po cichu. Pielęgniarki nie lubią, gdy ktoś im zawraca po nocy głowę.

Musiał przyznać jej rację. Skinął zachęcająco ręką, otwierając drzwi do dyżurki, której jedną ścianę zajmowało olbrzymie okno na salę OIOM-u.

– Skąd pani zna Antoniego Leszeńskiego? – zapytał doktor, nalewając wody do czajnika.

– Proszę mi mówić po imieniu. Julia.

– Miło mi. Jan Braniewski.

– Jestem przyjaciółką jego córki, Gabrieli.

Doktor, z namaszczeniem odmierzający łyżeczką herbatę, podniósł nagle wzrok. Znał Gabriellę Leszeńską z opowiadań Wiktora. Wiedział, jak bardzo oboje siebie poranili. Zrobiliby wszystko, by odwrócić przeszłość, by jego przybrany syn – tak właśnie o Wiktorze myślał – wreszcie odnalazł drogę do szczęścia, ale wydawało się, że na razie, dopóki żyło wcielone zło, jest to niemożliwe... I oto w ciągu paru dni wszystko zaczęło nabierać tempa: Wiktor spotyka przyjaciółkę Gabrieli, choć raczej nie to pobite przez jakiegoś łachudrę nieszczęście, które przysiadło na krześle w rogu dyżurki, razem z tą drugą przyjaciółką kupują Gabrysi dom, w którym kiedyś z Wiktorem miała zamieszkać i...

– Ja z kolei jestem starym druhem Wiktora Prado – odezwał się.

Julia poderwała głowę. Oczy jej zognomniały.

– To pan jest tym doktorem, który zszywał mu ranę po pejczu?! – raczej stwierdziła, niż zapytała. Ten fragment opowieści Majki zapamiętała szczególnie dobrze. Wyobraźnia podsuwała jej widok szesnastoletniego chłopca okaleczonego przez bestię zwaną ojczymem i...

– Tak. Ja – uciął Braniewski, nie chcąc wracać do tamtych chwil.

Jednocześnie zdumiał go zbieg okoliczności. Oto Wiktor, zwykle bujający po świecie, przyjeżdża do Warszawy, spotyka przyjaciółkę Gabrieli, o której to przyjaciółce nie miał do tej pory pojęcia, razem zawiązują spisek, by kupić Leśną Polanę, symbol dawnej miłości, po czym... tu doktor się pogubił: ojciec Gabrysi trafia z zawałem na OIOM, druga przyjaciółka parę dni wcześniej na chirurgię, on sam akurat dziś w nocy bierze dyżur za chorego kolegę i oto na tym dyżurze...

– To moja wina. – Julia, o której na chwilę zapomniał, przerwała jego rozmyślenia.

– Twoja wina? – zdziwił się mimowolnie i spojrzał przez szybę na leżącego bez ruchu starszego człowieka.

Tylko pracująca miarowo aparatura była dowodem, że Antoni Leszeński jeszcze trzyma się życia.

– Nie, nie zawał pana Antosia. Ale to wszystko, co się dziś przydarzyło Gabrysi... i Wiktorowi... To moja wina – wyjaśniła, nic nie wyjaśniając.

– A co się przydarzyło Wiktorowi? – zapytał Braniewski powoli, stając przed Julią z kubkiem parującej herbaty.

– Przed jakąś godziną został aresztowany – odparła Julia, z trudem powstrzymując łzy. Ręce drżały jej tak, że doktor, który nadal nad sobą panował, chociaż ostatnie zdanie dziewczyny poruszyło go do głębi, odstawił kubek na stół i dopiero się odezwał:

– Wiktor został aresztowany? Za co?

– Za swojego brata, Patryka. – Julia wcale mu nie pomogła tym wyjaśnieniem.

Widział, że dziewczyna jest równie wstrząśnięta co on sam. Pewnie powinien zamiast herbaty zaparzyć jej melisy, może nawet podać coś na uspokojenie, ale najpierw musiał się dowiedzieć, za co, na Boga, aresztowali Wiktora!

– Opowiedz mi wszystko po kolei, dziecko drogie, bo chyba się pogubiłem.

– Przepraszam, panie doktorze. Ja chyba też... – Julia pokręciła głową, odetchnęła parę razy i opowiedziała mu o wydarzeniach ostatniego dnia i nocy. – Dlatego nie mogę zasnąć. Bo to moja wina. Gdybym nie nagadała Gabrysi tych wszystkich strasznych rzeczy, ona nie próbowałaby topić się w Wiśle, Wiktor z Patrykiem nie poszliby do Kuchty, ten bydlak nie oberwałby swoim własnym pejczem po twarzy, Wiktor nie trafiłby do paki, Gabrysia nie wyjechałaby do Stanów... Boże, co ja narobiłam... – jęknęła, kryjąc twarz w dłoniach.

Doktor milczał długo, próbując ułożyć sobie wszystko w głowie, a przede wszystkim odzyskać nad sobą panowanie. To, że Kuchta jest bestią, wiedział nie od dziś, ale przez paręnaście lat zdołał o tym bandycie zapomnieć. Ten, jak widać, nie zapomniał jednak o swoich pasierbach. I o Gabrieli.

– Spójrz na to z drugiej strony – odezwał się wreszcie, kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny. – Gdyby nie ty, Gabrysi nadal groziłoby niebezpieczeństwo. Może nigdy nie spotkaliby się z Wiktorem ponownie. A tak jej zniknięcie zmusiło wszystkich do działania. I dobrze. O Wiktora bym się nie martwił... – „Bardzo się martwię!”, wykrzyknął w duchu. – Ten chłopak poradzi sobie z każdym i wszędzie. Zresztą nie zostawimy go samego, o nie. Ja zaraz dzwonię do Patryka, natomiast ty...

Julia spojrzała nań błagalnie.

– Ja bym chciała wyjść ze szpitala. Jak najszybciej. Mogę się przydać...

– Właśnie miałem powiedzieć, że ty wracasz do łóżka i próbujesz zasnąć – roześmiał się cicho.

– Proszę, panie doktorze! – Złożyła ręce jak do modlitwy. – Wiktor ma was wszystkich: pana, swoich braci, Majkę, a Gabrysia jest na drugiej półkuli całkiem sama. Nie wiem, jak szybko Kuchta ją wytropi, nie wiem, co jej grozi. Nie chcę znów czekać tyle godzin w strasznej niepewności, co się dzieje z kimś, kogo kocham jak siostrę. Proszę mnie zrozumieć!

Doktor z namysłem pokiwał głową.

– Ja już zdecydowałam – dodała jeszcze. – Wracam do pokoju po swoje rzeczy i wymykam się, czy będę miała pana zgodę, czy nie.

– Wszystko rozumiem, drogie dziecko, ale nie mogę cię ot tak wypisać. Nie jestem twoim lekarzem prowadzącym. Mógłbym z nim porozmawiać, ale jeśli twoje zdrowie będzie zagrożone, nikt nie zaryzykuje wypisu. Nawet na własne żądanie.

– Zatrzymacie mnie siłą?! – wybuchnęła.

Aż musiał ją zmitygować syknięciem.

Ale potem dodał:

– Tak, na wniosek sądu możemy cię zatrzymać.

Julia coś o tym wiedziała. Już parę razy grożono jej sądem, gdy chciała uciekać z psychiatryka. Teraz opadła na oparcie krzesła, pokonana tak jak ponad pięć lat temu.

– To co ja mam robić? – wyszeptała bezradnie.

– Wróć do pokoju. Co potem zrobisz, pozostanie między nami. Do rana masz czas, żeby zniknąć na dobre. Tylko zostaw jakąś wiadomość dla pielęgniarek.

Spojrzała na doktora ze zdumieniem.

– Naprawdę pozwala mi pan wyjść?

– Ależ absolutnie! Mówię tylko, co ja bym zrobił, gdyby to Wiktor, któryś z jego braci albo moja żona potrzebowali pomocy. Nic by mnie nie powstrzymało.

Julia wstała powoli. Miała w oczach taką samą powagę jak doktor Braniewski.

– Dziękuję – odezwała się cicho. – Wracam do pokoju. Może zdołam zasnąć.

– Przynajmniej spróbuj. Zajrzę do ciebie po śniadaniu. – Uśmiechnął się lekko. Dziewczyna również.

Wyszła z dyżurki, cicho zamykając drzwi.

Kwadrans później wsiadała do czekającej pod szpitalem taksówki i mówiła zdecydowanym głosem:

– Hotel Bristol poproszę.

## ROZDZIAŁ VI



Patryk z zaskoczeniem, ale i radością w oczach ruszył ku dziewczynie, która czekała na spotkanie z nim „w ważnych sprawach rodzinnych”. Julia zaś... zamarała, wpatrując się ogromniejącymi oczami w nadchodzącego mężczyznę. To było on! To on się nią zaopiekował, gdy wyskoczyła z balkonu!

„Dlaczego... dlaczego los jest tak złośliwy?”, pomyślała z żalem. „Wyglądam okropnie. Nadal mam posiniaczoną twarz. Ten facet tymczasem... Brat Wiktora Prado...”

Mimo tego, co przeszedł w ostatnich dniach – z opowiadania Majki mogła się domyślać, że było to trudne – Patryk wyglądał jak spod igły. Tylko po podkrążonych oczach widać było, że ma za sobą ciężką noc.

– Przepraszam za najście. Wiem, że to nie najwłaściwsza pora na rozmowę... – zaczęła, czując się coraz bardziej niezręcznie, ale przerwał jej:

– Bardzo chciałem cię zobaczyć ponownie. Na spotkanie z miłym gościem każda pora jest dobra. Czy chcesz porozmawiać w barze, czy pozwolisz się zaprosić na górę?

– Prawdę mówiąc, w barze mają mnie dosyć. Z mojego powodu nie mogą zamknąć i wrócić do domu. Nie myśl, że zawsze przyjmuję zaproszenia do hotelowego pokoju, ale jesteś przecież bratem Wiktora, a ja przyjaciółką Gabrysi. Po prostu ci ufam.

Uśmiechnął się ciepło i poprowadził ją do windy. Jadąc na drugie piętro, patrzyli na siebie w milczeniu. Patryk wyciągnął rękę i dotknął policzka dziewczyny w miejscu, gdzie widniał żółto-szary siniak.

– Boli jeszcze?

Pokręciła głową.

Chciałaby wyglądać pięknie. Szczególnie tej nocy, w towarzystwie tego mężczyzny. Chciałaby mieć na sobie ładną sukienkę, ułożone włosy, subtelny makijaż... Zamiast tego jednak włożyła dzinsy i bluzkę, w których Gabrysia zawiozła ją do szpitala. Włosy związała w koński ogon, a za makijaż musiał wystarczyć puder, choć trochę maskujący siny policzek. Trudno. Nie będzie to miłość od pierwszego wejrzenia... Julia we własnych oczach wyglądała paskudnie, co mógł sobie pomyśleć mężczyzna, który nawet teraz, o piątej rano, śmiertelnie zmęczony, prezentował się nienagannie?

Cóż, szkoda, że go o to nie zapytała, bo odpowiedź mogłaby ją zaskoczyć.

Patryk, nagle znów pełen życia, otworzył przed Julią drzwi apartamentu i zaprosił ją do salonu.

– Napijesz się czegoś? Może jesteś głodna? Kuchnia pracuje tutaj całą dobę.

– Marzę o szklance coli – odrzekła z rozbrajającą szczerością. – Oddałabym za nią królestwo, gdybym takowe posiadała. Na razie dysponuję jednak tylko szczoteczką do zębów. Nową. Gabrysia kupiła mi dwie na zapas, gdybym znów musiała uciekać przez balkon. Pohandlujemy?

Roześmiał się.

– Z przyjemnością cię poczęstuję. – Podszedł do barku i wyjął butelkę coli. – Czy nie powinnaś jeszcze leżeć na chirurgii? Nie zrozum mnie źle, nie wyganiam cię z powrotem do szpitala...

– Uciekłam. – Julia zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. – Nie mogłam wytrzymać, trwając beczynn timer ani chwili dłużej, wiedząc, przez co wy wszyscy przechodzicie, i pomyślałam sobie, że mogę być potrzebna.

Przyjęła z jego rąk szklankę chłodnej coli i mrużąc z rozkoszy oczy, wypila do dna.

– Tego mi było potrzeba. Dziękuję.

Usiadła na sofie, patrząc na Patryka, który spoczął naprzeciw niej.

– Do poniedziałku nic się nie da zrobić – odezwał się. – Nie wypuszczają Wiktora.

– No właśnie! A Gabrysia została sama! Pomyślałam... wpadłam na pomysł... że do niej polecę. Nie powinna po tym wszystkim siedzieć uwięziona w szklanej wieży. Samotna i opuszczona. Wiktor jeszcze przez jakiś czas do niej nie pojedzie. Ty też musisz tu zostać. Tylko ja jestem zupełnie zbędna. A tam, w Nowym Jorku, mogę się przydać.

– Naprawdę jesteś gotowa lecieć do Gabrieli?

– Choćby zaraz. Nie muszę się nawet pakować, bo wszystko zostało u... tego tam...

Zrozumiał.

– Masz wizę?

Skinęła głową z rosnącym ożywieniem.

– Dwa lata temu postanowiliśmy we trzy ruszyć na podbój Ameryki, ale pan Antoni zachorował, Gabi musiała z nim zostać, my nie chcieliśmy lecieć bez niej i na pomysły się skończyło. Ale wizę mam. Nie mam tylko pieniędzy na przelot. Ale Majka na pewno mi pożyczy...

– Z przyjemnością kupię ci bilet i opłacę wszystkie inne koszty – wpadł jej w słowo. – Proszę, nie odmawiaj. Jesteśmy coś Gabrieli winni. Wam, które się nią opiekowałyście przez te lata, również.

– Nie robiłyśmy tego dla pieniędzy! – zachnęła się.

– Nie śmiałybym tego insynuować. Po prostu chcę się chociaż symbolicznie odwdziaczyć.

– Och, gdyby nie numer, jaki wywinął Gabrysi Wiktor, nigdy byśmy się nie

spotkały. Naprawdę nie ma mowy o długu wdzięczności – rzuciła niefrasobliwie.

Jej słowa wcale, ale to wcale nie dotknęły Patryka. Może tego nie wiedziała, ale wydarzenia sprzed dziewięciu lat zdruzgotały Wiktora nie mniej niż Gabrię!

Julia musiała zrozumieć swoją niedelikatność, bo rzekła szybko:

– Nie chciałam cię zranić. Może pozwólmy przeszłości po prostu odejść? Zapomnieć się nie da, ale możemy po prostu patrzeć w przyszłość, co ty na to?

– Jestem za. I ponawiam moją propozycję, byś poleciała do Stanów na koszt Prado Ltd. Firma zaistniała także dzięki Gabrieli. Z przyjemnością wyślę do niej bratnią duszę.

„Chociaż wolałbym poznać cię bliżej, zanim znów znikniesz”, dodał w duchu, próbując sobie wyobrazić, jak wyglądałaby bez sińców na twarzy, w ładnej, kobiecej sukience, z rozpuszczonymi włosami... Nie, jego wyobraźnia była widać równie zmęczona jak on sam.

– Mogę cię podwieźć do domu, poczekać, aż się spakujesz, i podrzucić na lotnisko – zaoferował się.

– Mam wszystko przy sobie. – Julia klepnęła torebkę, w której spokojnie zmieściły się telefon, paszport, portfel i właściwie nic więcej, bo też nic więcej z domu Tomaszka nie zdążyła zabrać. – Możemy jechać. O ile będzie jakiś lot do Nowego Jorku.

Patryk podszedł do laptopa, leżącego na biurku, otworzył wyszukiwarkę lotów, wpisał parametry i odezwał się:

– Najbliższy lot jest przez Frankfurt...

– Może być Frankfurt!

– ...następny przez Zurych.

– Ja chcę tym pierwszym, proszę! – Zrobiła oczy spaniela, co znów Patryka rozbawiło, ale zaraz spoważniał:

– Ten drugi, chociaż nieco dłuższy, jest bezpieczniejszy.

– Niczego się nie boję, wolę ten pierwszy.

– Julia... byłaś kiedyś w Zurychu?

– Nigdzie jeszcze nie byłam – wyznała szczerze.

– To będziesz – uciał stanowczo. – Klasą biznes. Firma Prado Ltd. funduje.

Julia natychmiast zapomniała o Frankfurcie. Od dziecka marzyła o dalekich podróżach, pilnie ucząc się języków obcych. Angielski, hiszpański, francuski, nawet rosyjski miała w małym palcu. Nie przypuszczała jednak, że jej marzenie tak szybko się spełni! I to w jakim stylu! Klasą biznes do Nowego Jorku?! Aż pisnęła z radości, przyskoczyła do Patryka, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała prosto w usta. Patryk uniósł brwi ze zdziwienia. Ona cofnęła się w następnej chwili ze swoim zwykłym, nieśmiałym, „przepraszam, że żyję” uśmiechem.

– Wiem, że nie powinnam... Ale jestem taka szczęśliwa! Stany Zjednoczone! Nowy Jork! I Gabrysia! Dziękuję, Patryk! – Cmoknęła go ponownie,

tym razem w policzek, po czym zapytała rzeczowo: – To co, jedziemy?

\*

Patryk wrócił do hotelu dopiero godzinę później. I padł tak, jak stał. Wydawało mu się, że ledwie przyłożył głowę do poduszki, gdy zadzwonił ten przeklęty telefon. Po omacku sięgnął na szafkę nocną.

– Zabiję cię, jeśli dzwonisz bez ważnego powodu. Po prostu cię zabiję – warczał chwilę później do Marcina.

– Tego telefonu nie używamy bez powodu – rzucił jego brat. – Dzwonię, żebyś się o mnie nie martwił. Miałem do Polski lecieć najbliższym rejsem, ale z takim towarem... nie chciałem ryzykować, postanowiłem trochę się zdrzemnąć i pojechać samochodem. Nie ma mnie więc w tym piekle.

– Cieszę się niepomniernie – odparł zjadliwie Patryk. – Nie martwiłem się o ciebie nawet przez chwilę. Jesteś dorosły. Dasz mi teraz pospać? Która godzi...

– Ty nic nie wiesz! – zrozumiał nagle Marcin. – Patryk, dzwonię do ciebie, bo na lotnisku w Zurychu był zamach! Są zabici i ranni. Jeszcze nie doliczyli się ilu. Całe miasto oszalało. Słyszysz syreny?

Patryk zbladł. Julia leciała do Stanów właśnie przez Zurych.

– Która godzina? – wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

– Ósma dziesięć. Jakies trzy kwadranse temu lotnisko wyleciało w powietrze. Takiej masakry jeszcze nie było. Zablokowali wszelką łączność, żeby złapać tych skurwieli, więc dzwonię dopiero teraz. Dzięki Bogu, że jesteście w Polsce... Patryk? Jesteś tam?

– Julia... Julia jest na tym lotnisku. – Patryk poczuł, że za chwilę się chyba rozpłacze. Wydarzenia ostatnich dni, a teraz to... po prostu go złamały.

– Jaka Julia? O w mordę... – Marcin wciągnął powietrze. – Ta twoja? Która skoczyła z balkonu?

– Tak. Ona. O piątej odwiozłem ją na lotnisko. Miała lecieć do Stanów, do Gabrieli. Przez Zurych. – Słowa ledwo wydobywały się z zaciśniętej spazmatycznie krtani.

– Rany boskie... Jadę tam. Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Patryk... nie jest tak źle, jak mówiłem...

„Lotnisko wyleciało w powietrze. Takiej masakry jeszcze nie było” – Marcin przypomniał sobie własne słowa, które rzucił z mimowolnym zadowoleniem i ulgą, że zrezygnował z lotu do Warszawy, że ocalał.

– Odnajdę ją, słyszysz? – rzucił z pasją do telefonu. Los się chyba na nich wszystkich uwziął!

– Tak, słyszę. Znajdź tę dziewczynę. Chryste, nawet nie znam jej nazwiska...

– Nie martw się. Znajdę ją.



– Dzięki. Ja... muszę skontaktować się z jej rodziną. Może oni będą coś wiedzieli. – Rozłączył się. Potarł zaczerwienione powieki.

Dlaczego...?! Dlaczego ten pieprzony los nie da im wreszcie spokoju?! Czym zasłużyli na ciągle baty? Mało się we trzech nacierpieli w dzieciństwie?! Zasługiwali chyba na coś lepszego niż nieustająca pogoń za odrobiną szczęścia i spokoju! Dlaczego bydłę, które znęcało się w niewyobrażalny sposób nad Bogu ducha winnymi ludźmi, dziećmi na Ukrainie, dziećmi w Polsce, dziś dożywa swoich dni w spokoju i dostatku, podczas gdy jego ofiary albo gryzą ziemię, albo walczą o godne życie lub chociaż, jak Antoni Leszeński, o godną śmierć?

Boże, jeśli mnie słyszysz, ulituj się w końcu nad nami!

Patryk, zgięty wpół, z twarzą ukrytą w dłoniach, nie dostał odpowiedzi. Ale też jej nie oczekiwał. Bóg dawno zapomniał o nim i jego braciach. A może nigdy nie zauważył ich istnienia?

Wstał, przeszedł do łazienki i wziął szybki, lodowaty prysznic, który rozbudził go zupełnie. Przebrał się w czystą koszulę i czarne dżinsy.

Znaleźć... nie, rodziny Julii poszuka później, teraz musi się zobaczyć z Wiktorem. Obaj wiedzieli, że Marcin będzie wracał przez Zurych, jeśli do aresztu dotarła wiadomość o zamachu, Wiktor pewnie wychodzi z siebie, nie wiedząc, czy Marcin żyje, czy też...

\*

– Co z Marcinem? – Wiktor nie bawił się w powitania, gdy życie jednego z nich było zagrożone.

– Z Patrykiem, Marcin to ja – poprawił go z naciskiem i zaraz dodał, widząc w jakim stanie jest jego brat: – Wszystko w porządku. Przyleciał z Ibizy, miał podjąć gotówkę ze skrytki i jechać do Polski samochodem, gdy to się wydarzyło.

Wiktor odetchnął głęboko. Pochylił się, wsunął palce we włosy i trwał tak chwilę nieruchomo. Patryk wiedział, że to pomaga mu zapanować nad emocjami. Zazdrościł Wiktorowi tej umiejętności. Zwłaszcza teraz. O Marcina mogą być spokojni. Za to Julia...

„Boże, zmiłuj się nad nią. I nade mną. Jeśli coś się jej stało... jeżeli posłałem ją na śmierć... do końca życia sobie tego nie daruję”, pomyślał z rozpaczą, znów czując napływające do oczu łzy.

– Patryk, pieprzyć tę konspirację, co się dzieje? Mówiłeś, że Marcin jest cały i zdrowy! – Wiktor wpił palce w jego ramię.

– Z Marcinem jest okej, ale Julia... przyjaciółka Gabrieli... Ona była na tym lotnisku – z trudem wyrzucał urwane zdania. – Chciała lecieć do Stanów, do Gabrysi, krótszą trasą, przez Frankfurt, ale powiedziałem, że to niebezpieczne. Zawiozłem ją na Okęcie i kupiłem bilety. Pierwszy do Zurychu. Wylądował godzinę przed zamachem. Samolot do Stanów miał lecieć o dziesiątej. Julia była na

lotnisku w chwili zamachu.

Wiktor nic nie powiedział tylko dlatego, że zabrakło mu słów. Przysłuchujący się ich rozmowie, równie wstrząśnięty policjant nie zatrzymał go, gdy Wiktor wstał, podszedł do Patryka i objął go z całych sił.

– Nie poddawaj się, mały. Nie ma jeszcze żadnych wiadomości.

– Są! Widziałeś! Nie mogą się doliczyć rannych i zabitych! Nie mogą się nawet dostać do zasypanych!

Rzeczywiście, media określały zamach jako jatkę, największą tragedię w dziejach Szwajcarii. Nie było jeszcze żadnych danych o liczbie ofiar, ale na ekranach telewizorów ciągle pokazywano ogrom zniszczeń. Ładunki wybuchowe o sile i w ilości dotąd niespotykanej w zamachach terrorystycznych spowodowały zawalenie się dachu hali głównej. Mówiono też o bombach, które wybuchły w terminalach A, C i E.

– Patryk, na lotnisku były tysiące ludzi...

– A wśród nich Julia, której osobiście kupowałem bilet! Przez przeklęty Zurych! Muszę... odnaleźć jej rodzinę. Może mają już jakieś wiadomości.

– Majka na pewno zna bliskich tej dziewczyny. Dzwoni do Majki.

– Panowie – w tym momencie policjant musiał zaprotestować – to nie kawiarnia. Przykro mi, ale i tak złamaliśmy regulamin, żebyście mogli pogadać ze sobą. O rozmowie z osobami trzecimi nie było mowy.

Wiktor już chciał coś odpowiedzieć, ale uprzedził go Patryk:

– Racja. Ty już wiesz, że obaj z Marcinem jesteśmy bezpieczni. Ja wiem, że ty sobie tu radzisz. Zadzwoń do Majki, jeśli nie odbierze, spróbuję się dowiedzieć, gdzie mieszka. Pewnie odsypia morderczą noc. Gdy będę coś wiedział, przyjadę.

– Okej. Działaj spokojnie i rozsądnie, jak to ty. I pamiętaj, że jesteśmy z tobą. Ja, Marcin, Gabriela... Nie jesteś sam. Julia też nie. Znajdziemy ją.

Patryk przytakiwał, nie słysząc słów brata. Strach o dziewczynę i poczucie winy sprawiły, że chciał się poddać. Po prostu wyjść z tego pomieszczenia, potem z budynku, i ruszyć przed siebie, jak wczoraj Gabriela. Nagle ta jej wędrówka, która miała się skończyć w zimnych falach Wisły, wydała mu się całkiem zrozumiała i bardzo kusząca.

– Patryk – usłyszał głos brata i poczuł silny uścisk jego dłoni. Zdumiony otarł łzy z policzków. – Ona żyje, a ty masz ją znaleźć, tak?

Kiwnął głową, pożegnał się z Wiktorem, podziękował policjantowi i wyszedł na chłodne, poranne powietrze. To go otrzeźwiło na tyle, że mógł sięgnąć po telefon i wybrać numer Majki.

Która oczywiście nie odebrała.

Po chwili wahania dzwonił do Gabrieli. Domyślał się, że ona również odsypia ostatnie dwadzieścia cztery godziny, rozpoczęte wczoraj rano w szpitalu,

a zakończone w Stanach, z przerwą na próbę samobójczą, ale musiał natychmiast odnaleźć rodzinę Julii albo chociaż zdobyć jej nazwisko, by Marcin wiedział, o kogo pytać w Zurychu.

– Halo? – usłyszał senny głos.

– To ja, Gabi, Patryk Prado, brat Wiktora.

– Wiem, kim jesteś – ten głos nieco ochłódł.

– Widziałaś dzisiejsze wiadomości?

– Przed chwilą wstałam. – Powstrzymała się przed dodaniem „bo ty mnie obudziłeś”.

– Nie przeraż się, ale był zamach terrorystyczny na lotnisku w Zurychu.

– O Boże!

Słyszał, jak Gabriela włącza telewizor. Po chwili dobiegły go strzępy transmisji.

– Boże... co za tragedia... – wyszeptała.

Patryk poczuł, jak gardło zaciska mu się w twardy węzeł. Jak ma Gabrieli powiedzieć, że wysłał tam, w sam środek apokalipsy Julię, jej przyjaciółkę?

– Gabrysia – zaczął miękko, kojącym tonem – znajdziemy ją. Marcin jest w Zurychu i już zaczął poszukiwania. Znajdziemy Julę i sprowadzimy całą i zdrową do domu.

Po drugiej stronie na parę uderzeń serca zapanowała martwa cisza.

– Co ty powiedziałeś? Gdzie Marcin szuka Julii? Co się z nią stało?! – stłumiony z początku głos Gabrieli przeszedł w krzyk. – Gdzie jest Julia, do cholery?!

– Posłuchaj... chciała do ciebie lecieć. Kupiłem jej bilet i odwiozłem ją na lotnisko. Miała międzylądowanie w Zurychu, gdy... to się stało. Prawdopodobnie jest tam teraz.

Zacisnął powieki. Gabriela jęknęła tylko. Jej cichy płacz złamał mu serce.

– Patryk, powiedz, że to nieprawda. Powiedz, że ona jest w szpitalu na Bielanach. Przecież tam powinna być! Proszę. Powiedz, że jej tam nie było. W tym Zurychu...

– Gabrysia, znajdziemy ją. Przyrzekam. – Tylko na tyle mógł się zdobyć.

– Więc jednak... – szeptał przeszedł w jęk. I wszystko umilkło.

– Gabriela, jesteś tam?! – krzyknął w panice. – Gabriela, muszę znać jej nazwisko, słyszysz?! Nie odnajdziemy Julii, nie wiedząc, jak się nazywa! Gabi! Co z tobą?!

– Raszyńska. Julia Raszyńska – odpowiedział mu cichy głos. – Ja doprowadzę się do porządku i wracam. Nie mogę siedzieć tutaj beczynnie, wiedząc, że tata jest ciężko chory, a Julia... Wracam.

Rozłączyła się.

Patryk nie mógł na razie nic więcej zrobić. Jedynie wysłać Marcinowi

esemesa z nazwiskiem Julii.

Rodzina! Nie zdążył zapytać Gabrieli, gdzie szukać bliskich zaginionej dziewczyny! Nacisnął ponowne wybieranie numeru, ale odpowiedziała mu poczta głosowa.

Przez parę chwil znów czuł tę pustkę w sercu i umyśle, i jeszcze chęć na wędrowną donikąd. Ale w następnej minucie zacisnął zęby i zmusił się do działania. Zdobyć adres Majki, mając tylko jej imię i numer telefonu. Za wszelką cenę... Akt notarialny! Gdzieś w dokumentach kupna Leśnej Polany było pełnomocnictwo, jakiego udzielił Majce pan Antoni!

Pół godziny później jechał taksówką na Powiśle, gdzie na ostatnim piętrze wspianego apartamentowca spała niczego nieświadoma Majka Trojanowska.

Podczas krótkiej podróży taksówką Patryk najpierw zadzwonił do Marcina, który nie dając mu dojść do głosu, wyrzeszczał tylko:

– Człowieku, daj mi trochę czasu! W całym mieście panuje chaos! Wszyscy chcą się dostać na lotnisko lub chociaż w jego pobliże. Ulice są zablokowane albo przez policję, albo przez samochody. Swój zostawiłem już dawno, idę teraz na piechotę. Daj mi parę kwadransów, okej? Przecież zadzwoniłbym do ciebie, gdybym tylko się czegoś dowiedział! I przestań się obwiniać, do cholery! Nie ty wysadziłeś w powietrze to pieprzone lotnisko z tysiącami niewinnych ludzi!

Marcin nie chciał słuchać jego: – Nic nie rozumiesz, to ja... – i po prostu się rozłączył.

Patryk opadł na siedzenie forda, wściekły na cały świat i coraz bardziej przerażony.

Gdyby Julii nic się nie stało, zadzwoniłaby, tak jak Marcin, do najbliższych, żeby się nie martwili... I być może to zrobiła! Skąd przypuszczenie, że najbliższe są dla Julii przyjaciółki?

– Może pan przyspieszyć? – warknął do taksówkarza. Strach o dziewczynę, którą być może wysłał na śmierć, po prostu go dobijał.

Majka znów nie odebrała telefonu. Patryk musiał się więc dostać do jej mieszkania. Jeśli to zwykły blok, jakoś da radę. Jeżeli to strzeżone osiedle czy apartamentowiec... „Wymyśl coś, człowieku, dopóki masz czas!”

I Patryk wymyślił.

## ROZDZIAŁ VII



Wpadł do przestronnego holu i skierował się do stanowiska ochrony, gdzie siedział wpatrzony w telewizor, podstarzały otyły mężczyzna w wymiętym mundurze.

– Popatrz pan, co te bydlaki wyrabiają. Znów posłali do piachu dwustu siedemnastu ludzi. A jeszcze nie wszędzie dotarły ekipy ratunkowe – odezwał się ni to do Patryka, ni do siebie.

Patryk już miał wziąć go na litość opowieścią, że narzeczona jest na tym lotnisku, ale zrezygnował. Trzeba trzymać się planu.

– Nie chrzań mi pan tutaj o terrorystach. Moja dziewczyna, Majka Trojanowska, właśnie próbuje się zabić!

Ochroniarz spojrział na Patryka, jakby ten był z zupełnie innej bajki. Uniósł brwi i już chciał coś powiedzieć, ale młody mężczyzna krzyknął:

– Czy pan zrozumiał, co mówię?! Ona być może wykrwawia się w tym momencie albo skręca pętlę! Możesz się ruszyć, człowieku?!

Tamten wstał spiesznie.

– Pani Majka? – upewnił się. – Ta spod dziesiątki?

– Właśnie ta.

– Chce się zabić? A pan jest jej absztyfikantem?

– Dokładnie.

– Nigdy wcześniej tu pana nie widziałem.

– Dlatego pewnie chce się zabić. Zaniedbywałem ją. Może pan wziąć klucze do jej mieszkania i...

– Nie mam kluczy.

Patryk oniemiał. Nie wiedzieć czemu był pewien, że w takich budynkach ochrona ma dostęp do wszystkich apartamentów. Właśnie dlatego on sam kupił własne mieszkanie w małej kamienicy na Starówce, by nikt niepożądany nie wparował mu do środka.

– Zadzwoń do pani Trojanowskiej... – Ochroniarz sięgnął po słuchawkę. – Jeżeli nie odbierze...

Nie odebrała.

– Pamiętam, że wróciła do domu przed świtem. – Starszy mężczyzna wyraźnie zaczął się niepokoić. – Wyglądała na bardzo zmęczoną, proszę mnie źle nie zrozumieć. Po prostu zmęczoną. Może to nie było zmęczenie, tylko depresja?! To teraz takie modne wśród młodzieży...

– Tak, właśnie, moja dziewczyna ma modną depresję. Jak możemy się

dostać do jej mieszkania? Drzwi da się otworzyć... bez klucza?

Ochroniarz pokręcił głową:

– Są antywłamaniowe. Pewnie ze trzy solidne zamki mają. Ale... jest inna droga... – Zawahał się i umilkł wystraszony samym pomysłem.

– Tak? – podchwycił Patryk. – Jeśli natychmiast się do niej nie dostanę, wezwę policję i straż pożarną. Tu chodzi o życie! – Rzeczywiście tak było.

Ochroniarz namyślał się jeszcze krótką chwilę, po czym rzekł:

– Chodź pan. Do tego apartamentu można się dostać przez taras. Mój szef wyrzuci mnie z roboty, jeśli pani Majce nic nie grozi, ale ja wcześniej obję panu buzię, młody człowieku.

– Tak. Jasne. Może pan bić do woli – odwarknął Patryk, stojąc obok niego w windzie i zaklinając wzrokiem piętra.

Wreszcie wyszli na ostatnim. Ochroniarz jeszcze próbował dzwonić do drzwi, ale Majka nie otworzyła. Coraz bardziej zaniepokojony poprowadził Patryka do wjazdu na dach. Obaj wyszli na zewnątrz po wąskiej drabince, podeszli do krawędzi i spojrzeli w dół.

Niemal trzy metry pod nimi był taras Majki.

– Na pewno chcesz pan skakać? – odezwał się ochroniarz nieswoim głosem. Jemu samemu słabo się robiło na samą myśl o tym, jak wysoko się znajdują.

– „Nie chcem, ale muszem” – prychnął Patryk, zdjął marynarkę, podał ją ochroniarzowi, po czym, niewiele myśląc, skoczył w dół.

Wylądował w miarę miękko, uniósł kciuk i podszedł do okna salonu. Wnętrze było puste. Zapukał w okno sypialni, zasłonięte ciężkimi storami. Nic. Cisza.

– W morrrdę... – warknął, po czym, doprowadzony do ostateczności, wrócił pod drzwi balkonowe, bez zastanowienia chwycił mosiężny stolik i cisnął nim z całych sił w szklaną taflę.

Okno pękło z hukiem. Na taras posypał się tysiąc ostrych odłamków.

Ochroniarz krzyknął przerażony.

Z sypialni też dobiegł krzyk.

Patryk nie czekał, aż Majka umrze na zawał serca, tylko skoczył do środka i po chwili wpadał do jej sypialni.

– Majka, to ja, Patryk! Spokojnie! Nic się nie stało!

Dziewczyna siedziała na łóżku, przyciskając do piersi prześcieradło. Pociemniałe z przerażenia oczy niemal wychodziły jej z orbit. Poznawszy Patryka, opadła na łóżko z tłumionym jękiem.

– Co ty tu robisz, kretynie?! – wykrztusiła, gdy do niej podszedł. – Masz trzy sekundy na odpowiedź, albo wzywam ochronę!

– Julia jest w niebezpieczeństwie – rzucił, nie bawiąc się w dyplomację. Mógł powiedzieć, że właśnie ochrona go tutaj wpuściła, ale szkoda było czasu na

przekomarzania.

– Co się stało?! – Majka natychmiast zapomniała, że została napadnięta we własnym domu. Strach o przyjaciółkę przeważał nad lękiem o siebie.

– Wszystko po kolei. Najpierw krzyknij do ochroniarza, który stoi na dachu, że naprawdę jestem twoim chłopakiem i zdążyłem w ostatniej chwili.

– Na co?

– By zapobiec twojemu samobójstwu.

– Przecież spałam! Przez myśl mi nie przeszło się zabijać!

– Ja to wiem, ale on nie. Musiałem wcisnąć mu jakiś kit, żeby mnie tutaj wpuścił.

– Dlaczego?!

– Majka, na miłość boską! – Patryk poczuł, że zaczyna brakować mu sił i cierpliwości. Miał dosyć ratowania przyjaciółek Gabrieli i jej samej! – Nie odbierałaś telefonu, nie można się było do ciebie dobić ani przez drzwi, ani przez okno, a ja muszę odnaleźć rodzinę Julii! Może oni dostali od niej wiadomość!

Majka milczała sekundę, może dwie, patrząc na Patryka z nieodgadniętą miną, wreszcie rzuciła:

– Julia nie ma żadnej rodziny. Tylko nas: Gabrielę i mnie. Co się z nią stało?

Zanim Patryk zdążył odpowiedzieć, podeszła do okna, otworzyła je i spojrzała w górę, na pochylającego się nad gzymsem mężczyznę.

– Wszystko w porządku, panie Władziu – odezwała się do niego. – Dziękuję za troskę. Mój facet jest trochę przewrażliwiony, rozumie pan: miłość, ale ze mną wszystko w porządku.

Nie czekając, aż tamten się odezwie, zamknęła okno i znów stała przed Patrykiem. Już nie przestraszona, lecz wściekła.

– No, a teraz masz trzy sekundy, żeby wszystko wytłumaczyć, albo wzywam policję.

– Wzywaj. Może się przydać – odrzekł Patryk i włączył telewizor.

Nie musiał długo szukać. Na wszystkich kanałach nadawano na żywo wiadomości z Zurychu.

– Boże kochany... – usłyszał szept Majki.

Pozwolił, by patrzyła na dramatyczne zdjęcia z lotniska, po czym zaczął, próbując mówić rzeczowo i spokojnie:

– Nad ranem spotkałem w hotelu Julię. Czekala na mnie. Chciała polecieć do Gabrieli, do Stanów. Kupiłem jej bilet do Zurychu. Tam miała przesiadkę do Nowego Jorku i tam wybuchły bomby.

W tym momencie Majka zbladła tak bardzo, że usiadł obok niej i ujął jej dłonie, bojąc się, że dziewczyna zaraz zemdleje.

– Przecież Julia jest w szpitalu – wyszeptała drżącym głosem.

– Była. Uciekła, żeby dostać się do Stanów. Do Gabrieli.

– I leciała przez Zurych?

– Tak.

– Ale tam był zamach! Wybuchły bomby! O tym mówią w wiadomościach!

– Właśnie.

Majka umilkła. Cała przerażająca prawda w tym momencie do niej dotarła.

– O Boże... Boże... musimy coś zrobić! Może dzwoniła do mnie... –  
Chwyciła telefon. Wypadł jej z ręki.

Patryk podał dziewczynie komórkę. Patrzył ze wstrzymanym oddechem, jak włącza telefon, po czym oboje czekali na jakąś wiadomość. Na esemes albo nieodebrane połączenie. Ale telefon milczał.

– Musimy tam lecieć! Albo jechać! Wszystko jedno. Trzeba ją odnaleźć!

Majka poderwała się z miejsca i rzuciła do szafy, ale Patryk zatrzymał dziewczynę w połowie drogi.

– Marcin jest na miejscu i właśnie Julii szuka. Nic tam po nas.

– Mam w dupie jakiegoś Marcina! To moja przyjaciółka! A nawet więcej, to moja siostra! Jeżeli ktoś ma jej szukać, to ja! – Odepchnęła Patryka, aż zatoczył się na ścianę. Szok i przerażenie dodawały jej sił.

– Majka, bądź rozsądna... Nie dojedziesz do Szwajcarii ot tak, szczególnie dziś, po zamachu. Szwajcarzy zamknęli granice i chcą dorwać bydlaków, którzy zmasakrowali Bogu ducha winnych ludzi. Nawet jeżeli ciebie przepuszczą, nie dotrzesz do lotniska. Marcin zostawił po drodze samochód i próbuje się tam dostać na piechotę, jak setki ludzi, których bliscy znaleźli się w tym piekle. Zaufaj mi, zaufaj mojemu bratu. Zrobimy wszystko, by odnaleźć Julię jak najszybciej. Zapewnimy jej najlepszą opiekę, najlepszych lekarzy, jeżeli będzie tego potrzebowała. Ja potrzebuję twojego telefonu, bo jeśli Julia będzie dzwonić, to do ciebie albo do Gabrieli.

– Właśnie! Może dzwoniła do Gabrysi!

– Gabriela jest w drodze do Polski. Wyłączyła komórkę – odparł zmęczonym głosem.

– Przecież miała zostać w Stanach! – Majka najwyraźniej wpadła w panikę.

Znów rzuciła się w kierunku szafy, wyciągnęła jakąś bluzkę, dzinsy i, nie wiedząc po co, futro z lisów. Patryk przyglądał się jej poczynaniom zupełnie beznamietnie. Dopiero gdy nogi się pod dziewczyną ugięły, usiadła wśród sterty ciuchów i zaczęła szlochać, przypadł do niej i przytulił ją, tak samo bezradny i zrozpaczony jak ona.

– Nie dojadę do tej pieprzonej Szwajcarii i nie dolecę? – raczej stwierdziła, niż zapytała.

Pokręcił głową.

– Zamknęli cały ruch lotniczy. Z Okęcia też pewnie nic nie startuje. Gabriela na razie pozostanie w Stanach, gdzie jest bezpieczna. Oby Julia była także...



– I będziemy tak sobie siedzieć, popijać kawkę i gawędzić o pogodzie, podczas gdy Julia być może umiera pod zwałami gruzu albo już jest martwa?

Tego tylko było mu potrzeba: wpędzania w jeszcze większe poczucie winy.

– Jeżeli masz inny pomysł niż czekanie na wiadomości, mów – rzucił sucho.

Majka usiadła z powrotem na łóżku, patrząc przed siebie w zamyśleniu.

– Ile kosztuje wynajęcie śmigłowca? Niedużego, dla dwóch osób? – zapytała nagle.

– Ruch lotniczy jest zamknięty – zauważył.

– Mówiłeś, że zamknęli lotniska. A helikopter może wystartować nawet z mojego tarasu.

– Z twojego tarasu raczej nie, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Dasz mi namiary na kogoś, kto polecie ze mną do tego Zurychu, czy mam pytać wujka Google’a?

– Majka, miasto wygląda jak podczas wojny, widziałaś wiadomości. Na miejscu jest mój brat, który Zurych zna nieco lepiej niż ty. Jesteś tam naprawdę zbędna.

– Sorry, ale pieprzę, Patryk, twoją opinię. Wezmę szybki prysznic, ubiorę się i lecę – rzekła, po czym wstała zdecydowanie i ruszyła do łazienki, zgarniając po drodze ciuchy.

Patryk przysiadł na fotelu, obitym miękkim, miłym w dotyku materiałem, czując, jak zmęczenie powraca niczym długa, zaborcza fala. Oczy piekły go, jakby ktoś sypnął w nie piaskiem. Ciało i umysł rozpaczliwie domagały się odpoczynku. Tylko resztki silnej woli kazały mężczyźnie czuwać, dopóki Majka nie wyjdzie spod prysznica i albo uda mu się odwieść ją od wyjazdu do Szwajcarii, albo będzie mógł zwinąć się na kanapie w jej salonie i zasnąć z komórką w dłoni. Tymczasem telefon – nie jego, Majki – jak na zawołanie właśnie się rozdzwonił. Patryk podszedł do nocnej szafki, rzucił okiem na wyświetlacz i... natychmiast odebrał, czując jak serce podchodzi mu do gardła.

– Majeczka, jakbyś się o mnie martwiła, to nic mi nie jest. Jeżeli nie wiesz, o czym mówię...

– Wiem, o czym mówisz, Julia – odezwał się, czując napływające do oczu łzy. Zacisnął powieki, by je powstrzymać.

– Och! To ty, Patryk? Gdzie Majka?

– Kąpie się. Jesteś cała?

– Cała. Nie doleciałam do Zurychu. Mój samolot miał opóźnienie i chyba nikt nigdy nie był tak za to wdzięczny jak ja i reszta pasażerów. Byliśmy już nad Szwajcarią, gdy pilot ogłosił, że z powodu złych warunków atmosferycznych zawracamy. I zawróciliśmy do Wrocławia. Dopiero po wylądowaniu kapitan w paru słowach powiedział nam, co się stało. I prosił o modlitwę za jego kolegów i koleżanki. I ofiary zamachu... – Głos Julii zadrżał. A potem się rozplakała. W tej

chwili zrozumiała, że ona tylko otarła się o śmierć, ale inni nie mieli tyle szczęścia.

– Julia... – Patryk chciał powiedzieć coś kojącego, jakieś zdawkowe „wszystko będzie dobrze, cieszę się, że tobie się nic nie stało”, ale umilkł z palcami zaciśniętymi na telefonie. – Przyjechać po ciebie?

– N-nie. Zorganizowano nam transport do Warszawy. Za parę godzin będę z powrotem. Wiesz... wolę jeszcze pobyc z ludźmi, którzy tak jak ja ocaleli z apokalipsy. Potem zatrzymam się u Gabrysi, bo jej mieszkanie jest puste. Przekażesz wszystko Majce? Wzywają nas do autokaru...

– Tak. Wracaj szczęśliwie. Będziemy na ciebie czekać – powiedział ciepło, serdecznie i z ogromną ulgą, po czym rozłączył się.

Majka właśnie wychodziła z łazienki.

Widząc Patryka z jej telefonem w dłoni, rzuciła:

– Nie masz swojego, że podkradasz cudze?

Nie dał się sprowokować.

– Przed chwilą dzwoniła Julia. Miałem pozwolić, by nagrała się na pocztę głosową?

– Dzwoniła Julia?! Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

– Brałaś prysznic.

– To co?! Widoku nagiej kobiety byś nie zniósł?! A może mój widok tak cię odstręcza?

Na chwilę zacisnął powieki. Wziął głęboki oddech i wytłumaczył sobie w myślach, że ta dziewczyna nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo przez cały ten czas się obwiniął. I jaką czuł teraz ulgę. I wściekłość zarazem. Gdy odzyskał panowanie nad sobą – jak zwykle w ciągu paru sekund, co tak bardzo cenił i podziwiał Wiktor – odezwał się spokojnym, kojącym głosem:

– Majka... Julii nic się nie stało. Zawrócili jej samolot do Polski. Właśnie wylądowała we Wrocławiu. Za kilka godzin będzie w Warszawie i wtedy możesz wyżywać się na niej. Ja znikam z waszego życia, okej?

Wzruszyła ramionami.

Tak. Ona nic nie rozumiała.

– Będę już szedł. – Znow poczuł obezwładniające zmęczenie.

Ruszył do drzwi sypialni. Potem do salonu, zasypanego gradem szklanych odłamków. Majka, która towarzyszyła mu niczym wierny cień, aż jęknęła na widok spustoszenia.

– Sorry, zapłacę za sprzątanie i nowe szyby – mruknął.

I wtedy... wtedy stało się coś, co zaważy na czyimś życiu.

Efekt motyla – każdy o nim słyszał. Niewinny trzepot motyli skrzydeł może wywołać huragan na drugim końcu świata. Czymś takim były słowa Majki, rzucone ot tak, bezmyślnie na widok wybitego okna i zdewastowanego salonu:

– No patrz, taka z ciebie cicha woda, Patryk, a zrujnowałeś mi moje

gniazdko. Jak to nie można sądzić po pozorach. Wiktor byłby do tego zdolny, ma charakter, ale przepraszam-że-żyję Patryk Prado? Taki na pozór ciapowaty...

Patryk stanął jak wryty.

– Coś ty powiedziała? „Ciapowaty”?!

– Tak jakby. – Wzruszyła ramionami. – Ciesz się, że nie „ciotowaty”.

Chyba nikt nigdy mu tak nie ubliżył. Krew w żyłach zmieniła się w ciekły ołów, gdy powoli odwracał się do półnagiej dziewczyny i mówił:

– Wątpisz w to, że jestem mężczyzną?

Gdzieś w oddali motyl ponownie zatrzepotał skrzydłami.

Majka przechyliła głowę, zmrużyła oczy, obrzuciła Patryka taksującym spojrzeniem, uniosła usta w ironicznym uśmieszku i... to wystarczyło. Dосkoczył do niej. Zaślepiiony furją pochwycił w pól i – niespecjalnie się opierającą – zawlókł do sypialni.

Tam jednym ruchem zdarł z niej jedwabny szlafroczek. Odruchowo zasłoniła nagość rękami. Zaśmiał się szyderczo, zrywając ze swoich ramion koszulę i pchnął ją na łóżko tak silnie, że padła na wznak. W tym momencie, gdy on rozpinał suwak spodni, przemknęło jej przez myśl, że lekko przeholowała. Oboje są w szoku, oboje przeszli ostatnio zbyt dużo. Ona odzyskała nad sobą panowanie, ale on chyba właśnie stracił.

– Patryk, ja tylko... – zaczęła przepraszającym tonem.

Nie pozwolił jej dokończyć, przygwoździł ją ciałem, siłą rozsunął uda na boki i wdarł się w jej wnętrze tak gwałtownie, że jęknęła w proteście.

Nie to, żeby takie traktowanie było jej obce czy nawet niemiłe – lubiła ostrą jazdę – ale mimo wszystko... zaskoczył ją. Była tam w środku zupełnie sucha i nieprzygotowana na seks. Zabolało. Po prostu zabolało, gdy wysunął się i po chwili wdarł powtórnie. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Coraz gwałtowniej, szybciej, brutalniej...

Mogła to przerwać w jednej chwili, przypieprzyć mu z pięści w twarz, co na pewno by go otrzeźwiło. Nie był bandziorem, nie był psychopatą ani zbrojnym. Jeden krzyk, jedno uderzenie i mogła to przerwać, lecz... oczywiście jej ciało zaczęło reagować tak, jak zwykle. Poczwała, że wilgotnieje, że wychodzi mu naprzeciw, że chce więcej i mocniej. Pewna myśl świtała gdzieś na dnie jej umysłu. Wbiła palce w jego plecy i z całych sił nadziała się na jego męskość. On poderwał głowę.

– Lubisz to, co Patryś? Lubisz ostry seks. Kto by pomyślał...

Na widok łez, błyszczących w oczach mężczyzny, poczuła wstyd. Ale nim zdążył się cofnąć, wstać i wyjść, oplótła go niczym trującym bluszczem i zaczęła poruszać biodrami szybko i mocno, zachłannie.

– I kto tu kogo rżnie? – zaśmiała się.

To podziałało na niego jak strzał z bata. Chwycił ją pełną garścią za włosy,

wpił się wargami w usta, brutalnie, aż do krwi, cały czas wbijając się w nią dziko, bezlitośnie. Wreszcie odrzucił głowę do tyłu, wyprężył się i szczytował długo, zaciskając zęby, by powstrzymać się od jęku.

Opadł na nią.

– I co? Nadal uważasz mnie za ciotę? – wychrypiał.

Odwróciła twarz, by nie ujrzał łez, które teraz jej napłynęły do oczu.

„Och, Patryk... dlaczego? Dlaczego byłam taka głupia? Puściłam się parę dni temu z obleśnym starym dziadem, a teraz płaczę, bo bierzesz mnie ty? I płaczę nie nad sobą, a nad tobą. Dlaczego byłeś taki głupi i dałeś się podejść?!”

Przez krótką chwilę miała szczerą chęć go przytulić, może mieliby wtedy szansę wybaczyć sobie nawzajem i rozejść się, może nie jak przyjaciele, ale i nie jak śmiertelni wrogowie, lecz zamiast to uczynić, zepchnęła go z siebie, sięgnęła do szafki nocnej po paczkę eleganckich cygaretek i zapaliła jedną. Jak grać, to do końca.

Zaciągnęła się raz i drugi, po czym spojrzała na mężczyznę, leżącego obok z twarzą zasłoniętą przedramieniem i rzuciła jadowitym tonem:

– Nie zapytasz, czy mi się podobało?

– Podobało ci się? – usłyszała jego beznamiętny głos.

– Patrzeć na upadek świętego Patryka? Jak równa do poziomu dziwki, którą rżnie? Szczerze? Bardzo mi się podobało. Chociaż, prawdę mówiąc, był to gwałt.

Uniósł ramię. Spojrzał na nią. W oczach miał czystą nienawiść. I pogardę.

Wstrzymała oddech, będąc pewna, że ją uderzy. Chłaśnie na odlew i zwyzywa od najgorszych – przerabiała to nieraz! – ale nie spodziewała się tego, co zrobił w następnej chwili.

Nie zelżył jej, nie naubliżał, nie sięgnął po portfel, by rzucić jej w twarz teatralnym gestem plik pieniędzy. Nie. Patryk wziął telefon, wybrał 112, a gdy tylko ktoś po drugiej stronie się odezwał, rzekł:

– Chcę zgłosić gwałt. Proszę przyjechać jak najszybciej. Adres...

Wyrwała mu telefon z ręki. Wcisnęła czerwoną słuchawkę.

Gdy telefon zadzwonił, wyjaśniła szybko:

– Przepraszam za mojego chłopaka. Czasem ma takie głupie pomysły. Nie. Nic mi nie jest. Lubimy ostry seks.

Rozłączyła się, spojrzała na Patryka i gotując się z wściekłości, zaczęła wyrzucać z siebie potok słów:

– Ty kretynie! Ty porąbany egoisto! Mało twój brat ma problemów właśnie przez ciebie?! Zamiast go wyciągać z paki, gdzie siedzi, a dodam, że siedzi przez ciebie i za ciebie, bo już raz nie potrafiłeś nad sobą zapanować, chcesz uciec do pierdła ze zwykłego tchórzostwa? Po moim trupie! Zerznąłeś mnie jak tanią dziwkę i to jestem ci w stanie wybaczyć, a wiesz dlaczego? Bo Wiktor, który swoje przeszedł, byś ty wyrósł na ludzi – niech cię szlag! – potrzebuje takiego gnoja bez

honoru jak ty na wolności! A Gabriela, która też miała przechlapane, potrzebuje Wiktora! Zbieraj więc gołą dupę w troki, wynoś się z mojego mieszkania i stań na głowie, aby twój brat wyszedł z aresztu jak najszybciej! Pieprzony tchórz! Parszywy gnój!

Patrzyła, jak Patryk z każdym jej słowem błednie, ugina plecy, przygniatany poczuciem winy nie do uniesienia, i może opanowałaby się w ostatniej chwili – co w nią wstąpiło, do cholery?! – gdyby szatańska myśl znów nie strzeliła jej do głowy, zapowiadając w odległej przyszłości gdzieś dla kogoś koniec świata:

– I módl się, bym nie zaszła z tobą w ciążę, szmaciarzu! – dokończyła.

Patryk... znieruchomiał na chwilę, wciągając spodnie.

Spojrzał na nią z politowaniem i rzucił:

– W to akurat mnie nie wrobisz, bo już jesteś w ciąży. – Widząc jej zaskoczoną minę, skrzywił się w pogardliwym uśmiechu i dodał: – Zupełnie przypadkiem znalazłem w kieszeni twojej garsonki test ciążowy, a na nim dwie kreski. Daruj więc sobie chociaż ten szantaż, pieprzona manipulantko.

Nie docenił Majki. Może wyglądała na łatwą, śliczną, pustogłową, ale głupia nie była. O niee... Spojrzała na niego z taką samą pogardą i zripostowała:

– Poroniłam. Ten test noszę na pamiątkę po utraconym dziecku, panie „lepkie ręce i niewyżyty fiut”. Wracaj do swojego apartamentu, Patryk, i módl się, jak mówiłam, byś nie został tatusiem. Nikomu nie życzyłabym takiego ojca.

Gdyby dała mu w twarz... gdyby przypieprzyła z całej siły... nie zabołałoby tak, jak w tej chwili.

„Nikomiu nie życzyłabym takiego ojca...”. Tłumiony skowyt katowanego Wiktora... Świst pasa na jego nagich plecach... Narastający w gardle krzyk i bezgłośny rozkaz: „Milcz! Ani drgnij! Wytrzymaj!”... A ona...

Patryk odwrócił głowę. Narzucił na ramiona koszulę. Dopiął guziki.

– Przepraszam za to wszystko – rzekł cicho. I wyszedł.

Majka zaś... została sama, jak zwykle sama, wśród skotłowanej pościeli, z jedną jedyną myślą, która tłukła się w pustym umyśle: „Coś ty, idiotko, zrobiła?!”.

Odpowiedź dostanie za trzy miesiące. Dokładnie za trzy miesiące. Co do dnia.

## ROZDZIAŁ VIII



Patryk znów stał przed celą aresztu, czekając, aż policjant otworzy ciężkie drzwi.

– Te pielgrzymki, panie mecenasie, zaczynają irytować moich przełożonych – odezwał się do Patryka, ale ten nie odrzekł ani słowa.

Prosto z Powiśla przyjechał do żoliborskiego aresztu, by zobaczyć się z Wiktorem. Tylko to mogło go utrzymać przy zdrowych zmysłach: krótka rozmowa z bratem. Ten, wywołany przez gliniarza, wstał ze swojej pryczy i niespiesznie wyszedł na zewnątrz.

Na widok Patryka, czy raczej wyrazu jego twarzy, zbladł.

– Co się stało? Ta dziewczyna, Julia, nie żyje?

– Żyje – wykrztusił Patryk. – Właśnie wraca do Polski.

– Więc co się stało? – Wiktor, nie zważając na policjanta, ujął brata za ramiona i potrząsnął nim. – Gabriela? Marcin? Mów, do cholery!

Patryk pokręcił głową.

– Jest tu jakieś miejsce, gdzie mogę porozmawiać z moim prawnikiem na osobności? – Wiktor ostrym, nieznoszącym sprzeciwu tonem odezwał się do strażnika.

Ten odparł, przeciągając wyrazy:

– Miejsce może by się znalazło, ale musiałbym pana skuć. To nie hotel...

– Już to słyszałem! – Wiktor nagłym gestem wyciągnął złączone nadgarstki. Tamten bez pośpiechu zatrzasnął na nich kajdanki i wskazał ostatnie drzwi po lewej.

– Proszę bardzo. Męski kibel. Macie trzy minuty, chyba że któryś z funkcjonariuszy będzie musiał skorzystać...

Wiktor nie czekał, aż gliniarz skończy. Pociągnął Patryka do końca korytarza i wepchnął do obskurnej toalety. Policjant wszedł za nimi, wyciągnął z kieszeni telefon i zaczął przeglądać wiadomości.

Wiktor odwrócił od niego wzrok, spojrzał na brata, który wyglądał jak własna śmierć, i rzucił cicho, ale ostro:

– Co jest?

– Zerznąłem Majkę – odparł martwym głosem Patryk.

Wiktor... omal nie parsknął śmiechem, tak absurdalne były te słowa.

– Słucham? – wydusił w następnej chwili.

Patryk powtórzył powoli, patrząc bratu prosto w oczy:

– Zerznąłem Majkę. Ostro. Brutalnie.

Wiktor oniemiał. Nie Patryk! Każdy inny. Marcin tak, ale Patryk? Nigdy w to nie uwierzy!

– Kochaliście się, uprawialiście seks, w to jestem w stanie uwierzyć, leciała na ciebie pół nocy, ale...

– Czy ty słuchasz, co mówię?! Zerznąłem ją jak zwykłą kurwę!

– Patryk, ty nawet nie wiesz, jak się rznie kurwy! Nigdy żadnej nie zerznąłeś! Nie ty!

Patryk ledwo się pohamował, by nie chwycić brata za koszulę, nie wepchnąć go plecami w ścianę i nie przyłożyć mu z pięści.

– Również uważasz, że nie jestem dość męski, nie mam jaj, by przelecieć laskę na ostro!?

Ale Wiktor odparł, czując narastający gniew, straszny, morderczy gniew:

– Nie wierzę, że ot tak poszedłeś do naszej ślicznej, puszczańskiej Majeczki, żeby ją... jak to mówisz... zerznąć. Co ona ci powiedziała? Co zrobiła, że... do tego doszło?! Mów! Słyszysz?!

Patryk milczał. „Ciapowaty”... „Wiktor przynajmniej ma charakter”... i wreszcie: „Nikommu nie życzyłabym takiego ojca”.

Milczał, czując, jak uchodzą z niego resztki sił.

Gliniarz uniósł wzrok znad telefonu.

– Za minutę koniec schadzki!

To zmusiło Patryka do zebrania myśli.

– W poniedziałek z samego rana przyjdziemy po ciebie z Marcinem. Przyrzekam – odezwał się. – Dajesz sobie radę z ciulami?

Wiktor przytaknął, nie spuszczać przerażonego wzroku z młodszego brata. Takiego Patryka nie widział... od niemal trzydziestu lat. Od trzydziestu lat? Nigdy go takim nie widział! Patryk był jak skała, ostoja ich niewielkiej trzyosobowej rodziny. I on, ten wspaniały, prawy mężczyzna... dopuścił się takiego upodlenia? Po raz pierwszy nie wiedział, co młodszy brat robi, gdy stąd wyjdzie. I nie mógł liczyć, że świeże powietrze na tyle otrzeźwi Patryka, by wrócił do hotelu, przespał się, przemyślał wszystko na spokojnie, wysłał Majce bukiet róż, jeśli uważa, że tak należy, i zapomniał o sprawie.

Zamiast tego Patryk zadręczy się na śmierć. A Wiktor tego by nie zniósł.

Co robić?! Do kurwy nędzy, co robić?!

W następnej chwili już wiedział.

Rzucił spojrzenie gliniarzowi, który ze znużoną miną surfował po necie, po czym... z całej siły grzmotnął głową w lustro nad umywalką. Stłuczone szkło runęło w dół. Odłamki cięły jak nóż. Wiktor zalał się krwią. W następnej chwili odepchnął oniemiałego brata i krzyknął z furją:

– Co ci odpierdoliło, czubku?! Skuj go, człowieku, bo jeszcze kogoś zabije!

– to było do policjanta, który stał z uniesionymi brwiami, nie wiedząc, co zaszło.

Zresztą, czy to ważne? Przyjdzie czas na wyjaśnienia. Wolski doskoczył do Patryka, chwycił go za nadgarstek, wykręcił mu rękę tak silnie, że ten z mimowolnym jękiem padł na kolana i spojrzał zszokowany na Wiktora.

– Raczej co odpieprzyło tobie?! – krzyknął i... nagle zrozumiał. – Ciekawe, kto nas teraz stąd wyciągnie... – rzucił z rezygnacją, gdy policjant skuwał mu ręce na plecach.

Do środka wpadli jeszcze dwaj gliniarze. Na widok Wiktora, ocierającego przedramieniem krew, stanęli jak wryci.

– Proponowałbym wezwać karetkę – odezwał się. – Chyba, że chcecie mnie w takim stanie odprowadzić do celi. Może moi nowi kumple mnie opatrzą.

– Odwiozę cię do szpitala osobiście, cwaniaku – warknął ten, który wczoraj aresztował jego, a przed chwilą Patryka.

Rozkuł Wiktorowi ręce, podał garść papierowych ręczników, wskazał drzwi.

– Idziemy. Tylko bez wygłupów.

Nie musiał tego mówić. Pod Wiktorem zaczęły się uginać nogi. Gliniarz chwycił go pod ramię i poprowadził do wyjścia.

Radiowóz ruszył na sygnale.

– Mój brat mnie nie tknął – odezwał się Wiktor. – Sam rzuciłem się na to lustro.

Policjant spojrzał na niego z grymasem ni to politowania, ni wściekłości. „Wciśnij nam lepszy kit” – mówił bez słów.

– Ma ciężką depresję. Nie mogłem pozwolić, by stąd wyszedł. Będzie próbował się zabić przy pierwszej okazji... – ciągnął Wiktor, wiedząc, że go tym zaniepokoi.

Może facet wydawał się twardym gliną, ale lata służby nie wyprały go do końca z uczuć. Już mniejsza o to, że za zdrowie i życie aresztantów on i jego kumple odpowiadali własną głową, po prostu nie chciał mieć nikogo na sumieniu.

– Zeznam, że to był wypadek przy goleniu, jeśli mojemu bratu do poniedziałku nic się nie stanie – dokończył Wiktor.

– Włos mu z głowy nie spadnie – wycedził Wolski w odpowiedzi. – Załatwiłeś sobie, człowieku, jeżeli to był rzeczywiście „wypadek przy goleniu”, wakacje w szpitalu. Mam nadzieję, że więcej tu nie wrócisz. Bardziej upierdliwego gościa dawno nie mieliśmy.

Wjechali na podjazd dla karetek. Sierżant pomógł Wiktorowi wsiąść. Ratownicy już biegli w ich stronę. Krew kapłała na asfalt.

– Wypadek przy goleniu? – upewnił się policjant, uśmiechając się do tego twardego faceta z mimowolną sympatią i szacunkiem.

Wiktor poważnie skinął głową.

Wolski już się odwracał, wiedząc, że na razie nic tu po nim, ale musiał to powiedzieć:



– Wiesz pan co, panie Prado? Poczytałem trochę o pańskim ojczymie, tym całym Kuchcińskim i... proszę się o brata nie martwić. Nie zasłużyliście na to wszystko. Dopilnujemy, żeby nic mu się nie stało. Ma pan moje słowo.

Nie czekając na odpowiedź, odszedł, by zamienić parę słów z lekarzem dyżurnym.

Wiktor opadł na nosze i zamknął oczy, zupełnie wyprany z sił. I to wcale nie z powodu utraty krwi i piekielnego bólu, który właśnie się odezwał. Bywało gorzej. Pocięta odłamkami szkła głowa to nie pięć ran od żelaznych haków... Co więc go tak zmaltretowało? Patryk był na razie pod kontrolą. Gabriela bezpieczna po drugiej stronie oceanu. Julia i Marcin też. I tylko z pewną wyrachowaną, podłą i zdolną do wszystkiego wiedźmą trzeba się będzie przy pierwszej sposobności rozmówić.

Ta wiedźma właśnie wsiadała do czerwonej sportowej mazdy.

\*

Cela była niewielka, stało w niej jedno łóżko i nic więcej. Patryk rzucił na nie koc i poduszkę. Usiadł, opierając się plecami o ścianę, splótł dłonie za głową i zamknął powieki, próbując jakoś sobie poukładać to, co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin. Otepiały umysł próbował przeanalizować zachowanie Majki i reakcję jego, Patryka. Do tej pory nigdy nie stracił nad sobą kontroli. Nie mógł, nie potrafił, nie wolno mu było. Narzucono mu rolę spokojnego, rozważnego, godnego zaufania prawnika.

Od najmłodszych lat żył w cieniu Wiktora, wspaniałego, silnego, pewnego siebie Wiktora. Nie próbował z tym walczyć. Trzymał emocje na wodzy i pewnie nigdy nie pozwoliłby sobie na żadne szaleństwo, żeby nie ujrzeć w oczach brata rozczarowania czy potępienia. Prawy, dobry, szlachetny: takim go sobie Wiktor ukształtował, tak go naznaczył. A Patryk z wrodzonej lojalności nie próbował się z tych pęt uwolnić. Grał rolę młodszego braciszka, wrażliwego, introwertycznego dzieciaka, którym dwaj pozostali muszą się opiekować, którego muszą chronić i bronić przed całym złem tego świata. Grał tak doskonale, że sam w ten film uwierzył.

Raz jeden jego prawdziwa, głęboko ukryta natura dała o sobie znać, raz jeden to on stanął w obronie Wiktora: wczoraj w nocy smagnął Kuchtę pejcem. Czuł wściekłość i rozpacz, ale też nadludzkie siły. Wreszcie pokazał, że on też potrafi nienawidzić, też umie oddać cios, stanąć w obronie tych, których kocha. Jak prawdziwy mężczyzna. Był gotów ponieść konsekwencje swojego czynu, ale... nie pozwolono mu na to. Wiktor, jak zwykle on, wziął winę Patryka na siebie. A Patryk... oczywiście wdzięczny swojemu bratu... poczuł się takim główniarzem... Szczyłem, wciąż popadającym w tarapaty, z których jak zwykle wyciąga go ten fantastyczny Wiktor.

Takim zobaczył się w oczach Majki.

Tak go podsumowała.

„Ciapowaty”...

Potarł twarz.

Najpierw przez pół dnia go uwodziła, potem patrzyła na jego porażkę, a na koniec przekreśliła go jednym słowem...

W tamtej chwili po raz drugi wyrwał się na wolność prawdziwy Patryk Prado, zdolny do nienawiści i przemocy, gwałtowny i nieobliczalny. Wystarczyło jednak, żeby Majka powiedziała: dosyć!, a więzy zacisnęłyby się z powrotem. Ona jednak rzuciła coś zupełnie innego: „I kto tu kogo rżnie?”

Patryk zgiął się wpół, wpił palce we włosy i tkwił tak długie chwile, próbując zapanować nad pogardą do niej i samego siebie.

Tę dziewczynę prześwietlił na wylot w pierwszych godzinach rozmowy. Tak jak on w cieniu braci, tak ona pozostawała w cieniu przyjaciółek. Na pozór fantastyczna, wyzwolona kobieta, która zawsze dostaje to, czego chce, była jednak kłębkim kompleksów przy uroczej, mądrej i dobrej Gabrysi, godnej takiego faceta jak Wiktor. Patryk bał się rozczarować brata, Majka – przyjaciółkę. On był przedmiotem ciągłej troski i litości starszego Prado, Majka zaś pewnie szokowała i martwiła swoim zachowaniem wieczną dziewicę, Gabrielę, która od lat była wierna swej jednej, jedynej miłości.

I oto taka Majka spotyka swoje przeciwieństwo, z którym jednocześnie wiele ją łączy: Patryka...

Majka patrzyła na młodszego z braci Prado z mieszaniną politowania i współczucia. Wiktor nie zdawał sobie z tego sprawy, ale gdy padało imię „Marcin”, pstryk!, i ktoś zapalał w jego oczach światło. Gdy zwracał się do Patryka, pstryk!, światło przygasało. Wieczne rozczarowanie... Jak ona, Majka. Czula narastającą wściekłość na młodszego mężczyznę. Dlatego, że jej nie chciał, pożądał, ale nie chciał, zupełnie jakby była czymś gorszym nawet od dziwki, bo ta przynajmniej daje, ale i bierze, Majka zaś dawała za darmo. Potem jednak zorientowała się, że w Patryku wkurza ją jego podporządkowanie bratu. Ona wpatrzona była wiernymi oczami spaniela w Gabrysię i Julię, Patryk w Wiktora.

„Zrób coś, Patryk! Pokaż, że jesteś prawdziwym facetem! Postaw mu się!”, wyło w duszy dziewczyny. Może powinna krzyczeć to samo do siebie? Dlaczego tylko jej przyjaciółki mają prawo do cierpienia?! Dlaczego tylko Gabrysi i Julce można współczuć? Bo anoreksja i depresja są „lepsze” od poczucia, że jesteś szmatą w oczach każdego, także swoich?!

Gdy ujrzała pogardę w oczach Patryka... poszła na całość. Zmusiła go, by złamał swoje zasady, zerwał więzy, którymi go spętano, po to żeby na końcu ona go złamała. To była jej prywatna zemsta na samej sobie. Na nim. Na Gabrieli, Julce i Wiktorze. Na całym świecie. Pociągnęła Patryka na samo dno. A potem go

jeszcze dobiła. Rany... gdyby którykolwiek inny usłyszał: „I kto tu kogo rżnie?”, chyba nie uszłaby z życiem. I na koniec jeszcze: „Nie życzyłabym nikomu takiego ojca...”. Mówi ta, której tatuś otwarte do krzyku usta zatyka forsą. Jak senator i wielu przed nim...

Ocierając łzy wściekłości i żalu, gnała Wisłostradą z nadzieją, że nie jest jeszcze za późno. Ani dla niej, ani dla Patryka.

Reszta świata przestała Majkę obchodzić.

Niech się nim martwią ci lepsi...

\*

– Ale ja muszę lecieć do Polski! – wykrzyczała Gabriela łamiącym się głosem.

Nie ona jedna.

Na lotnisku JFK trwało pandemonium. Każdy, absolutnie każdy próbował przekonać pracowników odprawy, że tam, dokąd się wybiera, umarła mu ciotka, spłonął dom albo pies zjadł trutkę na szczury. Do tłumu ludzi nie dotarła jeszcze wiadomość o zamachu w Zurychu, nie mogli więc zrozumieć, dlaczego nagle odwołano wszystkie loty, a maszyny, które zdążyły wystartować, lądowały z powrotem jedna po drugiej.

Pracownicy byli spokojni i uprzejmi, bo to nie im zawałił się na głowę sufit i to nie oni zostali rozerwani na strzępy, więc nieświadomi niczego pasażerowie nie pojmowali: dlaczego, do jasnej cholery, nie pozwala się im odlecieć?

– Proszę coś zrobić... – Gabrysia spojrzała błagalnie na towarzyszącą jej kobietę, ale Megan bezradnie rozłożyła ręce.

W tym momencie rozległ się przejmujący pisk ze wszystkich głośników, a po nim beznamiętne słowa. O tym, że terroryści uderzyli w samo serce Europy na niespotykaną dotychczas skalę. Że podłożono kilka ładunków wybuchowych na szwajcarskim lotnisku, chociaż Szwajcaria była bardzo zaangażowana w przyjmowanie uchodźców z Syrii i Iraku. O setkach rannych. O nieznaney liczbie zabitych i zaginionych. Na koniec poproszono wszystkich o modlitwę za ofiary i ich rodziny. I o spokojne opuszczenie lotniska.

Głos umilkł.

Przez długą chwilę panowały cisza i bezruch. Ludzie, ogłuszeni czyjąś tragedią – jak wtedy, jedenastego września – czuli zarazem ulgę, że zamach wydarzył się gdzieś tam, w Europie. Że tym razem zginęli inni. Że nikt z obecnych nie stracił żony, męża, dziecka albo przyjaciela.

Czy aby na pewno?

Nagle tę nienaturalną ciszę przeciął krzyk.

– Moja córka! Nie mogę się do niej dodzwonić!

I czas jak stanął, tak ruszył. Ludzie chwyтали za telefony i próbowali się

połączyć z każdym, kto mógł być w Szwajcarii czy nie daj Boże w samym Zurychu. Coraz częściej rozlegał się płacz, rozbrzmiewały krzyki. Na ekranach smartfonów pojawiły się pierwsze zdjęcia i filmy z miejsca tragedii. Nie dało się tego oglądać spokojnie i bez emocji...

Zszokowana Gabriela spojrzała na równie wstrząśniętą Megan. Ta odezwała się cicho:

– Chodźmy stąd. Odwiozę panią do apartamentu. Dobrze, że tutaj jesteśmy bezpieczne...

I dobrze, że Gabriela miała wyłączoną komórkę.

Niedługo ją włączy i znów, jak dobę wcześniej, zacznie odbierać dziesiątki połączeń. Ale zanim ponownie umrze ze strachu o przyjaciółkę, która poinformuje ją, że leci do niej, do Gabrysi, przez Zurych, przyjdzie ostatnia wiadomość: „Jestem bezpieczna. Zawrócono mój samolot, nim wylądował w tym piekle. Proszę, zostań w Stanach. Kocham Cię. Julia”.

\*

– Muszę się zobaczyć z panem Prado. To bardzo ważne. Sprawa rodzinna – wypaliła Majka jednym tchem, przybierając najbardziej uroczy i błagalny wyraz twarzy.

Policjant dyżurny komisariatu na Włociańskiej, gdzie mieścił się przejściowy areszt, na dźwięk nazwiska Prado omal nie dostał apopleksji. Jednego się na szczęście pozbyli, za to w pojedynczej celi siedział następny, którego, jak przykazał sam naczelnik, również nie wolno było spuścić z oka. Tamten poharatał byłego prokuratora o bardzo nieciekawej przeszłości, ten miał ponoć próbować samobójstwa.

– Po pierwsze, to areszt, nie...

– ...hotel – wpadła mu w słowo. – Wiem, wiem, panie komisarzu. – Celowo zawyżyła mu stopień z posterunkowego do oficerskiego. – Ale muszę, po prostu muszę przekazać panu Prado wiadomość. Oczywiście jawnie. W obecności któregoś z pana podwładnych.

Akurat najniżej w hierarchii stał on, czego Majka była świadoma, bo brak choćby jednej belki na pagonach munduru był bardziej niż oczywisty, ale też policjant nie musiał wiedzieć, że ona wie. I, rzecz jasna, dał się złapać na tanie pochlebstwo i piękne oczy dziewczyny.

– Z którym Prado chce się pani rozmówić, z tym co u nas siedzi, czy z tym co siedział? – Zaśmiał się z własnego żartu, a pod Majką... ugięły się nogi. Patryk! Jednak tu przyszedł, kretyn jeden, i się przyznał! Pytanie jednak, czy przyznał się do gwałtu, czy do pocięcia gęby Kuchcie. Jeżeli do tego i do tego, to jest podwójnym kretynem! Od gliniarza się jednak niczego nie dowie.

– A ten, co u was siedział, gdzie jest obecnie? – zapytała słabym głosem.

– Na wczasach. W Szpitalu Bielańskim. Może się tam pani przejechać albo poczekać, aż do nas wróci.

Na kolejny żart wesołka odpowiedziała wymuszonym uśmiechem.

Wiktor był w szpitalu. Dlaczego?! Co mu się stało?! Chyba nie skatowali go bandyci z celi...?! A Patryk siedział w więzieniu. Najwyraźniej Bóg nie miał dla nich litości. A skoro nawet On się odwrócił od braci Prado, Majka musiała znów wziąć sprawy w swoje ręce. Obiecała sobie przecież, że Gabriela dostanie swój domek. Razem z księciem...

\*

Doktor Braniewski, którego dyżur dobiegał końca dopiero za trzy godziny, na widok zakrwawionego mężczyzny na stole zabiegowym załamał ręce. Policjant uprzedził go przed chwilą, że przywieźli aresztanta z głową pociętą szkłem, nie wspomniał jednak ani słowem, że tym aresztantem jest Wiktor!

– Chłopcze drogi, w co ty się znowu wpakowałeś?!

Wiktor uśmiechnął się z przymusem.

– Zaciąłem się przy goleniu.

– Jeżeli chcieli cię ogolić kumple z celi...

– Nie, doktorze, kumple z celi są całkiem okej, dogadaliśmy się. Widzę, że już wiesz?

– Że cię przymknęli? Wiem. Nad ranem opowiedziała mi o wszystkim przyjaciółka Gabrieli, a przed chwilą policjant, który cię tutaj przywiózł, również poinformował mnie uprzejmie, że jesteś aresztowany. Nie zdradził jednak, w jaki sposób tak się zaciąłeś przy goleniu, że pół twarzy masz we krwi. Żarty na bok. Kto cię tak załatwił, do cholery?

– Nigdy nie zgadniesz – mruknął Wiktor, przymykając powieki. Przed chwilą dostał głupiego jasia i to rozłożyło go zupełnie. Spać. Zasnąć raz na zawsze i... Doktor o coś pytał. – Słucham? – Zmusił się do otwarcia oczu.

– Nie pozwolę, żebyś wrócił do więzienia. Musisz mi powiedzieć, kto ci to zrobił, a ja stanę na głowie, żeby bandzior dostał za swoje!

– A jeśli nie powiem, pozwolisz mi się wykrwawić? – Mimowolnie uniósł kącik ust w uśmiechu.

– Ty i te twoje niewczesne żarty... – obruszył się doktor. – Czekam, aż premedykacja zacznie działać, chyba że wolisz szycie na żywca, jak zwykle?

– Ty i te twoje okrutne żarty... – powtórzył za nim Wiktor. – Wczoraj wieczorem mój ojczym oberwał pejcem po mordzie. Nie ja go poczęstowałem pięcioma hakami, czego szczerze żałuję, ale wzięłem to na siebie.

– Tę część historii już znam – przypomniał mu Braniewski. – Chcę wiedzieć, kto cię poharatał!

Wiktor westchnął. Jego umęczony wzrok pytał: „Naprawdę musisz to

wiedzieć, doktorze?”.

– Osobiście grzotnąłem głową w lustro. Nie, nie próbowałem się zabić ani w ten sposób wydostać się z aresztu – dodał od razu, bo Braniewski gotów był zaraz po zszyciu ran go ubezwłasnowolnić. – Zrobiłem to dla Patryka – dodał cicho. – Wcisnąłem glinom, że mi przywalił, aż wpadłem na lustro i...

– Człowieku, bój się Boga, wrobiłeś własnego brata?! Jeszcze wczoraj życie byś za niego oddał...

– Patryk musiał zostać na Włociańskiej – uciął stanowczo.

– Zamiast ciebie? – domyślił się Braniewski.

Wiktor parsknął śmiechem, mimo że nie było mu wcale wesoło.

– Nie zamiast. Oprócz mnie.

Doktor, nic z tego nie rozumiejąc, pokręcił z westchnieniem głową, uniósł igłotrzymacz i rzekł:

– Bredzisz, chłopcze. To dobry znak: znieczulenie działa.

Gdy igła przebiła skórę i Braniewski zakładał pierwszy szew, Wiktor nawet się nie skrzywił. Leki rzeczywiście działały. Prawie nie poczuł ukłucia. Jeżeli to była cena za bezpieczeństwo brata, warto było... Gdy tylko wyjdzie z aresztu, złoży uniewinniające Patryka zeznania i jeśli pewnej wiedźmie nic nie odbije i ona z kolei go nie podkabluję, jego brat wyjdzie z aresztu i natychmiast poleci do Stanów. Jak najszybciej. Nie. Wszyscy trzej wyjadą. On do Gabrysi, jego bracia do firmowych obowiązków. Polski na razie miał dosyć...

Żeby tylko Majeczka nie postanowiła się mścić... Właściwie za co? Co się wydarzyło między nią a Patrykiem, że doszło do tego, do czego doszło?

– Skończyłem, Wiktor. Zawieziemy cię teraz do jednoosobowego pokoju. Odpoczniesz. A gdy się obudzisz, pogadamy.

Jak przez gęstą mgłę dotarły doń słowa doktora Braniewskiego.

Skinął głową i wyszeptał:

– Doktorze, z Patrykiem jest źle. Proszę...

Nie dokończył. Zapadł się w czarną otchłań bez snów.

Doktor Braniewski wyszedł z sali, czując w każdym mięśniu i każdej kości godziny dyżuru i swoje lata. Mógł w każdej chwili przejść na emeryturę, ale kochał swój zawód i dopóki zdrowie mu dopisywało, chciał chociaż raz w tygodniu nieść pomoc pacjentom pogotowia.

Jednak widok zakrwawionego Wiktora wstrząsnął nim, wyrwał go z bezpiecznego „teraz” i wrzucił z powrotem w przeszłość. Czy bracia Prado – i wszyscy, którym są oni drodzy – nigdy nie uwolnią się od przekleństwa zwanego Józefem Kuchcińskim?

Doktorowi napłynęły do oczu łzy. Wiktor tak wiele dobrego zrobił dla swoich braci i dla niego, zwykłego lekarza, który po prostu wykonywał swoje obowiązki. Dlaczego los temu człowiekowi w końcu nie wynagrodzi wszystkiego,

co przeżył, kochającą żoną, szczęśliwą rodziną i domem pełnym dzieci, o których tak marzy?

– Jak tam nasz aresztant? – zatrzymało go pytanie policjanta, który wstał z krzesła i ruszył w jego stronę.

– A co? Już pana świerzbią ręce, by znów go zamknąć? – odpowiedział Braniewski, z trudem panując nad gniewem.

– Nie, doktorze – odparł mężczyzna spokojnie. – Pytam ze zwykłej ludzkiej troski. Od początku nie podoba mi się cała ta sprawa z nakazem aresztowania w środku nocy, z naciskiem z góry, by przymknąć Patryka Prado, i to właśnie w piątkowy wieczór, by przypadkiem nie wyszedł do poniedziałku... Potem zamiast Patryka do winy przyznaje się Wiktor, a moja policyjna intuicja podpowiada, że chce w ten sposób chronić brata... Świadomość, że aresztuję niewinnego człowieka, bo góra domaga się krwi i tę krew dostaje... Powtarzam: nie podoba mi się to i, o ile nie zabrzmi to niestosownie, cieszę się, że ten człowiek spędzi jakiś czas tutaj, w szpitalu, a nie w celi z trzema ciulami.

– Kto wydał nakaz aresztowania? – odezwał się Braniewski, do tej pory słuchający w milczeniu.

– Nie wiem, czy powinienem...

– Wiktor ma prawo wglądu do akt, jego pełnomocnik również. I tak się tego dowiem, chociaż... nie, chyba się jednak nie dowiem, bo, jeśli dobrze rozumiem, pełnomocnika przymknęliście również?

Policjant spuścił wzrok. Pokpił sprawę, wierząc Wiktorowi Prado. Pozwolił mu na rozmowę z bratem. Zajął się surfowaniem po sieci i nie widział momentu ataku.

– Tak. Patryk Prado został zatrzymany na czterdzieści osiem godzin w związku z naruszeniem nietykalności osobistej – wycedził, wściekły na siebie samego. – Nakaz aresztowania za okaleczenie Józefa Kuchcińskiego wydał prokurator Kamiński. Czy w jakiś sposób to komukolwiek pomoże?

Doktor w zamyśleniu pokiwał głową. Znał Kamińskiego. I jego trzydzieści lat młodszą żonę, którą ledwo uratował po nielegalnej aborcji. Do szpitalnej karty wpisał to jako naturalne poronienie, bo nie do niego należało wydawanie wyroków. Ani niszczenie życia młodej kobiecie. Dzisiaj przypomni się Kamińskiemu i zapyta, dlaczego on przykłada rękę do niszczenia życia braciom Prado.

– Dziękuję, panie sierzancie. Jestem pana dłużnikiem. – Wyciągnął do policjanta dłoń, a ten uściśnął ją bez wahania.

– Mogę zostawić Wiktora Prado pod pana nadzorem? Da pan słowo, doktorze Braniewski, że nie pomoże mu pan w ucieczce?

– Daję słowo. Wiktor wyjdzie stąd wolny albo wróci do aresztu – odparł poważnie.

To Wolskiemu wystarczyło. Zasalutował i odszedł dopilnować, by

młodszemu z braci Prado włos z głowy nie spadł, jak z kolei obiecał on sam.



## ROZDZIAŁ IX



Majka, wbiegając przez drzwi izby przyjęć w swoim stylu, czyli jak po ogień, wpadła wprost na sierżanta Wolskiego.

– Wiktor nie żyje?! – wykrzyknęła bez tchu.

– Dlaczego miałby nie żyć? – zdziwił się policjant.

– To dlaczego nie siedzi pan pod drzwiami jego pokoju? – odpowiedziała pytaniem.

– Mam jeszcze inne obowiązki oprócz niańczenia braci Prado.

– *A propos* braci Prado: co się stało Wiktorowi i za co przymknęliście Patryka?!

– Nie udzielamy takich odpowiedzi osobom postronnym. Na dodatek w miejscu publicznym.

– Jestem ich siostrą, kuzynką, bratanicą, wszystko jedno kim, więc chyba może mi pan to zdradzić. Jeśli nie w miejscu publicznym, to, czy ja wiem... w najbliższej kawiarni?

Wolski uśmiechnął się mimo woli. Ależ miała tupet ta dziewczyna. Dobrze, że nie zaproponowała mu schadzki w hotelu na godziny.

– Przykro mi, ale jestem na służbie – odparł, siłąc się na chłód w głosie.

– Przepraszam... rzeczywiście... – zmitygowała się. – Ale proszę... proszę mi powiedzieć, za co został aresztowany Patryk. – Złożyła błagalnie dłonie.

– I tak zaraz się pani tego dowie od doktora, który przyjmował jego brata, więc to żadna tajemnica: za pobicie.

– Ale przecież... już Wiktor się do tego przyznał! Nie możecie zamknąć ich obu!

Wolski ledwo się powstrzymał, by nie parsknąć śmiechem. „Co za rodzina, jak Boga kocham...”, pomyślał.

– Patryka Prado zatrzymaliśmy za pobicie jego brata, Wiktora – wyjaśnił i patrzył przez chwilę, jak dziewczyna robi coraz większe oczy ze zdumienia, a następnie przytknął dwa palce do daszka czapki i odszedł w stronę radiowozu.

Majka zapukała energicznie do drzwi pokoju z tabliczką „Lekarz dyżurny” i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Doktor Braniewski, który właśnie rozmawiał z prokuratorem, uniósł ze zdziwienia brwi na widok nieznanego dziewczyny, wchodzącej jak do siebie, po czym dokończył:

– Taki jest warunek? Nie wystarczy wam dozór policyjny? Och, rozumiem... to nie jest prywatna wendeta... No cóż. Dziękuję chociaż i za to. Postaram się jeszcze dzisiaj zebrać tę kwotę. Do zobaczenia.

Rozłączył się i trwał przez chwilę, lekko poblądły, z pochyloną głową.

– Rozmawiał pan o Wiktorze Prado? – padło nagle pytanie.

Uniósł zmęczone spojrzenie. To ta dziewczyna... Zupełnie o niej zapomniał.

– A z kim mam przyjemność? – zapytał mało przyjaźnie.

– Z kimś, kto zrobi wszystko dla Gabrieli Leszeńskiej, a więc i dla Wiktora – odparła po prostu. – Majka Trojanowska. Przyjaciółka tych dwojga. – Wyciągnęła do starszego mężczyzny dłoń.

– Jan Braniewski. Również ich przyjaciel.

– Czyli gramy w jednej drużynie? – upewniła się. – Odpowie pan szczerze na dwa pytania, panie doktorze?

– Obowiązuje mnie tajemnica lekarska – zastrzegł.

– Nie będę pytała o szczegóły. Co naprawdę przydarzyło się Wiktorowi, za co siedzi Patryk i jak możemy ich z tego bagna wyciągnąć?

– To trzy pytania, nie dwa.

– Trzecie to dyscyplina dodatkowa – uśmiechnęła się uroczo, jak zwykle, gdy chciała sobie kogoś zjednać. – Dodam, że byłam świadkiem, jak do poharatania Kuchty zamiast Patryka przyznawał się Wiktor, i widziałam, jak wyprowadzali go skutego niczym bandziora. Wcale mi się to nie podobało... – tu głos się jej lekko załamał. – Parę godzin później, upewniwszy się, że Wiktorowi nic w tym głupim areście nie grozi, bo go pilnują, przyszedł do mnie Patryk... – „Przyszedł to za delikatnie powiedziane – dodała w myślach – wtargnął do środka razem z oknem!” – ...bo nasza przyjaciółka Julia omal nie zginęła w zamachu. Skontaktowała się z nami, upewniła nas, że jest bezpieczna i wraca do Warszawy. Patryk opuścił moje mieszkanie – „A uprzednio mnie... cóż...”, ale to również zachowała dla siebie. – I...? Jakim cudem Wiktor jest tutaj, a Patryk tam?

– Tego do końca nie wiem. – Doktor pokręcił głową. – Wiktor nie był zbyt rozmowny. Miał pociętą odłamkami szkła głowę, dostał premedykację i znieczulenie miejscowe... Będziesz go mogła zapytać, gdy się obudzi.

– Zapytam. A jak brzmi odpowiedź na trzecie pytanie?

Braniewski spochmurniał.

– Prokurator jest skłonny od ręki wypuścić Wiktora za kaucją. O Patryku nic jeszcze nie wie.

– No i super. Komu i gdzie mam ją wpłacić?

– A skąd weźmiesz, dziewczyno, pół miliona?

Majka wciągnęła powietrze. Pół miliona?! Jak za mordercę?! Spodziewała się stu tysięcy... No, stu pięćdziesięciu. Tyle to miała. Ale pół miliona?! W weekend?!

– No właśnie... – westchnął doktor z rezygnacją.

Od chwili, gdy Kamiński rzucił tę kwotę, zachodził w głowę, skąd zdobyć takie pieniądze, i to jak najszybciej.

– Marcin! Przecież Marcin miał je przywieźć! – wykrzyknęła nagle Majka. – Wracał do Polski przez Zurych właśnie po to, by zorganizować forszę dla Wiktora! Zadzwońię do niego i poproszę, by się uprzejmie pospieszył, to może chociaż jeden z jego braci jeszcze dzisiaj będzie na wolności... – Odruchowo sięgnęła po komórkę, by jęknąć powtórnie. – Nie mam do niego numeru.

Braniewski zapisał jej go na kartce.

– Dziękuję, doktorze. A teraz pójdę do Wiktora i zapytam, jak wyciągnąć z aresztu Patryka. Nie może być tak, że jeden się tutaj wyleguje, a drugi...

– Wiktor nie wyleguje się tutaj, tylko szyłem mu rany cięte głowy – przypomniał jej Braniewski.

– Jak zwał, tak zwał. W której sali leży?

– W siódemce. Musisz poczekać, aż się obudzi...

Ale Majka nie lubiła na nic czekać. Była kobietą czynu, a nie bezczynności.

Podziękowała doktorowi i w następnej chwili już biegła do sali numer siedem, żeby obudzić Wiktora. Wypałał się wystarczająco, jak na jej gust. Muszą zamienić parę słów na temat Patryka. Jego starszy brat musi się wytłumaczyć, dlaczego on jest tutaj, a Patryk w areszcie.

Nie mogła wiedzieć, że Wiktor czeka na tę rozmowę tak samo jak ona. I za chwilę kto inny będzie się tłumaczył.

Weszła cicho do pokoju, stanęła przy łóżku śpiącego mężczyzny i przyjrzała mu się lekko zmrużonymi oczami. Głowę spowijał bandaż, policzki pokrywał lekki zarost, na ramieniu błyszczało srebrzyście pięć blizn po pejczu. Wyglądał jak ranny wojownik, co tylko dodawało mu męskości. Szkoda, że Majka nie miała u niego żadnych szans...

– Hej, przyjacielu, obudź się – odezwała się półgłosem i potrząsnęła go lekko za ramię.

Gwałtownie otworzył oczy. Przez chwilę patrzył na nią półprzytomnie. Nagle w jego źrenicach błysnęło rozpoznanie i... w sekundę uniósł się, pochwycił dziewczynę za kark, przyciągnął do siebie i wycedził:

– Co zrobiłaś mojemu bratu?!

Strzeliła go w twarz.

Puścił ją.

Odskoczyła.

Dotknął policzka koniuszkami palców. W czarnych oczach zapłonęła czysta nienawiść. Bandaż na skroni zaczął przesiąkać krwią. Majka potrafiła uderzyć...

– Wyjdź stąd. Wynoś się – wyrzucił z siebie te słowa, jakby spluwał jej w twarz. – Nie chcę cię więcej oglądać.

– Ale ja chcę – odparła, wzruszając ramionami. – Możesz mnie wyrzucić z własnego domu czy hotelowego pokoju, lecz nie ze szpitala. Wyjdę, kiedy będę chciała. A zechcę, gdy odpowiesz mi na kilka pytań.

– Spieprzaj! – Odwrócił twarz w drugą stronę, nie mogąc znieść jej widoku.  
– Patryk mnie zgwałcił – rzuciła.  
– Powiedziałem, spieprzaj!  
– Mogłam wnieść oskarżenie, bo zrobił to wyjątkowo brutalnie. – „Nie tak znowu wyjątkowo, bywało ostrzej i cóż... sama go sprowokowałam”, musiała przyznać sama przed sobą. – Ale nie zrobiłam tego i nie zrobię. Nie chcę mu niszczyć życia.

– Już zniszczyłaś. – Wiktor nadal na nią nie patrzył. W jego głosie brzmiała ta sama nienawiść.

– Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?! Twój brat mnie zgwałcił! Wdarł się do mojego domu przez okno, rzucił się na mnie i zgwałcił. To on skrzywdził mnie, a nie ja jego!

– Serio? – Wreszcie na nią spojrział. – Myślisz, że uwierzę w te brednie? Mój brat, prawnik, szanujący kobiety jak nikt inny, ot tak włamał się do ciebie i wziął cię siłą? Z tego, co pamiętam, to ty na niego przez cały wieczór leciałaś, a on nie reflektował, i co? Nagle zmienił zdanie, a ty zmieniłaś swoje? Przestań pieprzyć i wyjdź. Po prostu wyjdź i się nie kompromituj.

Majka... mogła to zrobić, ale lubiła się drażnić z takimi samcami jak Wiktor. Poza tym miała swój cel w tym, by tutaj być. I go wkurzać.

– Ale z ciebie pierdolony szowinista – rzuciła z pogardą. – Nawet jeżeli narzucałam się twojemu braciszкови dzień wcześniej, po pijanemu, nie znaczy, że dzień później mógł mnie przelecieć bez pytania, czy mam na to ochotę, czy nie. Rozumiem, że dla ciebie i twoich braci to kobieta jest winna gwałtu? Bo była pijana, bo miała za krótką spódniczkę, bo nie powiedziała w porę „nie”?

– A powiedziałaś owo „nie”?

Milczała.

„Mogłaś do tego nie dopuścić”, pomyślała. „Miałaś czas. Jedno uderzenie, jeden krzyk i przestałby. Patryk by przestał... Zamiast tego zapytałaś, kto tu kogo rżnie...”

– Pytam, czy zrobiłaś cokolwiek, by Patryka powstrzymać!?

– Zaskoczył mnie! – krzyknęła łamiącym się głosem. – Cisnął na łóżko, zdarł ze mnie szlafrok i po prostu to zrobił!

– Dlaczego? Czym go sprowokowałaś? I nie wciskaj mi łgarstw, że zobaczył cię w kusym szlafrocuku i szajba mu odbiła. – Czarne oczy Wiktora, w których nie było już nienawiści, tylko zmęczenie i żal, żal do dziewczyny, którą zdążył polubić, której zdążył zaufać, żądały odpowiedzi. Domagały się prawdy.

Musiała usiąść, bo kolana się pod nią ugięły.

– Spałam, gdy obudził mnie huk wybijanego okna – zaczęła cicho. – W następnej chwili Patryk wpadł do mojej sypialni. Potrzebował telefonu do rodziców Julii, bo ona nie odbierała. Sprawiał wrażenie... oszalałego ze strachu.

Powiedziałam, że Julia ma tylko nas dwie: mnie i Gabrysię, i że jadę do Zurychu. Poszłam do łazienki, żeby wziąć prysznic, a gdy wyszłam, on rozmawiał przez mój telefon. Z Julią. Uspokoił mnie, że jest cała, że wraca właśnie do Warszawy, więc nie muszę nigdzie jechać. Był... wyczerpany. A ja... ja byłam zazdrosna, że tak się martwi o Julę, której przecież zupełnie nie zna. Przeszliśmy do salonu i na widok wybitego okna powiedziałam...

Majka urwała. Nagle dotarła do niej cała groza tego, co zrobiła. Patryk nie uczynił nic złego, by potraktowała go tak parszywie, jak to zrobiła. Martwił się o jej przyjaciółkę, tylko tyle. Wybił jej okno, za które chciał zapłacić. Tylko tyle. Ona zaś...

– Powiedziałam mu... nie wiem, co mi odbiło... że jest ciapowaty. Powiedziałam... że nie jest mężczyzną. Wtedy się na mnie rzucił.

Wiktor opadł na poduszkę i zamknął oczy.

– Zawsze w ten sposób zdobywasz facetów, którzy na ciebie nie lecą? Obrzucasz ich obelgami i podajesz w wątpliwość ich męskość? – To było pytanie retoryczne. Majka nie musiała na nie odpowiadać, a on tego nie oczekiwał. – Mnie też w ten sposób potraktujesz przy najbliższej okazji?

– Ciebie za bardzo się boję – odparła zgodnie z prawdą.

– Ale mojego ciapowatego brata już nie? A mimo to nie zrobiłaś nic, by go powstrzymać? Nie przypieprzyłaś mu w twarz jak przed chwilą mnie?

Majka milczała.

– Wiesz, dlaczego mu na to pozwoliłaś? – Wiktor znów na nią patrzył. – Bo chcesz go zrobić w ojcostwo dziecka, które posiał w tobie kto inny. Pewnie nawet nie wiesz kto. I mówię ci to, Majka, zupełnie poważnie: po moim trupie.

– A po moim trupie to ojcem mojego dziecka zostanie takie zero jak Patryk! – krzyknęła.

Wiktor aż usiadł.

– I to mu właśnie po wszystkim powiedziałaś?!

– Nie. Dla niego byłam delikatniejsza. Usłyszał, że nikomu nie życzyłabym takiego ojca jak on – zaśmiała się podle, patrząc, jak Wiktor opada na poduszkę, blednąc gwałtownie.

„Co mi teraz zrobisz? Znów chwycisz za kark jak szczeniaka?”, pomyślała z satysfakcją.

Ale on zaczął cicho, za to z takim bólem, że Majka poczuła palący wstyd...

– Powiedziałas coś takiego człowiekowi, który uwielbia dzieci, który pewnie usynowiłby twojego bękarta i kochał jak własne dziecko? Powiedziałas to komuś, kto przez lata patrzył, jak jego ojciec znęca się nade mną? Teraz już wiem, dlaczego...

Urwał. Opadł na poduszkę, wbijając spojrzenie w okno ponad jej ramieniem. Po policzku zaczęła mu spływać kropla krwi niczym łza. Odruchowo wyciągnęła

rękę, by ją otrzeć, ale odtrącił tę dłoń.

– Dokończ – wyszeptała. – Dlaczego Patryk ci to zrobił?

Zaśmiał się. Śmiechem, w którym nie było za grosz wesołości.

– Sam to sobie zrobiłem, idiotko, kiedy gliniarz, który nas pilnował, nie patrzył, i oskarżyłem o napaść Patryka. Wiesz dlaczego? Bo to był jedyny sposób, żeby powstrzymać go przed samobójstwem. Przez jedną noc przeżył zniknięcie Gabrieli, razem ze mną był u Kuchty, który dał do zrozumienia, że to on za tym zniknięciem stoi. Potem patrzył, jak Gabriela próbuje się zabić. I jak wyprowadzają mnie skutego w kajdanki, bo wziąłem na siebie pobicie ojczyma. To jeszcze zniósł. Ale już tego, że wysłał na śmierć twoją przyjaciółkę, Julię, którą wcześniej uratował, znieść już nie mógł. Zrobił coś, o co bym nigdy tego opanowanego człowieka nie posądził: włamał się do twojego domu, by zdobyć jakiegokolwiek informacje o dziewczynie, którą posłał na śmierć. Wreszcie ty zarzucasz mu, że nie jest facetem, i pozwalasz mu się zerznąć. Bo to nie był żaden gwałt, Majeczko, a ostre rżnięcie za obopólną zgodą, po którym ty spać będziesz spokojnie, a nawet lepiej, a mój brat nie spojrzy sobie w twarz. Jakby tego jeszcze było mu mało, po wszystkim zabijasz go słowami, że nie życzyłybyś sobie takiego ojca jak on dla swojego bękarta... Po prostu go zabijasz...

Oczy błyszczały mu od łez, gdy kończył. Majka siedziała bez ruchu, słuchając tego ze ściśniętym gardłem. Gdyby o nią ktoś tak się troszczył... Gdyby ją ktoś tak bardzo kochał... Oddałaby wszystkie pieniądze, śliczną mazdę i wspaniały apartament z widokiem na lśniąca wody Wisły, żeby tylko mieć kogoś, kto zrobiłby dla niej to, co Wiktor dla Patryka i dla Gabrysi. A Patryk dla Julii.

– Po co tu przyszłaś? Chcesz zgłosić gwałt czy jedynie trochę nas poszantażować? Ile mam ci zapłacić?

– Nie chcę niczego zgłaszać! I wsadź sobie w dupę swoją forszę! Co mam zrobić, żeby Patryk wyszedł z cholernego pudła?! – W jej głosie zabrzmiała panika.

Przyszła podrażnić Wiktora, usłyszeć, jak ten kaja się za swojego brata, i urobić dobry grunt pod przeprowadzenie swojego planu. Czy mogła przypuszczać, że zarzuciła Patrykowi pętlę na szyję?!

– On ma tam zostać do czasu, gdy mnie nie zwolnią i będę w stanie go upilnować.

– Ale ciebie tak szybko nie zwolnią! Więc jego też nie! Dlaczego niby...

– Bo przez ciebie jest bliski samobójstwa.

– Ale on nic nie zrobił! Głupio go sprowokowałam, potem pozwoliłam, by stracił panowanie nad sobą! Powiedz mu, że oboje zawiniliśmy, ale nic się, do cholery, nie stało!

– Nie rozumiesz ludzi, którzy wyznają jakieś zasady...

– Pieprzę zasady, jeśli mają mnie doprowadzić do samobójstwa.

– Ale mój brat nie.

– Powstrzymaj go! Ciebie posłucha!

Spojrzał na nią z rezygnacją.

– Patryk jest najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam. Był. Do dzisiaj – dodał z goryczą. – Dzięki tobie znalazł się na dnie. Jest w swoich oczach nic niewartym gnojem. Nic go nie powstrzyma, jeżeli uzna, że musi ponieść karę. Dlatego leżę tutaj z pociętą odłamkami głową, a Patryk siedzi pod kluczem. Żeby nic sobie nie zrobił, gdy zostanie sam w pustym domu. Kiedy wyjdziemy, spróbuję go namówić, żeby tobie jakoś zadośćuczynił tę... krzywdę, a sobie wybaczył i dopiero wtedy...

– Nie chcę żadnego zadośćuczynienia! – krzyknęła niemal z płaczem. – Niech to wszystko po prostu się skończy!

Patrzył na dziewczynę przez długą chwilę. Ona na niego. Jeszcze niedawno mogli zostać przyjaciółmi, teraz byli śmiertelnymi wrogami.

– Pójdę do Patryka, powiem, że mu wybaczam, albo poproszę, żeby on wybaczył mnie. Powiem wszystko, co chcesz, albo co on chciałby usłyszeć, żeby tylko...

– Nie pójdziesz do niego i nie będziesz z nim rozmawiać – uciął krótko. – Za chwilę wypiszę się na własne żądanie i wrócę do aresztu. Do mojego brata. I wyjdziemy razem albo wcale. Bez twojej łaski, Majka. Na koniec uprzedzam, byś trzymała się ode mnie i moich braci z daleka. Potrafię być bardzo niemiły dla takich jak ty. Myślę, że wyjaśniliśmy sobie wszystko. Możesz w końcu zejść mi z oczu?

Wstała.

– Zostawmy to. Po prostu zostawmy i zacznijmy wszystko od nowa – poprosiła cicho.

Odwrócił twarz.

Nie pożegnał jej ani słowem, gdy wychodziła, zamykając za sobą drzwi.

Płakała bezgłośnie, idąc korytarzem. Ocierała łzy, potykając się na nierównych płytach parkingu. Na oślep otwierała drzwi mazdy i wsuwała się do znajomego, bezpiecznego wnętrza.

Ale nie byłaby Majką Trojanowską, gdyby użalała się nad sobą dłużej, niż to konieczne. Jeszcze przez minutę czy dwie pozwoliła, by łzy zmywały żal, gniew i poczucie winy, aż wreszcie stanowczym gestem otarła oczy i sięgnęła do kieszeni, gdzie spoczywała zapomniana karteczka z zapisanym numerem telefonu. To była ostatnia nadzieja Majki, żeby odzyskać przyjaźń braci Prado...

Długo czekała na połączenie. Albo linia była zajęta, albo telefon milczał.

Gdy wreszcie usłyszała: „Halo?”, odetchnęła z ulgą.

– Marcin Prado? – musiała się upewnić.

– Owszem – odparł ostrożnie. – Z kim mam przyjemność?

– Majka Trojanowska. Przyjaciółka Gabrieli, a od paru dni także twoich

braci...

– Kojarzę cię. Coś się stało? – W jego głosie od razu zabrzmiał niepokój.

– A na jakim etapie tego, co się stało, jesteś? Bo wyjaśnianie wszystkiego od początku zajmie mi za dużo czasu, zaraz mogą nas rozłączyć, a ledwo się dodzwoniłam.

– W całej Szwajcarii panuje totalny chaos – wyjaśnił. – Stan wyjątkowy, mobilizacja gwardii narodowej. Wiesz, że były kolejne zamachy?

– Nic nie wiem! – Majka podziękowała w duchu Panu Bogu, że Julia jest w Polsce, bezpieczna.

– To dowiesz się z telewizji. Teraz twoja kolej, syrenko...

Dziewczynie odebrało głos. „Syrenko”...?! I wreszcie wszystkie klocki układanki wskoczyły na swoje miejsce. Nagłe wyjście nieznanego po tajemniczym telefonie, niemal samobójczy skok Julii z drugiego piętra i dwóch mężczyzn, którzy przyszedli jej z pomocą... Patryk, który tak bardzo jej kogoś przypominał, ale do tej pory nie miała czasu się zastanowić kogo. I teraz – bingo! Właśnie z tym kimś rozmawiała!

– To ty mnie wyrwałeś wtedy w klubie? – musiała się upewnić.

– Powiedzmy, że wyrwaliśmy siebie nawzajem. Ale tak, to ja. Przez cały czas, gdy pracowaliśmy z hakerem nad zniknięciem Gabrieli, próbowałem sobie przypomnieć, skąd znam twój głos, i w tej chwili sobie przypominałem. To moja syrenka! Znalazłbym cię wcześniej czy później, choćby po to, by dokończyć tę miłą konwersację, którą wtedy nam przerwano, więc super, że dzwonisz!

Zaśmiał się ot tak, szczerze i spontanicznie.

Teraz i ona poznała ten głos, ten śmiech i już miała mu zawtórować, szczęśliwa, że się odnaleźli, gdy... przypomniawszy sobie ostatnie słowa Wiktora: „Masz trzymać się ode mnie i moich braci z daleka. Potrafię być bardzo niemiły dla takich jak ty”. I przestało to być takie super. Gróźb się nie bała, ale gdy tylko ci dwaj – Wiktor i Marcin – się spotkają, gdy starszy opowie młodszemu, jaką zdziwą jest Majka Trojanowska... Już teraz może zakończyć tę rozmowę.

– Potrzebuję pół miliona na kaucję za twojego brata – odezwała się zupełnie innym tonem niż przed chwilą.

Marcin, dwa tysiące kilometrów dalej, aż spojrzał na wyświetlacz, zdziwiony tą nagłą zmianą.

– Jeszcze dziś rano, przed ósmą, powiedziałbym, że nie ma sprawy – zaczął, wążąc słowa – teraz wszystko się pokomplikowało. Po zamachach w centrum Zurychu pozamykali wszystko. Sklepy, centra handlowe, banki... Nie dostanę się do naszej skrytki, sorry. Wiktor musi wytrzymać do czasu, gdy zorganizuję tę forsę i wywożę ją ze Szwajcarii. A o tym też nie ma teraz mowy. Kontrolują wszystko, co się rusza. Wszystko i wszystkich. Chcą jak najszybciej dorwać tych skurwieli terrorystów, i wcale im się nie dziwię, ale nasze sprawy mocno się komplikują.



Przepróś w moim imieniu Wiktora i przekaż, żeby się trzymał. Stanę na głowie, by wyszedł jak najszybciej... Może zamiast czekać, aż tutaj sytuacja się ustabilizuje, spróbuję wyjechać do Polski? Mamy w kraju kilka kont...

– Z których wypłacą ci forszę po trzech dniach od zgłoszenia kwoty większej niż pięć dych – prychnęła. – A najpierw muszą otworzyć banki. Czyli Wiktor będzie siedział mniej więcej do środy albo czwartku.

– On to zrozumie... – odparł cicho Marcin, czując się winny, mimo iż nie było w tym jego winy. – Zrobię inaczej: wrócę jak najszybciej do Polski i zastawię u lichwiarza swoje mieszkanie...

– Daj spokój. Poradzę sobie. Uruchomię własne fundusze – przerwała mu stanowczo Majka.

– Skombinujesz pół miliona? Ot tak?

– Ot tak – odrzekła lekko, niemal bez troski.

– Dobra. Dzięki. Będę twoim dłużnikiem.

– No ja myślę! To pożyczka, a nie napiwek!

Ponownie się roześmiał.

– Zwrócę z procentami i dorzucę coś jeszcze w naturze. Bez skojarzeń! – zastrzegł od razu, a ona westchnęła tylko w duchu.

Wczoraj pociągnęłaby ten wątek, już w tej chwili zaczynając gorący flirt z tym niesamowitym facetem, ale dzisiaj wiedziała, że jutro jej nadzieje prysną...

– Przywiozę ci coś wyjątkowego ze Szwajcarii – obiecał, pożegnał się i rozłączył.

Ona została z gasnącą komórką w ręku i pustką w sercu.

Gdyby nie głupie, podłe słowa, które rzuciła w twarz Bogu ducha winnemu Patrykowi, miałyby szansę na coś poważniejszego niż jednonocna przygoda.

„Dopóki żyjesz, jest nadzieja”, rzekła do siebie, po czym przypomniała sobie o obietnicy, jaką przed chwilą złożyła.

Pół miliona złotych polskich. Na już.

Skrzywiła się z niechęcią. Oczywiście wiedziała, od kogo dostanie takie pieniądze. Bez pytań, na co są jej potrzebne, bez pytań, kiedy odda, prawdę mówiąc, bez jakichkolwiek pytań, choćby o to, co u niej słyhać. I za to nienawidziła tych dwojga, których teraz musiała poprosić o forszę. Tego też nienawidziła...

Gdzieś daleko motyl ponownie zatrzepotał skrzydłami. Nadciągał sztorm.

– Cześć, tato – odezwała się słodkim głosikiem, gdy tylko usłyszała przeciągłe, wkurzające „Halooo?” po drugiej stronie.

– O, Majunia!? Po co dzwonisz?

Nienawidziła...

– Potrzebne mi jest pilnie pół miliona – jej głos był nadal słodki jak ulepek.

– Euro? Dolarów?

– Złotych.

– Aha. To Maja – krzyknął do kogoś. Pewnie do jej matki. Odpowiedź zagłuszały odgłosy balangi. Ilekroć dzwoniła do rodziców, bez względu na porę dnia i nocy, oni byli na imprezie. Co za ludzie! Wrodziła się w nich bez pudła. Tylko ona przynajmniej czasami chodziła do pracy... – Nie, nic się nie stało, potrzebuje paru złotych! – Jej ojciec nadal krzyczał. Żeby chociaż zapytał, czy rzeczywiście nic się nie stało... – Majuniu, skarbie, mamy przesłać ci te pieniądze na konto, czy potrzebujesz gotówki?

– Gotówki.

– Klucze do naszego apartamentu ma konsjerż, przy okazji sprawdź, czy niczego nie wyniósł...

„W Polsce mówi się »portier«, ty nadęty snobie, i dobrze o tym wiesz!”, wykrzyczała w duchu, czując napływające do oczu łzy.

– Pieniążki weźmiesz sobie z sejfu. Podam ci kod, gdy będziesz na miejscu. To wszystko, skarbie? Bo impreza się właśnie rozkręca... Jeżeli wszystko, to ty też baw się dobrze. Pa, kochanie.

Nie czekał choćby na słowo od córki. Po prostu się rozłączył. Nic dziwnego, że Majka pozwala jemu podobnym traktować się jak szmata. Przywykła.

Zacisnęła zęby, włączyła silnik mazdy i... omal nie rozbiła się o mur szpitala, bo zapomniała zmienić bieg na wsteczny. Wstrząs sprawił, że się roześmiała.

– Ale z ciebie idiotka – chichotała, wyjeżdżając z przyszpitalnego parkingu. – Tyle lat, a ty nadal się łudzisz, że cokolwiek dla nich znaczysz. Że kiedykolwiek okażą ci ludzkie uczucia, nie mówiąc o rodzicielskich. Kuchta przynajmniej coś do swoich pasierbów czuł. Nienawiść. Ci, którzy spłodzili ciebie, czują jedynie niesmak, że aż tak się zapomnieli. I może żal, że cię nie wyskrobali, gdy był jeszcze na to czas. Idiotka...

Otarła łzy wierzchem dłoni, uspokoiła oddech i zdjęła nogę z gazu, bo zupełnie tego nieświadoma, wcisnęła pedał do oporu. Mazda z niemal ludzkim westchnieniem ulgi zwolniła z ponad dwustu do setki. Na szczęście w sobotnie przedpołudnie Marymoncka była pustawa.

Przejechała przez pół miasta. Zaparkowała pod najdroższym apartamentowcem w Warszawie o durnej, zdaniem Majki, snobistycznej nazwie „Złoty Środek”.

Portier poznał ją od razu. Nic tak nie przywraca pamięci jak sute napiwki za byle co.

– Panna Maja, jak miło, jak miło! – Rozpłynął się w uśmiechach i ukłonach. – Czym mogę służyć? Mieszkanko jest jak spod igły. Pilnujemy, by sprzątano w nim dwa razy w tygodniu, tak jak pani rodzice sobie życzyli. Pościel świeżutka, zmieniana co trzy dni, ręczniki codziennie.

„I po jakiego grzyba?!”, krzyknęła w duchu. „Przecież nikt w tym zasranym mieszkaniu nie bywa! Nikt nie śpi w świeżutkiej pościeli, nie używa zmienianych codziennie ręczników!”. Ale zmilczała. Ten człowiek nie był niczemu winien. To nie on ją podrzucił niańkom, gdy tylko przysłała na świat, i nie on zapomniał o niej na czternaście lat, do czasu, gdy wyrwała się spod kontroli nianiek, zażądała mieszkania i pieniędzy. Ojciec z matką dali jej wszystko, czego chciała, zapłacili za wybrane przez nią lokum, co miesiąc wysyłali większą forszę, niż była w stanie przepuścić, byle tylko zbyt często się nie naprzykrzała. Żeby nie musieli oglądać jej imienia na wyświetlaczu telefonu.

– Poproszę klucze – ucięła krótko umizgi portiera.

Sięgnął do szuflady i podał jej czym prędzej.

– Czy mogę czymś jeszcze słu...

– Dziękuję. To wszystko – przerwała mu w pół słowa, nieodrodna córka swoich rodziców, i ruszyła ku windom.

Po chwili wchodziła do ogromnego apartamentu, pustego i zimnego jak lodowisko w Jakucku. Podłogi z białego marmuru, białe meble, białe ściany, a na nich obsceniczne bohomyzy współczesnych „artystów”. Boże drogi, tak musi wyglądać piekło... Tak mniej więcej wygląda jej życie...

Weszła do łazienki, białej do porzygania, jak reszta tego miejsca, i wielkiej, jakby miały się tu odbywać orgie swingersów. Zdjęła ze ściany obleśny obraz dwóch kopulujących ciał, nie wiadomo właściwie, jakiej płci, zresztą kto by się temu przyglądał, po czym zadzwoniła do ojca.

Odezwał się niemile zaskoczony jej telefonem:

– Co tam znowu, kochanie?

Po nieco bełkotliwym tonie poznała, że już dał sobie w gardło albo w żyłę.

– Potrzebny mi kod do sejfu.

– Prościzna: moja data urodzenia, data urodzenia matki, tylko na wspak i...

– Nie pamiętam, kiedy się urodziliście – przerwała mu mściwie.

Westchnął ciężko.

– Prawdę mówiąc, daty urodzin twojej matki też nie pamiętam. Skarbie – krzyknął – kiedy się urodziłaś? Nie, nie chcę kupować ci prezentu, Majunia potrzebuje kodu do sejfu. – Jego żona coś odkrzyknęła. – Naprawdę? Jesteś już taka stara? – zarechotał jak z dobrego żartu, podyktował Majce szereg cyfr, rzucił: – Nie dzwoń w najbliższym czasie. Jesteśmy zajęci – i rozłączył się bez pożegnania.

– Kij ci w oko – mruknęła Majka, wystukując kod. – A matka, ty gnoju, ma dopiero sześćdziesiąt dwa lata.

Drzwiczki odskoczyły, gdy tylko wprowadziła ostatnią cyfrę.

Bez ciekawości zajrzała do środka. Równiutki stos banknotów, spiętych banderolami... Kasetka z biżuterią... Niewielki, zamykany na klucz sejf,

przyspawany do dna... Odliczyła dwadzieścia pięć plików dwustuzłotówek. Wrzuciła do swojej przepastnej torby. Dorzuciła jeszcze pięć, na waciki, zatrzasnęła drzwiczki i włączyła reset kodu. Tym razem, z mściwym uśmiechem, wprowadziła swoją datę urodzenia, i drugi raz, na wspak. Niech jej ukochani rodzice trochę się pogłowią, nim przypomną sobie, kiedy przyszła na ten parszywy świat ich jedynaczka.

Z ulgą opuściła to miejsce.

Jakiż przytulny wydał się po lodowej pustyni budynek Szpitala Bielańskiego...

– Proszę, panie doktorze. – Położyła przed Braniewskim torbę z pieniędzmi.  
– Kaucja za Wiktora.

Spojrzał na Majkę z niedowierzaniem.

– Pół miliona?

– Tak.

– Jakim cudem Marcin zorganizował to tak szybko?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Wiem, że dzięki temu jego brat nie wróci do aresztu, a drugi szybko areszt opuści.

– Dziękuję, moja kochana. – Uśmiechnął się ciepło do dziewczyny.

– Proszę dziękować Marcinowi. Ja jestem tylko posłańcem – odrzekła, czując śmiertelne zmęczenie. I bezgraniczną rozpacz, nie wiedzieć czemu... – Któremu tym razem może nikt nie zetnie głowy – dodała jeszcze.

Żegnał ją śmiech starszego człowieka. Mogłaby go polubić, a nawet pokochać, jak namiastkę ojca, gdyby nie jedno ale: od takich ludzi jak doktor Braniewski dzielili ją tacy jak bracia Prado.

Ona, Majka Trojanowska, zasługiwała tylko na obleśnych, cuchnących senatorów, u których boku będzie się przez resztę życia budzić z nienawiścią do nich i samej siebie...

## ROZDZIAŁ X



Wiktor odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy za sobą i Patrykiem zamknął drzwi mieszkania na Starówce.

Hoteli, szpitali, aresztanckich cel i wszystkiego, co obce, miał na razie dosyć.

„Marcin dobrze się spisał”, pomyślał z dumą i wdzięcznością. „Zważywszy na okoliczności, naprawdę dał radę”.

Próbował się dodzwonić do młodszego brata, ale sieć komórkowa po prostu

padła. Trzeba było spokojnie, teraz już naprawdę spokojnie, czekać, aż znów w komplecie, jak trzej muszkietierowie, zasiądą przy stole w jadalni i zastanowią się, co dalej począć ze swoim życiem. A mieli o czym myśleć.

Na razie musi się zająć Patrykiem, który zaraz po przyjściu usiadł na kanapie i wbił bezmyślne spojrzenie w ścianę naprzeciwko.

– I po co mnie stamtąd wyciągałeś? – rzucił beznamiętnie. – To, co zrobiłem, ma mi ujść na sucho?

– Nie dziękuj aż tak wylewnie, bracie – prychnął Wiktor, przyglądając się mu uważnie lekko zmrużonymi oczami, jak to miał w zwyczaju.

Patryk wyglądał na wyczerpanego, owszem, ale przynajmniej głowę miał całą, a nie spowitą w bandażę. No i duszę poharataną pewnie bardziej niż Wiktor skroń.

Odwrócił wzrok, podszedł do barku, równie dobrze wyposażonego jak ten w hotelu, nalał pół szklanki whiskey, która powinna Patryka ściąć z nóg po nieprzespanej nocy, podał mu ją i rzekł nieznośnym sprzeciwu głosem:

– Pij. Do dna. Bardzo dobrze. A teraz, zanim padniesz twarzą w stolik, powiedz, co takiego niby zrobiłeś...

– Mówiłem przecież!

– ...oprócz tego, że przeleciałeś na ostro laskę, która sama się o to prosiła.

– Majka nie prosiła się...

– Majka od początku próbowała zaciągnąć ciebie albo mnie do łóżka, już wiemy z jakiego powodu. Niewinną dziewczicą nie jest. Bezczelnie ci naubliżała i nie kiwnęła palcem, nie powiedziała głupiego „przestań!”, żeby cię powstrzymać. Na koniec dowalała ci jeszcze podlej. Już za samo to chętnie przypieprzyłbym jej w twarz. Coś mi umknęło?

Patryk musiał zaprzeczyć. Takie były fakty, co nie znaczy, że poczuł się mniej parszywie.

– Rozmawiałem z nią. Ona chce po prostu o wszystkim zapomnieć. Ty również. Ty również! – powtórzył z naciskiem, bo Patryk już otwierał usta, by zaprzeczyć. – Przepraszaj ją, wyślesz bukiet róż, jeżeli czujesz taką potrzebę, uznasz dziecko, które urodzi. To wystarczająca kara.

– Dla mnie, dla Majki czy dla tego dziecka? – prychnął Patryk.

Boże, jak on sobą gardził... Ale prawdę mówiąc, coraz mniej, bo stara dobra whiskey zaczęła działać.

– Przestań się uzalać nad sobą, a tym bardziej nad nią – w głosie Wiktora zabrzmiała pogarda.

Patryk chciałby wiedzieć, kim jego brat tak gardził. Nim czy Majką...? Właściwie już nawet nie chciał... Zrobiło mu się wszystko jedno.

Wiktor obserwował go nadal.

– Wiesz co? Ty się połóż, bo wyglądasz jak śmiertelnie ranny kundel, a ja

w twoim imieniu wyślę jej te róże. I jakiś ładny, drogi drobiazg na otarcie łez.

– Mógłbyś przynajmniej w tym mnie nie wyręczać? Jeżeli tak ma się to skończyć, to sam, osobiście wręcę jej te róże, przeproszę...

– Nic Majce nie będziesz wręczał, braciszku – odezwał się Wiktor cicho i groźnie. – Nigdy więcej się z tą dziwką nie spotkasz. Prześpisz się parę godzin i lecisz do Stanów czy gdziekolwiek. Majki więcej nie zobaczysz.

Patryk podniósł się i stanął nieco chwiejnie twarzą w twarz ze starszym bratem.

– Nie groź mi, Wiktor. Nie mam pięciu lat. Spotkam się, z kim będę chciał i kiedy będę chciał.

– Tak ci się tylko wydaje – głos Wiktora był zimny niczym ostrze noża przyłożone do gardła. – Jeżeli będziesz próbował zobaczyć się z Majeczką, ciebie nie powstrzymam, jesteś moim bratem, ale spowoduję, że ona zniknie z twojego życia raz na zawsze.

– Zamordujesz ją? – roześmiał się sarkastycznie Patryk. Wiktor nie byłby do tego zdolny.

– Bynajmniej, braciszku. Znajdę na Majeczkę jakiś hak i ją na nim elegancko powieszę.

– Więc jednak morderstwo...

– To była przenośnia, kretynie! – krzyknął Wiktor, z ulgą konstatuując, że młodszemu bratu wraca poczucie humoru, a to dobry znak. – Weź szybki, gorący prysznic, zmyj z siebie smród aresztu i kładź się w gościnnej sypialni.

Co za kuszący pomysł. Kąpiel i sen. Gdy się obudzi, będzie po problemie. Patryk poczuł nagłą ulgę, że nie będzie musiał stawać przed Majką i się kajać, gdy tak naprawdę nienawidził jej z całego serca. Wiktorowi będzie łatwiej... On sobie z tym poradzi... Jak zawsze... Powieki mu opadły. Zasnął.

Dobrze, iż w tej chwili, gdy przyszłość zdawała się nieco prostsza, a los mniej okrutny. Żaden z nich nie wiedział jednak, że problemy dopiero się zaczynają...

\*

– Co cię trapi, dziecinko? – słowa pana Antoniego jak zwykle wzruszyły Majkę.

Po wyjściu od doktora Braniewskiego wstąpiła na OIOM, żeby sprawdzić, czy ojcu Gabrysi niczego nie potrzeba. Zastała go w całkiem niezłym stanie. Był przytomny, leżał w szpitalnym łóżku, otoczony aparaturą monitorującą jego stan, i z zamyśleniem patrzył w okno. Na widok wchodzącej do pokoju dziewczyny rozpromienił się. Ona również obdarzyła go serdecznym uśmiechem, przysiadając na krześle. Za chwilę zadzwoni do Gabrieli, by upewnić się, że ta uparta kobieta zostanie w Stanach do czasu... właściwie nie wiadomo jak długo. Wspomnienie

koszmarnej nocy, gdy byli pewni, że dorwał ją Kuchta, nawet teraz, w to spokojne sobotnie popołudnie, gdy wszyscy, których Majka kochała albo zdążyła pokochać, byli bezpieczni, podnosiło jej włosy na karku.

Tak, tak, niech Gabrysia siedzi w Ameryce z dala od bestii, samotnej rozwalającej się chaty w środku lasu i... Wiktorka. Wspomnienie tego, jak Majkę potraktował ten ostatni, wzbudzało z kolei gniew i żal.

Te dwa uczucia odbijały się w jej oczach, bo nie udało się ich ukryć za zwykłym uśmiechem *take it easy*, typowym dla Majki Trojanowskiej. I o to pytał pan Antoni.

Wzruszyła nonszalancko ramionami.

– Martwię się – odparła krótko, chociaż zważywszy na stan chorego, powinna go zbyć jakimś uspokajającym słowem. – Gabriela przy pierwszej sposobności wróci do Polski, jestem tego pewna. Już mniejsza o Leśną Polanę czy Wiktora, ale po prostu chciałaby przy panu być, panie Antosiu. Przecież jest pan jej ojcem. Najlepszym, jakiego można sobie wymarzyć. A Kuchta... teraz, gdy już wie, że ona i Wiktor znów się do siebie zbliżyli, nie odpuści. On żyje tylko po to, by was krzywdzić: ją, swoich pasierbów, pana... Mając pod ręką Gabrielę, trzyma was wszystkich w garści. Nie wiem, czy Wiktor będzie w stanie ją ustrzec, pilnować jej dzień i noc, by żaden z najemników Kuchty nie uprowadził jej ponownie, i zwyczajnie się o nią boję.

Słuchał jej z uwagą, mówiła więc dalej:

– Za chwilę pojedę na lotnisko po Julę i najchętniej wsadziłabym ją z powrotem w samolot lecący do Nowego Jorku, może bez przesiadek w Zurychach, żeby przytrzymała Gabrielę z daleka od Polski, ale lotnisko jest nadal zamknięte. Nie wiem, co robić – zakończyła.

Antoni pokiwał głową. Rozumiał obawy Majki, sam miał podobne, ale... Nie. Nie mógł jej uspokoić. Nikomu nie wyjawi swoich planów, bo wszyscy staraliby się go powstrzymać. A on, i tylko on, mógł powstrzymać Adolfa Kuchtę.

– Wiktor to mądry i odpowiedzialny mężczyzna – odezwał się. – Poprzednio nie dysponował takimi środkami i taką wiedzą jak dziś. Musiał odejść, by Gabriela pozostała bezpieczna. Od tamtego dnia wiele się zmieniło, kochana moja córeczko. – Na te pełne czułości słowa łzy znów napłynęły Majce do oczu. Ujęła dłoń starego człowieka i przytuliła do policzka.

– Wiktor zapewni Gabrieli bezpieczeństwo – mówił dalej. – Uratował przed tą bestią swoich przybranych braci, ocali więc i ukochaną kobietę. Przyznam, że w tej chwili bardziej się martwię o ciebie. Zawsze byłaś skryta. I zawsze uśmiechnięta. Co się kryje za tym uśmiechem? Kiedy wreszcie przyznasz się do słabości i poprosisz nas, swoich bliskich, o pomoc?

Majka chwyciła haust powietrza przez zaciskające się boleśnie gardło. Tak bardzo chciałaby się zwierzyć panu Antoniemu choćby z ostatniej rozmowy

z ojcem. Opowiedzieć, jak strasznie boli bycie niechcianym, niekochanym dzieckiem z przypadku, któremu otwarte do krzyku usta zatyka się forsą. Ale nie był to dobry czas. Ani dobra godzina.

Czuła niemożliwe zmęczenie, a dzień jeszcze długi.

– Pomyślałam, że dopóki Gabrysia jest w Stanach i Julia nie da rady tam polecieć, mogłaby się zatrzymać w jej mieszkaniu na Bielanach – odparła, przemilczając jego pytanie. – U mnie zawsze znajdzie się dla Julki miejsce, ale... mam przejściowe kłopoty z oknem w salonie. Jest rozbite. Sama przeniosę się do hotelu, dopóki mi go nie wstawią, pomyślałam więc...

– Oczywiście! – Pan Antoni nie dał jej dokończyć. – Klucze znajdziesz w kuchennej szufladzie w moim mieszkaniu. Jeżeli z jakichś powodów nie chcesz, by wiedziała o tym planie Gabriela, dochowam tajemnicy.

– Ależ nie mam nic przeciwko temu i Gabrysia również nie będzie miała! Jestem pewna, że sama to zaproponuje. Zaraz będę dzwoniła do Nowego Jorku, by dostać błogosławieństwo Gabrieli. Jedynie te klucze były mi potrzebne, bo swoje... gdzieś zapodziałam.

Umknęła wzrokiem przed uważnym spojrzeniem pana Antoniego.

Prawdę mówiąc, nie chciała po prostu wracać do swojego apartamentu z cholernym widokiem na Wisłę, stłuczonym oknem, a przede wszystkim wspomnieniem ostatniej nocy. Tego, co się wydarzyło między nią i Patrykiem, do czego nie powinno dojść i o czym oboje chcieliby zapomnieć, ale niestety, amnezji na zawołanie się nie dostaje.

Zresztą pieprzyć Patryka i jego obu braci!

Majka poradzi sobie bez ich łaskawej przyjaźni! Swój dług spłaciła. Dzięki niej Wiktor z Patrykiem są już wolni. Może i ona uwolni się od nich szybciej, niż można się tego spodziewać?

Byle tylko nie wracać do domu.

I trzymać się z daleka od wszystkiego, co nosi nazwisko Prado.

\*

Wreszcie nadjechał autokar, jeden z wielu tego dnia, bo ruch lotniczy nad Polską zamarł. Podobno w całej Europie podłożone były ładunki wybuchowe i służby antyterrorystyczne przeczesywały teraz terminale, sale odlotów i przylotów, magazyny, sortownie bagażu, jednym słowem: wszystko.

Majka z Julą padły sobie w ramiona i uściślały się ze łzami w oczach. Nie tylko one. Na każdego pasażera, który uniknął jatki w Zurychu, czekali zapłakani i szczęśliwi bliscy.

– Gdyby coś ci się stało... – szeptała Majka, tuląc przyjaciółkę. – Bardzo cię kocham...

Szybko zabrała ledwo żywą z nadmiaru wrażeń Julię do samochodu



i kwadrans później parkowały już na Powiślu.

– Wezmę tylko kilka ciuchów i zaraz wracam. Poczekasz na mnie, Julia?

– Pomogę ci się spakować – zaoferowała dziewczyna, której Majka po drodze napomknęła o wybitym oknie balkonowym. Szczegółów jednak nie podała. Julka nie do końca rozumiała, czy było to włamanie, czy też silny wiatr zatrzęsnał okno, nie miała powodu, by dopytywać, ale pomóc Majce w pakowaniu mogła.

– Nie! – Sprzeciw przyjaciółki zaskoczył ją. – Nie – powtórzyła Majka spokojniej. – Mam w domu chlew. Aż mi głupio, że szklarze będą to oglądać, ale tobie chcę oszczędzić tego widoku. Poczekaj w samochodzie, proszę.

Julce nie pozostało nic innego, niż przytaknąć. Wiedziała, że Gabrysia użyczyła jej swego mieszkania na Bielanach, i nie mogła się doczekać długiego, spokojnego snu w prawie własnym – a przynajmniej już nie szpitalnym – łóżku.

Majka szybkim krokiem ruszyła w stronę wejścia do budynku.

Ochroniarz otworzył przed nią drzwi i rzekł z porozumiewawczym uśmiechem:

– Czekaj na panią niespodzianka.

O Boże, tylko nie to! Żadnych niespodzianek więcej już dziś nie zniesie!

Mężczyzna zniknął za drzwiami portierni, po czym wrócił z ogromnym bukietem herbacianych róż i dołączoną do niego pięknie zapakowaną przesyłką.

– Od cichego wielbiciela zapewne – wysilił się na żart.

Majka podziękowała chłodno. Ręce zaczęły jej lekko drżeć, gdy jechała windą na ostatnie piętro. Weszła do holu, zamknęła za sobą drzwi na klatkę schodową i oparła się o nie. Kwiaty i prezent w torebce znanej firmy jubilerskiej parzyły ją w ręce. Odłożyła torebkę na komodę. Z bukietu wyciągnęła bilecik.

„Przepraszam za wszystko. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz i pozostaniemy przyjaciółmi. Patryk” – przeczytała i odetchnęła głęboko. Naprawdę chciałyby wierzyć w tych parę słów. Z ozdobnej torebki wyjęła podłużne pudełko z granatowego aksamitu, otworzyła je i musiała wstrzymać oddech. Bransoletka z białego złota inkrustowanego brylantami była prześliczna. I na pewno bardzo droga. Ciekawe, czy Wiktor wiedział o różach, krótkim liście i bransoletce...

Trzymając ją w dłoni, przeszła do salonu, który wyglądał jak po apokalipsie, przysiadła na krześle, wyjęła z szuflady ozdobną papeterię, długopis i odpisała szybko: „Nie gniewam się, Patryk. Ty też mi wybac. Również mam nadzieję na Twoją przyjaźń”. Właśnie wkładała kartkę do koperty, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Ochroniarz podał jej niewielki karteluszek.

– Zapomniałem o tym. Potwierdzenie odbioru.

Podziękowała, ponownie zamknęła drzwi, zmiała świstek w ręce i już miała wyrzucić go do kosza, gdy... rozprostowała karteczkę gwałtownie. Nadawca

przesyłki podpisał się nieczytelnie, ale „P” od „W” Majka potrafiła odróżnić.

Aż ją zatkało z gniewu, wstydu i rozczarowania.

– Ty naiwna idiotko – wyszeptała. – Myślałaś, że Wiktor ci odpuści? A Patryk choć kiwnie palcem bez jego wiedzy i zgody?

Powróciła do stołu, podarła list, który przed chwilą napisała, po czym, dygocząc z wściekłości, skreśliła zupełnie inne słowa: „Dziękuję za nieszczerze przeprosiny, Wiktor. Kwiaty piękne, przekażę je komuś godniejszemu ode mnie, bransoletkę odsyłam, bo nie jestem dziwką, której się płaci za seks. Swojego brata przepróż ode mnie szczerze. Zasługuje na to. I na wolność, ale ty nigdy go od siebie nie uwolniesz. Twoja na zawsze M.”

Gdy kilka godzin później Wiktor przeczytał te słowa, uśmiechnął się zimno, podarł kartkę na drobne kawałki i wyrzucił do kosza. Patrykowi powie, gdy ten się obudzi, że Majka przyjęła przeprosiny. Bo przyjęła, no nie?

## ROZDZIAŁ XI



Gabriela dzwoniła do szpitala kilka razy dziennie. Pielęgniarki i lekarze zapewniali ją, że stan pana Leszeńskiego się poprawia, że nie ma już powodów do niepokoju. To samo słyszała od Majki i Wiktora. Oczywiście oddzielnie. Raz dzwonił do niej on, to znowu przyjaciółka. Gabrysia nie miała pojęcia, jaki dramat rozegrał się między Majką a braćmi Prado. Nie wiedziała, że przed nią trudne czasy: wcześniej czy później będzie musiała opowiedzieć się po którejś ze stron, wybrać miłość albo przyjaźń. Jakiego dokona wyboru?

Przyszłość była jednak jeszcze ukryta za kurtyną. Ta część przedstawienia zwanego życiem dopiero miała się rozegrać.

Tymczasem Gabriela nadrabiała zaległości w pracy – w podróż do Ameryki zabrała swój laptop, a wypełniać tabele mogła przecież na całym świecie – i zwiedzała Nowy Jork pod opiekuńczymi skrzydłami Megan, która bardzo poważnie traktowała swoje obowiązki. Miała zapewnić tej kobiecie bezpieczeństwo? Zapewni. Miała dopilnować, by niczego jej nie brakowało? Dopilnuje. Miała zatrzymać ją za wszelką cenę w Stanach? Zrobi to. Dostarczy Gabrieli tyle atrakcji, że ta nawet nie pomyśli o powrocie do ponurej, biednej ojczyzny, gdzie pewnie jeszcze czołgi po ulicach jeżdżą. Amerykanie posiadają znikomą wiedzę nie tylko o świecie zewnętrznym, ale i w ogóle. Prawdę mówiąc, gdyby nie pracowała dla polskiej firmy, nie wiedziałyby, czy ten kraj leży w Azji, Południowej Ameryce, a może w Chicago... Bo tam jest sporo Polaków...

Gabriela nie mogła więc narzekać na brak zajęcia, ale tęskniła. Za tatą i Wiktorem. Za przyjaciółkami. Za Leśną Polaną... Ameryka, choć wydawała się wspaniała, była obcym światem, w którym za pustymi słowami *How are you?* kryły się puste twarze, zupełnie niezainteresowane, jak naprawdę się masz.

Pogrążona w takich rozmyślaniach, wyszła na taras apartamentu i zapatrzyła się na światła Nowego Jorku. Ten widok, za który płacono tutaj miliony, zupełnie jej nie pociągał. Gdyby miała przed sobą bezmiar morza, palmy, złotą plażę... ale panorama wielkiej metropolii z całym tym ulicznym zgiełkiem, niemilkącym nawet nocą, z rozbrzmiewającymi bez ustanku syrenami policji, straży pożarnej czy pogotowia i milionami ludzi, dla których to miejsce było spełnieniem amerykańskiego snu, a jedyny cel stanowiły pieniądze? Nieee, to nie dla Gabrieli. Ona oddałaby wspaniały widok z tarasu jeszcze wspanialszego apartamentu za jeden pocałunek Wiktora, jedno przytulenie chorego ojca.

Zadzwoił telefon. Wróciła do środka, wzięła komórkę do ręki i odebrała czym prędzej.

– Gabrysiu, córeczko najmilsza, to ja – usłyszała głos Antoniego i poczuła obezwładniającą ulgę. Jej tata żył i wracał do zdrowia, skoro wreszcie pozwolono mu zadzwonić do córki osobiście!

– Tatuniu, powiedz, że czujesz się już dobrze! Że nic ci nie grozi! Przyjmujesz leki? Kiedy cię wypiszą? Chcę cię odebrać ze szpitala i opiekować się tobą, aż całkiem wydobrzejesz.

– Gabrysiu, właśnie dlatego dzwonię: nie wracaj do Polski, dziecko. Będę spokojniejszy, jeżeli pozostaniesz jak najdalej od Kuchty i jego płatnych pachołków. Nie wracaj, córeńko...

– Jeżeli będzie chciał, dopadnie mnie i tutaj – odparła cicho.

Nie bała się już tamtej bestii. Od kiedy odzyskała nadzieję na miłość, na własny dom, na szczęście u boku Wiktora Prado, nie bała się już nikogo i niczego. O kogoś – tak, ale nigdy więcej nie pozwoli się skrzywdzić Adolfowi Kuchcie. Tym razem będzie walczyć o siebie i tych, których kocha!

– Wiktor do tego nie dopuści – rzekł stanowczo pan Antoni. – Myślę, że byłby w stanie zabić ojczyma, gdyby ten powtórnie ci zagroził, ale... straciłabyś wtedy Wiktora po raz drugi. Zabiłby bestię, a skazano by go jak za człowieka, na dożywocie. Nie możesz kusić losu, córeczko. Zostań tam, gdzie jesteś bezpieczna.

– I do końca życia mam się ukrywać?!

– Nie, Gabrysiu. Miejmy nadzieję, że wkrótce będziesz cieszyła się nie tylko wymarzonym domkiem i ukochanym mężczyzną, ale i gromadką dzieci.

– A ty gromadką wnuków. Tato, nie chcę tańczyć tak, jak mi Kuchta zagra. Nie chcę być skazana na jego łaskę i niełaskę. Jeżeli pokażę tej kreaturze, że się już nie boję, że nie ma wpływu na moje życiowe wybory, że jestem silniejsza od niego...

– Nie jesteś – przerwał jej cicho Leszeński. – Doprowadził do aresztowania własnego syna, nie miał litości nad kimś, komu niemal złamał życie, a ty uważasz, że ulituje się nad tobą? I mną, twoim ojcem? Wiem, że jesteś odważna, Gabrysiu, ale z tą bestią nie wygrasz, bo ty znasz co to honor, prawość, zasady, a bestia nie liczy się z nikim ani z niczym. Żyje tylko po to, by niszczyć. Jeśli nie obawiasz się o siebie, miej na uwadze, bardzo cię proszę, moje zdrowie i spokój ducha. Kuchta już wie, że na powrót odnaleźliście się z Wiktorem, że macie szansę na bycie razem, na miłość, na spokojny dom. Że w końcu ja, ktoś, kogo bestia nienawidzi jeszcze bardziej niż Wiktora, mogę cieszyć się twoim szczęściem. A do tego Kuchta nie dopuści. Zostań tam, gdzie jesteś, Gabriela, dopóki...

– Dopóki...? Tato, na jak długie wygnanie mnie skazujesz?! Ile jeszcze ten bandzior będzie bezkarnie nam zagrażał?! Wrócę do kraju i to ja złożę na niego doniesienie do prokuratury! A mam co opowiadać! Pewnie włos mu z głowy nie spadnie, bo swój swojemu oka nie wykole, ale przynajmniej nie będzie już tak bezkarny. To nie te czasy, że można było porywać dziewczynę z ulicy i grozić jej

gwałtem, jeśli spróbuje odebrać kochającemu ojczymowi ukochanego pasierba. Nie boję się, rozumiesz?!

Prawie siedem tysięcy kilometrów dalej pan Antoni opadł na poduszkę i zacisnął powieki. Zrozumiał, że swoim telefonem, zamiast zatrzymać Gabrysię po drugiej stronie Atlantyku, sprowokował ją jedynie do powrotu. A na to pozwolić nie mógł...

W tej właśnie chwili podjął decyzję.

– Dobrze, córeńko. Wracaj w takim razie. Wracaj do domu. Pamiętaj, że cokolwiek by się wydarzyło, bardzo cię kocham. Jesteś całym moim życiem.

– Wiem, tatuniu – wyszeptała Gabrysia przez łzy. – Ja też cię kocham.

W tym momencie ona również podjęła decyzję. Jeszcze musi poczekać, aż otworzą lotniska, zdobyć bilet na samolot, co nie będzie proste, i wróci do domu. Bo właśnie tam, przy tych, których kocha, było jej miejsce, a nie na trzydziestym trzecim piętrze nowojorskiego wieżowca.

Ktoś miał zapłacić za te dwa postanowienia, podjęte na dwóch kontynentach, wysoką cenę. Najwyższą.

\*

Patryka obudziło łomotanie do drzwi. Poderwał głowę, rozejrzał się półprzytomnie i odetchnął. Znajdował się w gościnnej sypialni apartamentu na Królewskim Przedmieściu. Był w domu, nie w żoliborskim areszcie. Wstał pospiesznie, znów słysząc walenie do drzwi. I głos brata bliźniaka:

– Otworzy mi ktoś wreszcie?! Klucze gdzie podziałem, a nie chce mi się schodzić na parter! Wiem, że tam jesteście!

I oto chwilę później w drzwiach stał uśmiechnięty Marcin.

Uścisnęli się krótko, po męsku.

Gość, czy raczej domownik, bo chociaż mieszkanie teoretycznie należało do Wiktora, wszyscy trzej traktowali je jak swój dom, wszedł do środka i z ulgą padł na kanapę w salonie.

– Zaparz mi, bracie, dobrą kawę. I przynieś coś, co da się zjeść. Te hot dogi na przydrożnych stacjach paliw mam w okolicach gardła i chyba chcą wrócić tam, gdzie je kupowałem.

Patryk zaśmiał się i przeszedł do aneksu kuchennego. Salon wypełnił aromat świeżo palonej kawy. Postawił na blacie dwa kubki.

– Wystarczą kanapki czy zrobić jajecznicę albo omlet?

– Zrób jajecznicę, dobry człowieku. Z tostem. A jakbyś usmażył do tego parę plasterków bekonu...

Do aromatu kawy dołączył zapach smażonego bekonu.

Przy stole usiedli razem.

– Wyglądasz jak ostatnie nieszczęście – zauważył Marcin. – A przecież to ja

zapitalałem tutaj całą noc jakimś rupieciem, bo wypożyczalnie z prawdziwego zdarzenia były zamknięte. Krzyża nie czuję... To znaczy czuję jak nigdy dotąd. Kto cię tak wymęczył? Jakaś zacna niewiasta? Gdzie Wiktor?

– Nie wiem. Gdy wczoraj spijał mnie whiskey, jeszcze tutaj był. Później urwał mi się film. I nasz brat. On też się widocznie urwał. Może jest na siłowni albo biega.

Wiktor stawiał sobie za punkt honoru utrzymać kondycję fizyczną dwudziestolatka. I niejednego mógłby zawstydzić. Właśnie otwierał drzwi i sprężystym krokiem, niespecjalnie zgrzany po kilkukilometrowym joggingu nadwiślańską promenadą, wchodził do mieszkania.

Najpierw poczuł zapach kawy, jajecznicy i bekonu. I wilczy głód. Później ujrzał obu młodszych braci, pałaszujących śniadanie, i uśmiechnął się.

– Zostawcie coś dla mnie. Pójdę tylko wziąć szybki prysznic. Dobrze, że jesteś z powrotem, Marcin. Witaj w domu.

Zniknął za drzwiami łazienki.

– Co on ma na głowie? – Marcin zniżonym głosem zwrócił się do Patryka.

Ten skrzywił się lekko.

– Wpadł na lustro. Doktor Braniewski musiał założyć mu kilka szwów.

– Był pijany?

– Kto? Braniewski?

– Wiktor! Patryk, twój mózg jeszcze się nie ocknął czy nagle zgłupiałeś?

– Wiktor był trzeźwy, ja byłem trzeźwy, wszyscy byliśmy trzeźwi. Możemy zmienić temat?

– Nie możemy. – Marcin pokręcił głową. – Dopóki nie opowiesz mi wszystkiego, jak na spowiedzi, co się działo od naszego rozstania do mojego powrotu, nie możemy.

– Czego nie możecie? – Wiktor wyszedł z łazienki, przykładając ręcznik do wilgotnych włosów tak ostrożnie, by nie zsunął się bandaż.

– Właśnie tego – Marcin wskazał widelcem jego głowę. – Nie rozumiem, jakim cudem mogłeś łbem zbić lustro. A Patryk, nagle taki tajemniczy, nie chce mi tego wyjaśnić.

– Dokończ śniadanie. To długa historia – mruknął starszy brat.

– Oho, coś mi się wydaje, że ty też nie zdradzisz mi co ciekawszych szczegółów. Pobiliście się o jakąś lalę czy co?

Patryk wbił ostre spojrzenie w Wiktora, ten obojętnie odwrócił wzrok i sięgnął po gorący tost.

– Jedz, Marcin, bo wystygnie – zwrócił się do młodszego brata, a ten zrozumiał, że to nie czas i pora na zadawanie pytań. Przynajmniej pytań o rozciętą głowę Wiktora.

– Dokończę śniadanie i spadam do siebie przespać się parę godzin. Moje

rzeczy są w hotelu czy...

– Jezu, przerabiamy to od tylu lat, a ten jeszcze pyta – mruknął Wiktor. – Jeżeli opuszczamy hotel, to wszyscy trzej. I owszem, poleciłem przenieść twój bagaż na Starówkę.

– Dzięki. Pakowanie by mnie przerosło. Ulice w Szwablandii są jak wymarłe. Nie powiem, jechałoby się całkiem przyjemnie pustymi autostradami, gdyby nie upierdliwe kontrole co parę kilometrów i rozwalający się peugeot, w którym co chwila robiło się albo gorąco jak w piekle, albo zimno jak... no nie wiem, na Syberii? Żabojady nie potrafią zrobić auta z porządną klimatyzacją?

– Mogłeś wynająć volvo albo lexusa.

– Zapomnij. Mówiłem Patrykowi: robią łapankę na bandziorów i pozamykali wszystkie wypożyczalnie. Mogliby jednak zważyć, że nie wszyscy obywatele podkładają bomby...

Miło się słuchało paplaniny Marcina. Dobrze było widzieć obu braci całych i zdrowych. Szczególnie że ten pierwszy był w samym centrum wydarzeń. Niemal otarł się śmierć.

– Dzięki za śniadanie, Patryś – Marcin klepnął brata w ramię. – Rewanżuję się w naturze. Jutro ja zapraszam. Aha, nim odpadnę: mamy jakieś plany na dziś? Będę wam potrzebny?

Wiktor pokręcił głową.

– To fajnie. Zdrzemnę się, a po południu ponownie nawiążę stosunki z Majką.

W tym momencie jego starszy brat zeszywniał. I powoli przeniósł nań spojrzenie.

– Z jaką Majką? – wycedził.

Patryk parsknął śmiechem.

Marcin uniósł brwi i odparł:

– Wszyscy trzej znamy tylko jedną Majkę. Kumpelkę twojej Gabrieli. Ach, nie zdążyłem wam powiedzieć, ale to ją poznałem w klubie tego wieczoru, kiedy twoja Julia, Patryś, uciekała przez balkon. Kurde, nie wiedziałem, gdzie szukać tej laski, bo wybiegłem jak głupi z klubu, gdy tylko zadzwoniła. Nawet o imię jej nie zapytałem i oto ona, jak gdyby nigdy nic, dzwoni do mnie...

– Ona zadzwoniła do ciebie? – Gdyby Marcin był mniej zmęczony, a może mniej zadowolony z siebie, zauważyłby wreszcie narastającą furię w głosie i oczach starszego brata. A może widział je i nic sobie z tego nie robił? Sympatie i antypatie Wiktora niewiele go obchodziły. Majka mogła mu czymś podpaść od czasu, gdy kupował razem z nią mieszkanie dla Gabrieli. No i co z tego? On, Marcin, zamierza się z nią po południu spotkać, zabrać ją na kolację, potem do dobrego klubu...

To właśnie powiedział na głos. W takiej kolejności.

– Nie spotkasz się z Majką Trojanowską – uciął Wiktor, ciskając widelec na talerz. – Ani dzisiaj, ani jutro, ani w tym wcieleniu. Może w następnym.

– Serio? – Marcin przechylił głowę i uśmiechnął się kpiąco. – Nałożysz na mnie areszt domowy?

– Nie. Po prostu ci zabraniam.

– Aha. A nie zapomniałeś czasem, bracie, ile mam lat? Twoje „zabraniam” robiło na mnie wrażenie jeszcze w okolicach osiemnastki, ale od tego czasu...

Wiktor wbił wzrok w talerz i milczał.

Patryk nagle zaczął bać się tego milczenia bardziej niż wybuchu. On miał świeżo w pamięci zimne słowa: „Jeżeli będziesz próbował się z nią spotkać, sprawię, że zniknie na zawsze. Znajdę na nią hak i elegancko na nim Majeczkę powieszę”. Nie chciał, by przez Marcina Wiktor dotrzymał tej obietnicy...

– Daj spokój, Marcin – odezwał się. – Pogadamy wieczorem. Wszystko ci wytłumaczę. Majka... powiedzmy, że popadła w niełaskę. Ale mi z Julią pozwolił się spotkać? – zwrócił się do Wiktora.

Ten ponownie uniósł wzrok, wbił mordercze spojrzenie w Patryka i syknął:

– A co? Ją też chcesz zerznąć na ostro?

Patryk w jednej chwili doskoczył do brata. Chwytał go za przód koszuli, poderwał do pionu i rąbnął pięścią w twarz. Wiktor zachwiał się tylko. Zaciśnął palce na nadgarstku Patryka i z całych sił odepchnął go pod ścianę.

– Co z wami, ludzie, ocipieliliście?! – krzyknął Marcin, który właśnie ocknął się ze stuporu.

Skoczył między braci i przytrzymał Patryka.

– Od kiedy to skaczymy sobie nawzajem do gardła?! Co mnie, kurwa, ominęło?! Czyżby wam obu odbiło na punkcie ślicznej Majeczki?! Rozumiałbym, gdyby... Nie, zaraz... Jednak nie rozumiem. I co to miało znaczyć, Wiktor: „Ją też chcesz zerznąć”? To było do mnie, czy do Patryka? Czy któryś z was zacznie mówić?!

Wiktor opadł na krzesło.

Patryk oparł się o ścianę, krzyżując ręce na piersi.

Żaden z nich nie spieszył się z wyjaśnieniami.

– Cóż... bez łaski. – Marcin wrócił do stołu. Wziął ostatni kawałek bekonu i włożył do ust. – Dzięki za śniadanie. A do Majki, bracie, i tak pójdę, czy ci się to podoba czy nie. I tak zaproszę ją na kolację. Bo cholernie na to zasłużyła. Widzę, że ktoś jest tu na nią śmiertelnie obrażony, ale gównie mnie to obchodzi. Ja muszę osobiście jej podziękować w waszym zasranym imieniu, i zapewnić, że oddamy pieniądze. Bo masz zamiar zwrócić jej te pół miliona? Czy również nie?

Wiktor na chwilę stracił oddech. W jego czarnych, wściekłych do tej pory oczach odmalowało się niebotyczne zdumienie.

– Jakie pół miliona? – wydusił.



– Na kaucję za ciebie. – Marcin wzruszył ramionami, idąc w stronę drzwi. – Kto niby skombinował tę forszę, skoro ja byłem udupiony w Zurychu? Doktor Braniewski?

– Poczekaj – zatrzymał go głos Wiktora. – Majka wpłaciła za mnie kaucję?

– Właśnie ona. Zadzwoiła do mnie, że jesteś w szpitalu i lepiej, żebyś do pierdła nie wracał. Dodała, że prokurator wyznaczył pięćset tysięcy kaucji, cud, że nie dwa miliony... Nie mogłem wziąć tej forsy z banku, w Polsce bujalibyśmy się z tym do piątku, więc obiecała, że sama ją skombinuje. I, jak widać, udało się dziewczynie, skoro ot tak jesz śniadanko we własnym domu, a nie wpieprzasz czarny chleb w żoliborskim areszcie, pilnując tyłów. Nie wiem, Wiktor, co w międzyczasie zaszło między tobą a Majką, i mam to w dupie. Ja chcę jej zwyczajnie, po ludzku podziękować.

– Kiedy... kiedy do ciebie zadzwoniła?

– Wczoraj. Koło drugiej. A to coś zmienia?

To zmieniało wszystko! Majka usłyszała od Wiktora to, co usłyszała, a jednak wyciągnęła go z więzienia. W zamian dostała „podziękowania”, skreślone jego ręką. I wysadzaną brylantami bransoletkę prosto w twarz.

– Idź do niej – zaczął nieswoim głosem – i przeproś ją w moim imieniu. Podziękuj jej i przeproś. Jeszcze dziś dostanie całą kwotę, co do grosza. I powiedz jej... – Urwał, potarł twarz. Co powiedzieć kobiecie, którą zmieszało się z błotem, a ona i tak wykazała się wielkodusznością? – Powiedz, że chciałbym... chcielibyśmy... zaprosić ją razem z Julią na kolację. Gdzie zechcą i kiedy zechcą. Patryk... – zwrócił się do drugiego z braci. – Ciebie też przepraszam. Chyba zatraciłem gdzieś poczucie przyzwoitości. Pójdę popracować. – Wstał powoli od stołu, jakby nagle przybyło mu lat, przechodząc obok Patryka uściśnął mu ramię, wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

W salonie panowała przez chwilę cisza.

– O w mordę – przerwał ją Marcin – chyba masz mi sporo do opowiedzenia...

– Nie za wiele – odparł Patryk, patrząc na zamknięte drzwi. – Skoczyli sobie z Majką do oczu. Potem Wiktor... a może ja... Mniejsza z tym. Majka jest w porządku. To fajna dziewczyna. Pozdrów ją ode mnie – niemal zakrztusił się własnymi słowami. – Ja, mając błogosławieństwo naszego cholernego brata, któremu z tęsknoty za Gabrielą zaczyna naprawdę odbijać, wstąpię do siebie, przebiorę się i odwiedzę Julię. Alleluja! Wiktor pozwolił nam spotkać się z przyjaciółmi!

Ten, słysząc każde ze słów młodszego brata, zacisnął powieki.

Patryk miał rację.

Tęsknił za Gabrielą. Bardzo.

## ROZDZIAŁ XII



Wiktor poczekał, aż obaj bracia opuszczą mieszkanie. Odwinął bandaż i przyjrzał się ranie na skroni. Po ciosie Patryka puściły dwa szwy i zaczęła krwawić. Mężczyzna zaklął przez zęby i potarł obolałą szczękę. Umiał unikać ciosu, ale tym razem jedynie się uchylił, tak by Patryk czuł, że uderza, i miał z tego satysfakcję, ale nie aż taką, że wybił starszemu bratu zęby.

„I co? Będę tak stał i ocierał krew z policzka?”, zapytał sam siebie w duchu, patrząc z odrazą w lustro. Nie była to odraza do owej krwi, a do swojego odbicia. „Ależ z ciebie skurwiel się zrobił, Wiktorze Prado... Jedź do szpitala, żeby ponownie założyli ci te szwy, a potem... wiesz, dokąd masz się udać w następnej kolejności”.

Nieporadnie – Patryk był w tym zdecydowanie lepszy – zaczął z powrotem owijać głowę bandażem, podniósł ze stołu komórkę, by wezwać taksówkę, i w tym momencie telefon rozdzwonił mu się w rękę.

Pan Antoni nie tracił czasu na wylewne powitania. Zaczął bez wstępów:

– Wiktor, synku, przed chwilą dzwoniła do mnie Gabrysia. Udało się jej kupić bilet powrotny na środę. Spróbuj przemówić jej do rozsądku! Niech tutaj na razie nie wraca! Tam, daleko, jest bezpieczniejsza...

– Jeżeli pana nie posłuchała, skąd pomysł, że posłucha mnie?

– Przynajmniej spróbuj! Albo jeszcze lepiej: poleć do niej i zatrzymaj ją w Nowym Jorku.

To była dobra myśl. O ile Wiktorowi uda się zdobyć bilet do Stanów. Z powodu zamachów wstrzymano na dwie doby wszystkie loty, bilety anulowano, ludzie stawali teraz na głowie, by zdobyć miejsce w samolocie, bez względu na cenę.

– Tak zrobię, panie Antoni. Polecę do Gabrysi i zatrzymam ją choćby siłą. Porwę, wywiozę do Las Vegas, gdzie weźmiemy ślub, i nie będzie już myślała o powrocie. Przynajmniej nie tak szybko...

– Dobrze, że humor ci dopisuje, synku – odrzekł starszy człowiek z nutą sarkazmu.

– Powiedziałem to zupełnie serio.

– No tak, ty nieczęsto żartujesz. Leć więc do niej, zaciągaj Gabrysię przed ołtarz – w tym Las Vegas mają jakiś ołtarz? Macie moje błogosławieństwo. Byłe tutaj nie wracała.

Ledwie Wiktor zdążył się pożegnać z Leszeńskim i zakończyć połączenie, telefon zadzwonił po raz drugi.

– Wracam do domu! – Gabriela niemal wyśpiewała te słowa. – I to nie do kawalerki na Bielanych, a jeśli wierzyć Majce, że Leśna Polana jest moja, wracam do własnego, wymarzonego domku!

– Chyba oszalałaś – odrzekł powoli Wiktor. – Już mniejsza z tym, że ten dom nie nadaje się do zamieszkania, prędzej do wyburzenia, ale stoi w środku lasu, niestrzeżony, nawet nieogrodzony. A na ciebie, właśnie na ciebie, poluje bestia. I chcesz się przed nią ukryć w stojącej na odludziu chałupie? Gabriela... – umilkł, bo zabrakło mu słów.

– Jakbym słyszała mojego ojca! – sarknęła ona. – Nie mam zamiaru się przed nikim ukrywać! Nie będę do końca życia uciekać przed zwyrodniałym staruchem! Nie boję się go, rozumiesz?

– Ale ja boję się o ciebie!

– To mnie chroń! Jeżeli nie potrafisz ustrzec swojej narzeczonej przed jednym podłym bandziorem, co z ciebie za mężczyzna?!

Wiktor aż zacisnął szczęki, by nie odpowiedzieć od razu. Takiej obelgi po Gabrieli się nie spodziewał...

– Dobrze – odrzekł, gdy odzyskał głos. – Wracaj. Obronię cię przed Kuchtą.

– I to, mój kochany, chciałam usłyszeć. – W głosie Gabrieli znów zabrzmiała radość. – Przyjedziesz po mnie na lotnisko w środę o czternastej trzydzieści?

– Przyjadę.

„A do tego czasu muszę coś wymyślić, byś jednak tu nie przyleciała, albo rzeczywiście już nikt ci nie zagrażał...”

Aż zimno mu się zrobiło na myśl, w jaki sposób łatwo mógłby to załatwić. Pieniądze były, wystarczyło znaleźć odpowiedniego człowieka... Nie. Jeżeli miałby się posunąć do morderstwa, by uwolnić wreszcie świat i tych, których kocha, od bestii zwanej Kuchtą, musi to najpierw dobrze przemyśleć, a później powiedzieć o tym braciom. We trzech podejmą decyzję, która zaważy na reszcie ich życia.

„Chyba oszalałaś!”, to była następna myśl. „Nie będziesz wciągał w morderstwo Patryka i Marcina! Albo zrobisz to sam, albo wymyśl coś lepszego. I to szybko. Masz dwa dni”.

– Nie posłuchała mnie – odezwał się na głos, gdy tylko pan Antoni odebrał połączenie. – Powiedziała, że się nie boi.

– Gabriela go nie zna. Nie wie, że ten bandyta jest zdolny do wszystkiego. Nie liczy się z nikim i niczym. Szczególnie teraz, gdy stoi nad grobem i nie ma już nic do stracenia, zrobił się jeszcze bardziej niebezpieczny... – Głos Leszeńskiego był cichy i pełen bólu. – Przy życiu trzyma go jedynie żądza zemsty. A jak najcelniej ugodzi w nas obu, jeśli nie śmiercią Gabrysi?

– Nie dopuszczę do tego – odparł Wiktor bez wahania. Nawet jeśli miałby osobiście zabić ojczyzna, nie dopuści, by Gabrieli stała się krzywdą.

Właśnie to w jego milczeniu musiał odczytać Leszeński, bo rzekł:

– Wiktor, synku, każdą decyzję, jaką podejmiesz, przemyśl po stokroć. Kuchta nie jest głupi, przygotował się na wszystko, jestem tego pewien. Nie powstrzymam cię, tak jak nie potrafiłem powstrzymać mojej córki, oboje jesteście uparci, ale... po prostu cię proszę: nie podejmuj pochopnych działań. Gdybyś dostał dożywocie, złamałoby to Gabrieli serce, a tobie życie.

„Nie można go spieprzyć bardziej, niż już to się stało”, odparł w duchu.

– Będę rozważny, panie Antoni. Obiecuję.

Leszeński spojrział smutno na gasnący wyświetlacz komórki i szepnął:

– Nie będziesz, synku, oj nie będziesz, bo tutaj rozważa nic już nie pomoże.

Wsunął telefon do kieszeni szpitalnego szlafroka i zapukał do drzwi lekarskiej dyżurki. Gdy tylko doktor zaprosił go do środka, rzekł spokojnie, ale stanowczo:

– Proszę mnie wypisać. Na własne żądanie. Chcę wrócić do domu.

\*

Majka siedziała na balkonie hotelowego apartamentu i w zamyśleniu patrzyła przed siebie. Piękny stąd miała widok: zieleń Łazienek Królewskich kołała oczy, dobiegający z dołu śmiech dzieci, które dokazywały na placu zabaw, był tak uroczy, beztrudny... Mimo smutku, który miała w sercu, musiała się uśmiechnąć.

Dlaczego właściwie była smutna?

Kwadrans temu zadzwonił Marcin Prado i głosem nieznoszącym sprzeciwu, właściwie nie dając jej szansy na jakikolwiek sprzeciw, oznajmił, że będzie u niej o siedemnastej, zabierze ją na późny obiad lub wczesną kolację, a potem pójdą na prawdziwą randkę, w zamian za tę, którą im przerwał skok Julii z balkonu.

Nie zdążyła mu powiedzieć, że nie jest już mile widziana w gronie braci Prado – o czym chyba jeszcze nie wiedział, bo powtórzył:

– O piątej, syrenko. Gdybyś miała tę samą sukienkę, co wtedy, byłoby super!

Na wspomnienie sukienki, którą wyrzuciła po tamtej strasznej nocy i jeszcze gorszym przebudzeniu u boku obleśnego senatora, Majka na chwilę straciła oddech. Nie zdążyła więc rzec nawet słowa – czy zgadza się, czy nie – bo Marcin przesłał jej buziaka i się rozłączył.

Teraz siedziała na tarasie i zastanawiała się, czy Wiktorek zabroni bratu pójść na tę randkę... Nie – tego, że zabroni, była pewna. Pytanie powinno brzmieć: Marcin posłucha czy nie? I dlaczego ona, Majka, tak się tym przejmuje, do cholery?!

Wstała, mało nie przewracając rattanowego fotela, przeszła przez salonik i już miała wejść do łazienki, by przyjrzeć się sobie krytycznym okiem, gdy zadzwonił hotelowy interkom.

– Przepraszam, że niepokoję, ale pan Prado do pani. Podobno byli państwo

umówieni. Mam go wpuścić na górę czy pani zejdzie?

„Marcinowi godziny się popitoliły?”, przemknęło Majce przez myśl. Do piątej brakowało połowy dnia!

– Proszę wpuścić – odparła.

Odłożyła słuchawkę i westchnęła z rezygnacją. Przez trzy minuty na bóstwo się nie zrobi. Poprawiła włosy jednym ruchem ręki, na jedwabną koszulkę, w której od rana snuła się po pokoju, narzuciła biały szlafrok, zawiązała pasek w talii i już rozlegało się pukanie do drzwi.

„Ha, więc jednak Marcin urwał się starszemu bratu ze smyczy!”, pomyślała z satysfakcją, otworzyła drzwi z radosnym uśmiechem i... aż się cofnęła. Uśmiech znikł.

– Mogę wejść? – zapytał Wiktor, bo to on stał na progu.

– Gdybym wiedziała, że to ty... – wydusiła, cofając się w głąb pokoju.

– Nie wpuściłabyś mnie. Wiem.

Wszedł do środka. Drzwi zatrzasnęły się. Majka poczuła, że brakuje jej tchu.

Nie bała się, że ten facet zrobi jej fizyczną krzywdę. On nie byłby – chyba! – do tego zdolny, a ona potrafiła się bronić. Wiktor Prado potrafił jednak ranić w inny sposób. Nie mniej boleśnie i okrutnie.

– Chciałem cię przeprosić – odezwał się cicho, pozostając w holu.

– Przeprosiłeś przecież! Bukietem róż i złotą bransoletką! Przyjęłam przeprosiny!

„No nie do końca...”, przyznała w duchu. Sposób, w jaki to zrobiła, pewnie go wkurzył...

– Majka... mnie trudno przyznać się do błędu... Słowo „przepraszam” przychodzi mi jeszcze trudniej, bo nikt, kto mnie krzywdził, nigdy za to nie przeproszał – mówił cicho i powoli, a Majka... poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Ona też coś o tym wiedziała. Jej też ci, co ją ranili, nigdy nie raczyli przeprosić. Nawet nie czuli się winni. Ani faceci, zaliczający ją po pijanemu, ani ojciec z matką, którzy pozbyli się jej przy pierwszej sposobności.

– Po tym, co ci powiedziałem, jak ci naubliżałem... – Wiktor zmuszał się do dalszych słów, mimo że gardło zaciskało mu się boleśnie, a i łzy w oczach dziewczyny niczego nie ułatwiały – ...ty zdobyłaś się na coś wspaniałego. Na gest wielkoduszności... która może wypływać jedynie z dobrego serca. To... bardzo mnie poruszyło. Poczuję się jak ostatni skurwiel, bo skrzywdziłem prawdziwie dobrego człowieka. Ciebie, Majka. Każdemu z nas czasami odbija, wszyscy ranimy czasem nie tylko obcych, ale i tych, których kochamy. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, więc po prostu proszę: wybacz mi.

Kiwnęła tylko głową, bo nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

Gdyby to był kto inny, po prostu machnęłaby ręką, rzuciła: „Co było, to było”, podbiegłaby, cmoknęła w policzek i sprawa byłaby załatwiona. Ale od

Wiktor dzielił ją cały pokój. I niewidzialna bariera, z której on pewnie nie zdawał sobie sprawy. Nie był facetem, którego przeprosiny zbywa się zdawkowym „nie ma sprawy”.

Wypadało jednak wyciągnąć go z przedpokoju. Zaproponować herbatę, kawę czy co tam w barku było.

– Wejdiesz? – zrobiła zapraszający ruch dłonią. W tym momencie kusy szlafroczek rozsunął się i ukazał jedwabną koszulkę.

Wiktor odwrócił wzrok. Majka splonęła rumieńcem i owinęła się szlafrokiem szczelnie niczym dziewica. Miała jak na dłoni jego myśli: „Uwiodłaś jednego z moich braci, teraz ostrzysz pazury na drugiego...”.

– Przepraszam, nie spodziewałam się gości – odezwała się obronnym tonem. Głos jej drżał z upokorzenia.

– To ja przepraszam za najście. – Wiktor jakby nagle podjął decyzję. Ruszył ku niej, aż szeroko otworzyła oczy z narastającego przerażenia, ale on zatrzymał się o krok od dziewczyny, uniósł jej zimną, bezwładną dłoń do ust i powtórzył: – Jeszcze raz przepraszam cię za wszystko. Wiem, że jesteś umówiona na dzisiejszy wieczór z Marcinem i... chciałbym cię tylko prosić... nie skrzywdź go. Nie zrańcie siebie nawzajem. Oboje jesteście samotni, mimo że każdej nocy ktoś wam grzeje łóżko. Być może los się wreszcie do nas wszystkich uśmiechnął i nie tylko ja odnalazłem moją miłość, ale i wy oboje się odnaleźliście. Ciebie, jako tę wrażliwszą i mądrzejszą, proszę: nie pozwól, by mój postrzelony brat to zniszczył i sama nie stracić tej szansy.

– A Patryk? – odezwała się nagle.

Wiktor, dotąd łagodny, niemal czuły, zeszywniał. Cofnął się lekko, puścił jej dłoń i zupełnie innym tonem niż przed chwilą zapytał:

– Co ma do tego Patryk?

„Oprócz tego, że odbył wczoraj ze mną stosunek płciowy, właściwie nic”, odrzekła w duchu.

– Jeżeli... hmm... spowodował, że zaszłam w ciążę, również nie będzie miał nic do tego? – zapytała z takim samym chłodem, jaki brzmiał w głosie Wiktor.

– Ty już byłaś w ciąży.

– Masz na to dowody? – Przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się zmrużonymi oczami. – Bo przygodnego testu ciążowego, znalezionego w czyjejś kieszeni, chyba do nich nie zaliczasz.

– Majka... nie rób nam tego... proszę cię – wycedził przez zaciśnięte zęby, z trudem panując nad wściekłością, rozczarowaniem i żalem. W tej właśnie kolejności.

– Słuchaj, jestem z tobą zupełnie szczerą: jeśli okaże się, że za sprawą twojego brata zaszłam w ciążę, nie usunę tego dziecka. Niepotrzebne mi wasze wspaniałe nazwisko, niech sobie będzie bękcarkiem, nie będę się domagała od

żadnego z was alimentów, mam pieniądze i na siebie, i na dziecko, ale ono się urodzi, czy sobie tego życzysz, Wiktor, czy też nie. Jasne?

– Nie śmiałybym cię namawiać do aborcji...

– To o co ci chodzi?! Co miało znaczyć owo „nie rób nam tego”?! TO być może już się zrobiło!

Chwytał ją za ramiona tak silnie, że aż zabolęło, i wycodził:

– Marcin nie może się dowiedzieć, co ci zrobił Patryk. Nigdy! Bez względu na to, czy zostaniecie z Marcinem parą, czy nie, on nie może się o tym dowiedzieć! Jeżeli urodzisz to dziecko... Marcin musi być przekonany, że jest jego. Przyrzeknij mi to.

– Chyba oszalałeś! – Wyrwała się. Odepchnęła go. – Czy ty siebie słyszysz?! Czy pamiętasz, co mi mówiłeś wczoraj?! Nie dalej jak dwadzieścia cztery godziny temu byłam dla ciebie szmatą bez honoru, która uwiodła twojego niewinnego braciszka, żeby go zrobić w ojcostwo, a teraz ty sam wrabiasz w ojcostwo drugiego brata?!

Usiadła na kanapie i przez chwilę patrzyła nań wielkimi oczami. A potem... roześmiała się. Zatkęła usta ręką i nie spuszczając z Wiktora wzroku, próbowała powstrzymać histeryczny chichot.

– Okej – on odezwał się nagle. – Dzisiaj spotkasz się z Marcinem, zaczniecie od kolacji, skończycie w łóżku. Może będzie to przygoda na jedną noc, może coś poważniejszego. Jeśli to drugie, jeżeli Marcin się w tobie zakocha, za miesiąc czy dwa powiesz mu: „Słuchaj, jestem w ciąży”. On zwariuje ze szczęścia, bo o niczym tak nie marzy jak o żonie, dzieciach i powrotach do domu, do rodziny. Ale zanim porwie cię w ramiona i obsypie pocałunkami, a potem pewnie kwiatami, dodasz: „Zaraz, zaraz, nie tak prędko. To może być twoje dziecko, ale równie dobrze dziecko twojego brata, Patryka, który zerznął mnie dzień przed tym, jak się poznaliśmy. Rzucę monetą i wybiorę któregoś z was na tatusia”. Tak to chcesz załatwić, Majeczko? Za jednym zamachem złamiesz Marcina i Patryka? Na dodatek poszczujesz brata przeciw bratu? Jeżeli jesteś do tego zdolna... rób, co chcesz. Ja między wami trojgiem więcej stawać nie będę. Jesteście dorośli.

– To co mam robić?! Łgać Marcinowi, że to on jest ojcem?! Przecież go jeszcze wtedy nawet nie znałam! Patryka także nie! Żaden z nich... – Za późno ugryzła się w język.

Wiktor uśmiechnął się lekko.

– Tak, Majka. Żaden z nich nie może być ojcem tego dziecka. – Wskazał na jej płaski brzuch. – Wiesz chociaż, kiedy to się stało? Potrafisz odnaleźć właściwego sprawcę?

Pokręciła głową, ocierając gniewnym gestem łzy cisnące się do oczu. Obłeśny senator zaliczył ją kilka dni temu, przed nim w ciągu ostatniego miesiąca miała... paru. Może parunastu. Nie pamiętała nawet ich imion...

– Dlaczego to sobie robisz? – Usłyszała ciche pytanie Wiktora i poczuła jego dłoń na ramionach. Tym razem uścisk był delikatny. Głos współczujący.

– Nigdy tego nie zrozumiesz – odparła z goryczą. – Nawet nie będziesz się starał. Masz mnie za puszczałką szmatę... Widzisz, nawet nie zaprzeczasz, choćby przez grzeczność.

– Stwierdzasz fakty, Majka. Moje zdanie nie ma tu nic do rzeczy – jego głos zabrzmiał nieco ostrzej. Nadal były w nim resztki współczucia, ale jeszcze coś poza tym... – Jesteś puszczałką i ty sama uważasz się za szmatę. Pytanie brzmi: kto cię do tego przymusił. Byłaś molestowana w dzieciństwie? Przez ojca?

– Chciałabym – wyszeptała tak cicho, że w pierwszej chwili nie zrozumiał. W następnej...

– Co ty wygadujesz, dziewczyno?!

– Chciałabym, żeby choć w ten sposób okazywał mi zainteresowanie. On albo matka – szeptała nadal, patrząc na trzymającego ją za ramiona mężczyznę wielkimi, pełnymi bólu oczami. – Porzucili mnie jak... jak rzecz. Pozbyli się mnie jak wstydliwego sekretu. Gdyby jeszcze oddali do domu dziecka jak Julię... mogłabym ich jedynie nienawidzić. Ale oni zapewnili mi niańki i dom pełen zabawek, miałam forsy jak lodu. Jednym podpisem pod poleceniem przelewu pozbyli się kłopotu i poczucia winy, bo przecież Majuni nigdy niczego nie brakowało. Owszem! Brakowało! Chociażby tego, skurwiele, że nigdy nie nazwaliście mnie swoją córką!

Poderwała się, podeszła do okna.

– Wiesz, dlaczego jestem, jaka jestem?

Nie oczekiwała odpowiedzi. Pragnęła tylko, żeby ktoś jej wysłuchał i nie osądzał.

– Bo od kiedy pamiętam, prowokowałam los... chciałam, żeby coś mi się stało, żeby któryś z tych tam zrobił mi coś strasznego. Pobił, zmasakrował, zaraził AIDS. Wylądowałabym w szpitalu i może wtedy ojciec by przyjechał, przypomniał sobie, że jestem jego dzieckiem, poczuł, co stracił przez te lata, przeprosił, a ja mogłabym mu wybaczyć... Może... może ta wpadka też po to jest? Jeśli nie potrafił pokochać mnie, może pokocha to małe?

Zaczęła cicho płakać. Wiktor objął ją i przytulił z całych sił. Ukrył twarz w jej włosach i próbował opanować własne łzy. Tyle cierpienia... I za co? Co ci, Boże, zrobiła mała dziewczynka odtrącona przez rodziców? Co ci zrobili trzej chłopcy katowani przez ojczyzną? Za co karzesz niewinne dzieci? I kiedy w końcu ukarzesz tych, którzy nas krzywdzili?!

– Pan Antoni to wiedział – wyszeptała przez łzy. – Nigdy mu nie powiedziałam, jak było naprawdę, ale on wyczuwał. I dlatego mówi do mnie „moja najstarsza córeczka”, a ja go za to tak kocham...

– On też ciebie kocha. I nie tylko on – odezwał się Wiktor, gładząc ją po



plecach. – Wszystko się jakoś ułoży. W odpowiedniej chwili opowiesz swoją historię Marcinowi. Opowiesz o dziecku. O swojej przeszłości. Nie proszę, byś to przed nim ukrywała. Tylko... oszczędź w tym wszystkim Patryka. Dobrze?

Kiwnęła głową.

– Boże, byłam tak bliska kompletnego zeszmacenia się – dodała cicho. – Ja rzeczywiście go sprowokowałam. Patryka. I w tym jednym celu: by to małe, które przecież nie będzie winne, że ma taką matkę i takich dziadków, żeby chociaż miało fajnego tatę. Bo widzisz, Wiktor – podniosła na niego oczy błyszczące od łez – moja matka zawsze była głupia i słaba. Gdy ojciec kazał jej zostawić dziecko, to zostawiła, kazał o mnie zapomnieć, to zapomniała. Gdy dzwonię, a on każe jej skończyć rozmowę, to kończy. Matce tę słabość mogę wybaczyć, to po prostu głupia, bezwolna kobieta. Ale jemu nie potrafię. I szukam... szukam takich jak on... żeby się zemścić. Ale on nawet o tym nie wie, a siebie krzywdzę jeszcze bardziej.

– I to było do udowodnienia – zakończył, ścierając wierzchem dłoni łzy z jej policzków. – Jesteś pewna, że mimo wszystko, mimo tego, co mi powiedziałaś, chcesz je urodzić? Pokochasz je? A jeżeli nie? Co wtedy? Oddasz do adopcji?

– Nie za wcześnie, by o tym dywagować? – w jej głosie zabrzmiał gniew.

– Nie, Majka. Pytam w samą porę, bo za kilka godzin spotkasz się z Marcinem. A wtedy na wszystko może być już za późno. Przemyśl to. Jeszcze nic się nie wydarzyło...

– Wszystko się wydarzyło!

– Jeszcze nikogo nie skrzywdziłaś oprócz siebie i tego maleństwa. Ale od tej pory to, co zrobisz i co powiesz, może komuś złamać życie. Przemyśl to. Decyzję pozostawiam w twoich rękach. – Uniósł jej dłonie do ust i ucałował. Najpierw jedną, potem drugą.

Wyswobodziła je niechętnie.

– W tym celu tu przyszedłeś, prawda? Nie po to, żeby przeprosić, ale żeby chronić przede mną swoich braci?

– Bardzo się mylisz co do mnie, Majka – odrzekł, patrząc jej w oczy surowo i poważnie. – Bywam okrutny i bezwzględny, ale nie jestem zakłamanym skurwielem. Bawcie się dobrze dziś wieczorem...

Odwrócił się i wyszedł, zostawiając Majkę samą pośrodku pokoju. Samą z burzą uczuć, rwących serce i jedną, jedyną myślą: „Niech cię szlag, Wiktorze Prado, niech cię jasny szlag!”. Bo to, co jeszcze przed chwilą zdawało się takie proste, po jego wyjściu proste być przestało.

Wysiadł z taksówki przed kamieniczką na Krakowskim Przedmieściu, ale nie ruszył prosto do drzwi. Bez udziału świadomości skierował się tam, gdzie zawsze czekały na niego filiżanka gorącej, aromatycznej herbaty, kawałek domowego ciasta i czysta, dobra, ludzka miłość. Do Joli i Jana Braniewskich.

Dobrze trafił, bo doktor właśnie wrócił z dyżuru, zdążył wziąć prysznic, przebrać się w piżamę, w której Wiktor nieraz go już widział, przywożony przez braci o różnych porach dnia i nocy, i siadał do stołu, by szybko zaspokoić głód, po czym paść na łóżko i odespać mordercze czterdzieści osiem godzin.

Mimo zmęczenia na widok Wiktora jak zwykle się rozpromienił. Jego żona także.

Jola wciągnęła gościa do kuchni i posadziła naprzeciw męża. Nie pytając nawet, czy jest głodny, postawiła przed nim talerzyk i zakrzętnęła się koło drugiej herbaty.

Braniewski przyglądał się przez chwilę milczącemu mężczyźnie, po czym wstał gwałtownie, obszedł stół, odgiął nieco głowę Wiktora, czego ten się spodziewał, i wykrzyknął z nieudawanym wzburzeniem:

– Po pierwsze: kto ci rozerwał moje piękne, równiutkie szwy? Po drugie, czym ty je, na Boga, potraktowałeś?! Chyba nie... Wiktor, nie mów, że byłeś taki głupi, żeby skleić je... Jola, trzymaj mnie, bo mu przyłożę!

Żona doktora podeszła do nich i z ciekawością pochyliła się nad raną Wiktora. Wzruszyła ramionami.

– Klej Kropelka albo Superglue. Poradził sobie chłopak. Jak na wojnie.

– Nie jesteśmy na żadnej wojnie! Żyjemy w cywilizowanym kraju! Wystarczyło przyjechać do mnie z powrotem...

– ...i wyznać jak na spowiedzi, że dostałem z pięści od Patryka, to bez gadania założyłbyś mi tych kilka szwów – dokończył za doktora Wiktor, cofając głowę. Półdługie włosy zakryły ranę.

Po wyjściu braci sumienie tak go gryzło, a spływająca po skroni i policzku krew tak wkurzała, iż rzeczywiście wyskoczył do kiosku, kupił Kropelkę i w parę sekund krwawienie ustało. Potem pojechał do Majki i to „przestępstwo” zupełnie wyleciało mu z pamięci. Miał większe zmartwienia niż potraktowana klejem rana na głowie.

Braniewski westchnął ciężko i rzekł pół żartem, pół serio:

– Te siwe włosy mam z racji wieku. – Wskazał oszronione skronie. – Ale tych przysporzyłeś mi ty, Wikuś, i twoja ferajna. Patryk przywalił ci pięścią? Tego chyba jeszcze nie przerabialiśmy...

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – odrzekł Wiktor, wzruszając ramionami. – Wina była bezdyskusyjnie moja. Należało mi się. A i Patrykowi przyda się trochę praktyki w tej dziedzinie.

– W biciu starszego brata?

Odpowiedział pytaniem:

– Dasz mi jakieś tabletki na sen? Właściwie po to przyszedłem. Muszę się zdrzemnąć po tym wszystkim. – Machnął ręką, jakby miał na myśli kuchnię Braniewskich. – W nocy nie zmrużyłem oka, a mam tyle na głowie, oprócz

Kropelki, że nie zasnę. Alkoholu przecież nie tknę...

– Ja bym ci tknął po głupim jasiu – wpadł mu w słowo Braniewski. – Zaraz ci coś przyniosę, a ty dokończ ciasto, wypij spokojnie herbatę i jeżeli chcesz, możesz się położyć w pokoju gościnnym. Okupowałeś go wraz z maluchami tyle razy, że jeden więcej nie robi różnicy.

Wiktor chciał zauważyć, że mieszka dwie przecznice dalej i naprawdę nie będzie robił im kłopotu, ale... nagle poczuł nie tylko zmęczenie, ale i tęsknotę za czyjąś obecnością. I spokojnym snem, gdy ktoś inny – wreszcie nie on – będzie czuwał, by ich mały świat się nie zawalił.

A świat właśnie zaczynał się chwiać w posadach...

## ROZDZIAŁ XIII



Marcin przyszedł po Majkę, tak jak zapowiedział: o siedemnastej, co do minuty. Prawdę mówiąc, zazwyczaj nie był zbyt punktualny, ale tym razem naprawdę mu zależało. Na dobrym wrażeniu i na tej dziewczynie. Dlaczego, skoro spotkał ją raz i nigdy później? Skoro nic o niej nie wiedział? No, może oprócz tego, że Wiktor za nią nie przepadał. Nie miał pojęcia... Po prostu chciał zacząć tę znajomość od początku. Jak najlepszego początku.

Wyglądał świetnie, jak to on: płowe włosy, spalone słońcem Florydy, opadały mu w niedbałych kędziorach na niebieskie, roześmiane oczy, muskularne ciało opinała równie błękitna co oczy koszulka polo, do tego czarne spodnie i oprócz drogiego zegarka i naturalnej opalenizny żadnych innych ozdób, złotych łańcuchów, sygnetów, bransolet, tatuaży czy kolczyków w nosie (Wiktor na serce by umarł, gdyby któryś z młodszych braci przyszedł z czymś takim do domu) i oto był Marcin Prado w całej, zdecydowanie męskiej, krasie.

Majce na jego widok zapało dech w piersi. Mógł się podobać każdej.

A ona każdemu.

W obcisłej, ale niewyzywającej niebieskozielonej sukience z naszytymi kryształkami Swarovskiego skrzyła się jak morze w blasku słońca. Ciemne włosy zaczesana do góry, odsłaniając piękną, smukłą szyję i kształtne ramiona. Luźne kosmyki spadały na czoło, aż chciało się wyciągnąć rękę i je odgarnąć. Również nie przesadziła ani z biżuterią, ani z makijażem. Nie musiała. Jemu także odebrało oddech, gdy ją zobaczył.

– Nooo, kochana, mam szczęście, że to ja cię złowiłem – wymruczał, unosząc jej rękę do ust. – Zdążyłem ci poprzednim razem powiedzieć, że jesteś piękna?

– A wiesz, nie pamiętam – zaśmiała się i zarumieniła jednocześnie. Mężczyźni obsypywali ją podobnymi komplementami, ale ten brzmiał... jakoś szczególnie. – Nie zdążyliśmy poznać nawet swoich imion, gdy Julia ewakuowała się przez balkon, a ty pobiegłeś jej na pomoc. O czym wtedy nie wiedziałam, ale teraz już wiem i dziękuję ci za to.

– To Patryk ją ratował, nie ja – wyjaśnił. – A jeśli już jesteśmy przy podziękowaniach... W imieniu Wiktora chciałbym najpierw cię przeprosić...

– To już załatwione – przerwała mu stanowczo. – Przeprosił i podziękował osobiście. Kilka godzin temu.

Marcin odetchnął z wyraźną ulgą.

– Super! To znaczy ja mogę to zrobić również, bo wyciągnęłaś mojego brata

z aresztu, ale cieszę się, że to, co między wami zaszło... należy już do przeszłości. Opowiedz mi, co właściwie się stało? Nie chciałbym walczyć o ciebie z Wiktorem.

– On ma Gabrielę – zauważyła, ale kontekst zrozumiała.

– Powinienem był przynieść kwiaty i jakiś drobiazg na dobry początek znajomości, ale nie mam pojęcia, co lubisz. Gdy się dowiem, przyrzekam, że będziesz miała w kwiatach całe mieszkanie.

Zaśmiała się ponownie. Takie podejście również się jej podobało. Łatwiej było kupić po prostu jakiś wiecheć, ale dopytać, co kobieta lubi, i obdarowywać ją właśnie tym... nie każdemu facetowi przyszyłoby to do głowy.

– Mam spore mieszkanie – odparła. – Nie chcę cię narażać na bankructwo, ale... lubię różę Erotica, co nic ci pewnie nie mówi. – Ponownie musiała parsknąć śmiechem, widząc jego minę. – Pokażę ci w najbliższej kwiaciarni. Raz zobaczysz, zapamiętasz na całe życie. Są piękne!

– Okej, Erotica brzmi nieźle – uśmiechnął się jak kot na widok śmietanki. – A za jaką kuchnię przepadasz i jakiej nie cierpisz?

Majka słuchała go, patrzyła w uważne, niebieskie oczy mężczyzny i myślała: „Boże mój, wreszcie ktoś, kto troszczy się o mnie, nie o siebie. Niech ten sen się nie kończy!”.

Uzgodnili, że na pierwszą randkę wyskoczą do włoskiej knajpki, która może nie wyglądała z zewnątrz olśniewająco, za to karmili w niej genialnie, i Marcin sięgnął po komórkę:

– Poczekaj, wezwę taksówkę.

– Ty i taksówka? Spodziewałam się co najmniej lamborghini pod oknem. Koloru wścieklej pomarańczy. Nie mów, że nie lubisz przyszpianować szybkim i drogim samochodem!

Skrzywił się lekko.

– Wiktor, chyba za karę, częstuje mnie co najwyżej swoim głupim, bezpiecznym, powolnym jak muł volvo. Patrykowi pozwala używać porsche.

Majka uniosła brwi, tym razem zdumiona na serio.

– Zaraz, zaraz, jesteś na garnuszku Wiktora? Nie stać cię na własny samochód?

– Stać! No coś ty! – obruszył się, a potem zamyślił...

Dlaczego właściwie tłumaczy się tej dziewczynie z braku porządnego samochodu, z braku jakiegokolwiek samochodu, zamiast albo coś wypożyczyć, albo kupić?!

– To jest tak: firma należy do nas trzech. Zyski, pokaźne zresztą, Wiktor dzieli na trzy równe części i wpłaca na nasze osobiste konta. Nie sprawdzałem ostatnio, ile jest na moim, ale spokojna głowa, stać by mnie było na najdroższy samochód w Polsce, w Stanach jeżdżę jaguarem za kilka milionów, tylko... widzisz... gdy przyjeżdżamy do Warszawy, zaczyna mi z lekka odbijać. To miasto

działa na mnie po prostu destrukcyjnie. Kilka samochodów na samym początku tu rozbiłem i moi bracia stwierdzili, że na więcej nie pozwolą, bo któregoś razu rozbiję nie tylko samochód, olać to, ale również siebie. Zabrzmiało to rozsądnie. Co prawda trochę się buntowałem, strzelałem focha, ilekroć Wiktor przydzielał mi jakieś powolne ciele zamiast, rozumiesz, porsche z kopem, ale... widzisz, on nie robi mi tego na złość ani z zazdrości, bo kto jak kto, ale Wiktor nie musi zazdrościć niczego nikomu, tylko ze zwykłej troski. Gdy raz wróciłem późną nocą zalany krwią, właśnie po głupiej stłuczce, on... nigdy więcej nie chciałbym oglądać takiego przerażenia w jego oczach jak wtedy. Rozumiesz? – W ostatnim pytaniu zabrzmiała prośba.

Patrząc z punktu widzenia kobiety takiej jak Majka, samodzielnej, niezależnej i nieubogiej, brak samochodu u dorosłego faceta mógł wydawać się żaloszny...

Ale ona odrzekła cicho:

– Rozumiem. Tak. Rozumiem.

Jak bardzo pragnęła, by o nią też ktoś się tak bał, by nią też się przejmował ktoś inny niż przyjaciele. Powinna była mu to powiedzieć, zamiast tego oznajmiła jednak:

– Moglibyśmy jechać moją mazdą, ale rzeczywiście weźmy taksówkę. Mam ochotę na kieliszek szam... – i ugryzła się w język.

„Jesteś w ciąży!”, przypomniała sobie surowo. „Żadnych szampanów! Dziecko ma być zdrowe!”

Westchnęła i skłamała gładko:

– Zapomniałam, że nie mogę pić. Babskie sprawy.

Parę minut później, nadal gadając jak starzy przyjaciele, jechali na Puławską, do włoskiej knajpki. W duchu oboje postanowili, że choćby nie wiem jak ich ciągnęło do łóżka, choćby nie wiem jak jedno pragnęło drugiego, tym razem zaczną tak, jak powinno się zaczynać poważny związek: od początku, nie od końca.

Wiktor byłby z nich naprawdę dumny.

Gdyby akurat nie spał głębokim, niemal narkotycznym snem w gościnnym pokoju doktorostwa Braniewskich.

Patryk też byłby z Marcina dumny, ale on akurat przyrządzał w niewielkiej kuchni mieszkanka na Bielanach swoje popisowe danie: sałatkę z grillowanym kurczakiem, awokado i prażonymi migdałami. Dla Julii, rzecz jasna, która siedziała na kanapie, gdzie przed chwilą delikatnie, acz stanowczo ją posadził, i wodziła za mężczyznę oczarowanym spojrzeniem.

Szkoda, że Gabrysia nie mogła oglądać w tej chwili obu swoich przyjaciółek. Rozpłynęłyby się ze szczęścia...

\*

Patryk szedł przed siebie ulicami Starego Miasta, zatopiony w myślach. Przed paroma minutami wrócił od Julii i... miał w sercu burzę uczuć. Z każdą chwilą coraz bardziej lubił tę dziewczynę. Była tak... niewinna, rozbijająca, szczerą, serdeczną. Na dodatek piękna, naprawdę piękna, a przy tym nieśmiała. Przez pół dnia, który spędzili w swoim towarzystwie, dobrze im się rozmawiało, ale równie dobrze milczało, gdy Patryk kroił pomidory na sos do spaghetti, a Julia gotowała makaron.

Co chwila zerkali na siebie, oboje z niedowierzaniem, że są tutaj razem, on w towarzystwie zachwycającej dziewczyny, ona mając u boku fascynującego mężczyznę, po czym wybuchali cichym śmiechem, napotykając swoje spojrzenia.

Prawie jak para nastolatków!

Podczas późnego obiadu rozmawiali o przeszłości – tego tematu nie dało się pominąć. Patryk opowiadał co zabawniejsze wpadki z gotowaniem dla braci. Julia przywoływała jaśniejsze wspomnienia z domów dziecka. Ani tych pierwszych, ani drugich nie było zbyt wiele, bo dzieciństwo i młodość obojga nie należały do radosnych, mimo to właśnie tym chcieli się ze sobą dzielić.

Na mniej radosne historie przyjdzie czas kiedy indziej...

Potem usiedli na kanapie i włączyli jakiś film na DVD, którego treść wyleciała Patrykowi z pamięci. Prawdę mówiąc, częściej patrzył na Julię niż w ekran telewizora. Dziewczyna udawała, że ogląda. Zarumieniona co chwila odgarniała spadające na oczy kosmyki jasnych włosów. Jej gesty były tak... piękne, że Patryk w końcu przytrzymał jej dłoń, odwrócił wnętrzem do góry i zaczął delikatnie całować ciepłą, pachnącą skórę... Julia zamarła bez ruchu, bojąc się choćby głębszym oddechem spłoszyć ten cudowny moment. Tak trwali przez resztę filmu: on pieścił ustami jej dłoń, ona prawie nie oddychała, zapatrzona przed siebie.

Film dobiegł końca.

Patryk puścił rękę Julii.

– Dziękuję za wspaniały wieczór – rzekł niskim, nabrzmiałym emocjami głosem.

– To ja dziękuję – szepnęła.

Dotknął jeszcze koniuszkami palców jej policzka i wyszedł.

Teraz, idąc ulicami Starówki, wiedział, że dziś zaczęło się w jego życiu coś wyjątkowego. Wiedział, że będzie musiał być cierpliwy i ostrożny, by tego nie stracić, by nie urazić delikatnej istoty, jaką była ta dziewczyna, ale pamiętał także o jednym: niedawno miał stosunek z kobietą. Dopóki nie będzie pewien, że za dziewięć miesięcy nie przyjdzie na świat jego dziecko, nie miał prawa sięgnąć po Julię.

Jak oboje to zniosą, skoro już dziś, pierwszego dnia, Patryk czuł, jak całe ciało płonie mu z pragnienia, i był pewien, że Julia pragnie go równie mocno? Nie

miał pojęcia. Jeżeli będzie to konieczne, odejdzie. Jeżeli wystarczy trzymać zdrowy dystans, postara się, by oboje na dystans się trzymali.

Na pewno nie wolno mu było uczynić jednego: wyznać Julii, co zrobił, i wyjaśnić, dlaczego nie mogą być ze sobą naprawdę blisko. Tego pierwszego nie mógł zrobić nigdy. To drugie musiało poczekać, aż będzie pewien, że to nie jego dziecko Majka urodzi za kilka miesięcy.

Jutro znów spotka się z Julią. Tym razem ona przyjdzie do jego mieszkania, właśnie tutaj, na Starym Mieście. Ponownie będą coś gotować, potem pójdą na spacer albo znów obejrzą jakiś film. I z dnia na dzień to, co ich połączyło, będzie silniejsze. Coraz bardziej będą siebie pragnąć, coraz częściej dotykać, przypadkowo albo i nie. Przydarzy się jeden pocałunek, potem następny i jeszcze jeden, a każdy bardziej namiętny...

Poczuł w tej chwili tak silny przypływ pożądania, że aż zdławiło go w gardle. Julia była parę kilometrów stąd, a on – gdyby w tym momencie miał ją obok – nie powstrzymałby rwących się do niej rąk, spragnionych jej warg ust, wreszcie samego siebie. Gdyby tylko wyszła mu naprzeciw, jeszcze dziś poszliby do łóżka...

– No, stary, masz odpowiedź – mruknął do swego odbicia w sklepowej szybie. – Od tej pory trzymasz Julę na dystans, w przeciwnym razie ktoś przez ciebie będzie cierpieć. Powstrzymasz się od dotykania, powstrzymasz od pocałunków. To niewysoka kara za to, co zrobiłeś z Majką...

Odetchnął głęboko.

Spojrzał na wyświetlacz iPhone'a.

Od spotkania z Angeliką dzieliło go pięć minut.

Zawrócił w stronę Rynku...

Dziennikarka przybiegła spóźniona zaledwie o kwadrans. Wstał, przywitał się z nią zdawkowym pocałunkiem, odsunął krzesło, by mogła usiąść.

– Należysz, Patryk, do wymierającego gatunku – odezwała się, gdy podał jej kartę dań. – Boże, gdzie się jeszcze lęgną tacy dżentelmeni? Do tego przystojni i męscy?

– Daruj sobie te kpiny, Angie.

– Ale ja mówię serio! Kto cię tak wychował, skoro – o ile dobrze pamiętam – pół dzieciństwa spędziłeś pod łóżkiem, a drugie pół w norze na dalekim Mokotowie?

– Wiktor wymagał ode mnie i Marcina nienaganych manier.

– No tak, ten fantastyczny, nieosiągalny Wiktor Prado... Szczerze? Twój brat jest niesamowicie pociągający, nawet gdy nic nie robi, by uwodzić, ale czasem mnie po prostu przeraża. Ile razy byliśmy gdzieś w trójkę, albo – z Marcinem – w czwórkę? W Piątkę? W szóstkę? Podczas każdego spotkania musiałam coś palnąć albo zrobić... jakieś głupstwo: a to mi się „kurwa” wyrwała, a to ramięczko



sukienki opadło... Wiktor wtedy podnosił na mnie wzrok. Nie, broń Boże się nie krzywił ani nie rzucał zjadliwego komentarza, on po prostu patrzył mi prosto w oczy, jakby pytał: „Co ty, laska, robisz w moim towarzystwie? Z jakiego buszu uciekłaś?”. To wystarczało, bym czuła się taka malutka, tak zawstydzona...

– Daj spokój. Wiktor nigdy się nad nikim nie wywyższał – odezwał się bez przekonania Patryk. – Owszem, ma te swoje spojrzenia, którymi potrafi zabijać, ale... tak naprawdę zawsze było mu obojętne, kto co przy nim mówi czy robi. Czasem był po prostu zaskoczony. Lecz nigdy, nawet gdy byliśmy sami, nie mówił o tobie źle, Angie. „Wyzwolona dziewczyna” – to jedyne, co kiedyś rzucił, gdy rozstaliśmy się z tobą po kolacji.

– Serio? – ucieszyła się. Dla Angeliki, która za takiego faceta jak Wiktor Prado w łóżku oddałaby materiał na pierwszą stronę „Faktów i Skandali”, był to komplement. Patryk nie chciał pozbawiać jej złudzeń.

– A właśnie, z czym do ciebie przychodzę... Napisałam artykuł o was trzech i tym bydlaku, prokuratoru sadyście. Naprawdę dobry artykuł, wierz mi. Potrafię być samokrytyczna. Zaniosiłam go naczelnemu, zadowolona z siebie jak nigdy, on przeczytał, obejrzał zdjęcia i powiedział: „Dobra, mocna rzecz, Angie. Za dobra i za mocna jak do naszego szmatławca. Nie puszcę tego”. Po czym zmiął mój śliczny artykuł i wyrzucił do kosza.

Patryk słuchał w milczeniu. Można się było tego spodziewać. Żadna gazeta nie odważy się podskoczyć kaście prokuratorów. Każdy dziennikarz i redaktor albo już miał coś na sumieniu, albo będzie miał. Wtedy dobre stosunki z wymiarem sprawiedliwości będą w cenie.

– Wyjęłam moje dzieło z kosza, nie myśl sobie! – ciągnęła dziennikarka po krótkiej przerwie. – Ale on dodał: „Odpuść, Angie. Po prostu odpuść albo będziesz miała kłopoty. Ze znalezieniem nowej pracy również”. Dlatego przykro mi, Patryk, ale nie mogę zrobić nic więcej. Tu masz pendrive’a z tym artykułem. Możesz ten tekst oddać komu innemu, jest naprawdę w porzo. Żałuję, że nie mogę się pod nim podpisać.

Przesunęła w jego stronę niewielki przedmiot.

Z nieudawanym żalem wyjęła z torby „album rodzinny” i też mu oddała.

– Muszę spadać. Mam jeszcze jedno spotkanie, na które już jestem spóźniona. Nie masz do mnie żalu?

Pokręcił głową.

Pochyliła się ku niemu i pocałowała go w usta, mając nadzieję, że on odpowie jej pocałunkiem nieco dłuższym i bardziej namiętnym niż cmoknięcie, ale Patryk odsunął ją łagodnie.

– Jesteśmy w restauracji – zauważył.

– I mnie nie chcesz – dodała z żalem.

– Angie...

– Wiem, wiem, pozostaliśmy przy przyjaźni. Do zobaczenia, Patryś. Jeśli kiedyś zatęsknisz za ciepłym łóżkiem, zadzwoń. O każdej porze dnia i nocy. Po prostu zadzwoń.

Odwróciła się i szybko odeszła, by nie musiała kłamać, że tak zrobi.

Patryk zaś wstał, zapłacił za wino Angeliki i swoją colę, po czym wyszedł na Rynek, spojrzął w ciemniejące niebo i odetchnął głęboko. Pocałunek Angeliki przywołał wspomnienie ust Julii. To do niej Patryk gotów był zadzwonić, nawet w tej chwili.

Na razie jednak będzie wracał do swojego mieszkania i spał w swoim łóżku. Sam.

Nagle się uśmiechnął. Przecież oboje z Julią mają resztę życia! Zdążą się sobą nacieszyć, nasycić, może w końcu znudzić. Dokąd mu tak pilno? Żona, dzieci, gary i pieluchy... Naprawdę jest na to gotowy? Ma jeszcze czas!

Gdzieś na dnie duszy rozbrzmiał mu pierwszy wers wiersza księdza Twardowskiego: „Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”.

Patryk szedł ulicami Starówki, ciesząc się ciepłem, zapadającym zmierzchem i samotnością wśród tłumów.

\*

Nad Warszawą powoli zapadał wieczór... Ciepły, piękny, sierpniowy wieczór.

Pan Antoni leżał w niewielkiej sypialni, w swoim własnym łóżku. Patrzył na ciemniejące za oknem niebo i pierwsze gwiazdy, które nieśmiało zaczynały pobłyskiwać na firmamencie.

„To musi nastąpić dzisiaj”, myślał. „Jutro może być za późno”.

Dziś w nocy! Za kilka godzin, gdy miasto uśnie, on będzie mógł wymierzyć sprawiedliwość. I raz na zawsze uwolnić świat od bestii.

Nie. Na świecie mu nie zależało. Skoro hodowano tu i hołubiono takich jak Adolf Kuchta, a uczciwi ludzie od dawna gryźli piach, taki świat na litość nie zasługiwał. I ci, którzy pozwalali plenić się złu, także nie. On, Antoni, zadba o własną rodzinę. O córkę, przyszłego zięcia i ich nienarodzone jeszcze dzieci. O resztę ludzkości niech się martwi kto inny...

Podniósł się z trudem, bo osłabiony był bardzo. Podszedł do kuchennego kredensu, odchylił oblużowaną deskę na jego dnie niczym za czasów konspiracji i sięgnął po starą, ale ukochaną fajkę. Gdyby Gabrysia wiedziała, że od czasu do czasu lubi sobie parę razy pyknąć, na pewno by mu ten drobiazg skonfiskowała, lecz albo nie wiedziała, albo udawała, że nie wie, bo fajka była na miejscu.

Powoli, przytrzymując się mebli, wyszedł na balkon, usiadł w fotelu i z namaszczeniem zaczął nabijać fajkę tytoniem, ukrytym równie głęboko.

Dziś wieczorem może sobie pozwolić na zakazany owoc. Gabrysia by mu

wybaczyła. Czeka go ciężkie wyzwanie, któremu musi sprostać. Nigdy nie strzelał do człowieka. Podczas Powstania był jedynie łącznikiem. Dzisiaj to zrobi. Zabije.

– Uwolnię świat nie od człowieka, a od bestii – poprawił się półgłosem.

Nie czuł żadnych skrupułów na myśl o tym, że niedługo wyjdzie z domu i – w świetle prawa – powróci jako morderca. Jeżeli chciał zapewnić córce bezpieczeństwo, jeśli nie chciał oglądać jej okaleczonych, wyłowionych z Wisły zwłok, musiał to zrobić. I zrobi.

O ile zdoła...

Jeszcze nie zdążył się zaciągnąć ani razu tytoniowym dymem, a wiedział, że fajki nie dokończy. Siedział nieruchomo, zaciskając palce na poręczach fotela i łapczywie chwycił oddech. Serce waliło mu w piersiach tak, jakby wzywało pomocy. Nie powinien był opuszczać szpitala! Jeszcze nie!

Ale musiał.

Dzisiaj.

Bo jutro może być za późno...

Powoli, powoli uspokajał oddech. Serce również zaczęło zwalniać. Dobrze... bardzo dobrze... Przymknął powieki i pozwolił, by czas płynął.

Warszawa zapadała w sen.

Antoni podniósł głowę. Spojrzał na zegarek. Północ. Mógł zaczynać.

Wrócił do pokoju, drząc lekko od wieczornego chłodu, a może z mimowolnego przerażenia tym, co chce zrobić. Z powrotem ukucnął przy kredensie, włożył do skrytki fajkę z paczuszką tytoniu, chociaż wiedział, że już nigdy ich nie użyje, za to wyciągnął coś, co ukrył tak dawno, że już prawie o tym zapomniał: starego, ale niezawodnego waltera, jeszcze z czasów okupacji, ostry nóż i cienki, ale mocny sznur.

Zaciągnął zasłonę w sypialni. Zdziwiająco wprawnie jak na swój wiek i połamane przez Kuchtę palce rozebrał i złożył broń. Oddał na sucho strzał. Pistolet, pieczołowicie czyszczony i oliwiony przez wszystkie te lata, zadziałał bez zarzutu. Antoni zdecydowanym ruchem wsunął do komory magazynek z ośmioma nabojami.

Był gotów.

O ile zdoła w ogóle się podnieść...

Znów zabrakło mu oddechu, serce ponownie przyspieszyło, rozpaczliwie próbując dostarczyć tlen komórkom. Antoni oparł się plecami o ścianę. Poczul w oczach łzy frustracji i rozpacz. Czyżby miał umrzeć w ostatniej chwili? Pozwolić, by jego córeczkę, jego Gabrysię, jednak dopadła bestia?

Musi wstać i iść! Musi...

– Synu...

W pierwszej sekundzie nie uwierzył. Dopiero gdy po raz drugi usłyszał ten głos, ten kochany, niesłyszany od dziesięcioleci, stanowczy, ale pełen miłości głos:

„Antoś...”, otworzył szeroko oczy.

Ku niemu pochylał się Alojzy Leszeński, jego ojciec. Zamordowany przez Kuchtę siedemdziesiąt lat temu.

Antoni najpierw oderwał plecy od ściany, o którą jeszcze chwilę wcześniej opierał się bezwolnie, a potem wstał, czując nadludzki przyływ sił.

– Tato? – Wbił niedowierzające spojrzenie w mężczyznę, którego miał tuż przed sobą, na wyciągnięcie ręki.

Umysł podpowiadał mu, że to wytwór jego wyobraźni, majaczenie obumierającego z braku tlenu mózgu, ale... Alojzy uśmiechnął się łagodnie. Powoli, ale mocno objął syna i zamknął go w ramionach, jak ostatnim razem, gdy się widzieli. W ostatnim dniu Powstania.

– Tato... – Antoni załkał jak małe dziecko, z początku pozwalając się przytulać. Lecz zaraz i on uniósł ręce, zacisnął je na plecach ojca, przytulił twarz do jego piersi i wdychał jedyny i niepowtarzalny zapach odprasowanego munduru, wody po goleniu i tytoniowego dymu. Zapach ojca. – Tato... – powtarzał, bo krtań nie przepuszczała żadnych innych słów, a tyle chciał ojcu powiedzieć... tyle powiedzieć...

– Wiem wszystko, synku – rzekł cicho Alojzy.

– Sz-szukaliśmy cię z mamą... – zapłakał. – Tak długo szukaliśmy... Nie chciałem wierzyć w twoją śmierć. Dopiero gdy on... on mi powiedział... Wtedy...

– Wiem, Antoś, wszystko wiem. – Ojciec gładził łkającego syna po plecach. Uspokajająco, łagodnie, lecz jednocześnie dodając mu takich sił, takiej mocy...!

– Muszę go zabić. – Antoni oderwał się od ojca i spojrzał z determinacją w jego szare, kochające, teraz poważne oczy.

– Nie, Antoś. Kuchta musi umrzeć i umrze, ale ty go nie zabijesz.

– Ojczy, jutro wraca Gabrysia! Mam jedynie tę noc, żeby...

– Kuchta umrze przed świtem – znów te twarde słowa i ostre spojrzenie. W szarych oczach Alojzego nie było już łagodności. Była zapowiedź śmierci. – Jednak nie z twojej ręki.

– Ojczy... – Antoni ponownie chciał się sprzeciwić, ale ten, kto przed nim stał, nieżyjący od lat, a tak cielesny, jak przed śmiercią, zaczął:

– Nadszedł czas zapłaty. Adolf Kuchta poczuje już niedługo Boską sprawiedliwość. Ale nie ty ją wymierzysz. – Pochylił się ku synowi i dodał cicho: – Wiem, że potrafiłbyś, wiem, że dla Gabrysi zrobiłbyś wszystko, ale ona nie może być córką mordercy, rozumiesz, synku? Dzisiaj Kuchta umrze. A ty... – Alojzy zawahał się. Nie dokończył.

– Ja też? Już umarłem?

– Nie, synu, jeszcze żyjesz, ale także odejdziesz przed świtem. Zaraz po Kuchcie.

Antoni odetchnął głęboko. Z ulgą. Umierał. Nie dożyje świtu, lecz Gabriela

będzie bezpieczna. To niewysoka cena za jej szczęście.

– Tak bardzo chciałbym ją jeszcze zobaczyć. Pożegnać się – wyszeptał z bólem.

– Zobaczysz się z nią.

Antoni poderwał głowę ponownie i znów patrzył ojcu prosto w oczy.

– Obiecujesz?

– Obiecuję, synku. A teraz połóż się i czekaj na świt. O pierwszym brzasku słońca spotkasz Gabrieleę, a potem... potem odejdziesz ze mną.

Antoni uśmiechnął się z wdzięcznością i ulgą. Ojciec raz jeszcze uściśnął jego ramię.

Gdy stary człowiek osuwał się na łóżko, walcząc z opadającymi powiekami, usłyszał niknący w oddali głos:

– Śpij, synku. Obudzę cię, gdy przyjdzie czas...

\*

Kuchta leżał na wznak, z rękoma rozrzuconymi na boki, pośrodku sypialni, która kiedyś należała do rodziców Antoniego. Z jej dawnego piękna i elegancji nie pozostał nawet ślad. Hitlerek zmienił ten pokój w śmierdzącą, zarzyganą norę. Dogorywał tu od dawna, wlewając w siebie hektolitry wódki, nie raz poprawiając to nasennymi prochami. Każdemu innemu wątroba i serce dawno odmówiłyby posłuszeństwa, ale to żywiące się nienawiścią i okrucieństwem bydlę wydawało się niezniszczalne.

Nawet w tej chwili, nafaszerowany lekami przeciwbólowymi, które zapił alkoholem, powinien był chociaż stracić przytomność, zakrztusić się własnymi wymiocinami i uwolnić od siebie świat, ale Hitlerek po prostu spał, chrapiąc na pół domu, niczym stary, tłusty knur. Cóż za upodlenie miejsca, które kiedyś dla kogoś było całym światem, rodzinnym, pełnym miłości domem...

To również przysparzało Kuchcie satysfakcji.

– Wstawaj! – ostry głos wyrwał go nagle z letargu.

Wymamrotał wulgarnie przekleństwo i odwrócił się na bok, by w następnej chwili ponownie zakląć. Zszyty na pogotowiu policzek, który rozorał mu jeden z młodszych bękartów, zaczął pulsować bólem.

– Skurwysyn... ten wredny skurwysyn... – miał w ustach słowa, którymi nieraz obrzucał swoich pasierbów. – Zapłacisz za to, skurwysynu. Będiesz siedział...

– Wstawaj! – ostre, nieznoszące sprzeciwu polecenie poderwało go do pionu.

Usiadł. Zamrugał, próbując odegnać pochylającą się ku niemu koszmarną zjawę, ale Alojzy Leszeński... tak, AK-owski bandyta, którego on, Kuchta, załatwił ładnych parę dziesięcioleci temu... wydawał się całkiem realny. I... bardzo żywy.

Miał na sobie mundur oficera, ten sam, w którym przyprowadzono go na przesłuchanie po raz pierwszy – i ostatni. Spoglądał na Kuchtę z taką samą pogardą w szarych, dumnych oczach, a jego krtań... wyglądała na całą i zdrową.

– Neeee, to niemożliwe! Wreszcie cię, stary chuju, dopadła delirka – mruknął do siebie Kuchta i już chciał z powrotem opaść na dywan, by snem sprawiedliwego, jak o sobie myślał, doczekać kolejnego poranka, gdy Leszeński poderwał go na równe nogi jednym szarpnięciem i patrząc mu prosto w oczy, powiedział:

– Nadszedł twój czas. Za chwilę zobaczysz, co cię czeka po śmierci, a potem... – Uśmiechnął się zimno. Szare oczy błyszczały w mroku niczym u wilka.

– Ale ja... ja... – zaczął Kuchta, czując po raz pierwszy w życiu nieprzyjemny dreszcz spływający po krzyżu. Był to strach. – Wyspowiadałem się ze wszystkiego i dostałem rozgrzeszenie! – wypalił triumfalnie, po czym, jakby to była przepustka do rajów, pokazał Leszeńskiemu krzyżyk, który miał na szyi.

Zjawa, która musiała być przecież li tylko zjawą, uniosła kącik ust w półuśmiechu.

– Wyspowiadałeś się, mówisz? I dostałeś rozgrzeszenie? A za grzechy żałowałeś?

– Oczywiście... – Pogardliwa odpowiedź utknęła Kuchcie w gardle. Zakrztusił się nią. Próbował odchrząknąć i powtórzyć, ale jego krtań nie przepuszczała żadnych dźwięków. Mógł tylko oddychać coraz szybciej i coraz bardziej wybaluszonymi oczyma wpatrywać się w Leszeńskiego.

Ten zaczął spokojnie:

– Żałowałeś tego, co zrobiłeś swoim pierwszym ofiarom?

I nagle... Kuchta aż się cofnął. Przekrwione gałki oczne niemal wyszły mu z orbit. Przed sobą miał chłopczyka, może trzyletniego, którego trzymała w ramionach, krzycząc przeraźliwie, młoda ciężarna kobieta. Wyrwał jej dziecko... co?!... tak!... jak wtedy, na Wołyniu, mając siedemnaście lat, podczas swojej pierwszej „akcji” u boku nowych ukraińskich przyjaciół... wyrwał jej dziecko z rąk i cisnął nim o ziemię. Chłopczyk zaskowyczał, chwycił matkę za rąbek spódnicy. Kuchta odkopnął go, a kiedy dziewczyna padła na kolana, błagając o litość dla synka, zaśmiał się, chwycił... tak, zrobił to! Śmiejąc się jak obłąkany, chwycił oparte o ścianę chałupy widły, wbił je chłopczykowi w brzuch, parę sekund słuchał wycia i dziecka, i matki, po czym, przy akompaniamencie rechotu kompanów, uniosł nadzianego na widły chłopczyka nad głową i z wrzaskiem: „Patrzcie, jak lata polski orzeł!”, cisnął go do studni \*.

Jednym skokiem dopadł zwiniętej wpół dziewczyny, która z rozpaczyny nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Kopnięciem przewrócił ją na plecy, wyjął zza cholewy nóż i... tak, to też wtedy zrobił, mało się nie spuszczając w gacie

z podniecenia... rozplątał ciężarnej brzuch. Razem z drugim bandziorem wrzucili skowyczącą z bólu kobietę do studni, a w ślad za nią żywy płód... Jęki dziewczyny i jej synka długo, bardzo długo dobiegały z dna wyschniętej studni. Już po rzezi, jakiej dokonał na innych mieszkańcach wioski, wrócił w to miejsce i słuchał... z rozkoszą słuchał zamierającego kwilenia... Ale to było dawno! Wyspowiadał się przecież! Dlaczego to coś, co przybyło chyba z piekła...

– Myślałeś, Adolfie Kuchto, że to była spowiedź i rozgrzeszenie? A gdzie żał za grzechy? A gdzie próba zadośćuczynienia? – Zjawa pojawiła się w miejscu, gdzie przed chwilą była dawno zasypana, zapomniana studnia, ze szkieletami trzech istot na dnie. – To zobacz, jak będziesz pokutował za to, czego się w pełni świadomie, nieprzymuszenie i z własnej woli dopuściłeś...

Ledwo wypowiedział te słowa, Kuchta... nagle zobaczył przed sobą rosłe, zarośnięte, półdzikie monstrum. Matka, która tuliła go z całych sił, zaczęła krzyczeć, a on sam poczuł strach. Nic nie rozumiał. Nie wiedział, dlaczego mama krzyczy i czego chce to monstrum. Po prostu się bał. Miał przecież tylko trzy latka... Monstrum wyrwało go nagle z rąk matki, cisnęło nim o ziemię. Zaczął płakać z bólu i ze strachu. A ono chwyciło za widły, oparte do tej pory o ścianę domu i... poczuł tak straszny ból, że zawył jak zwierzę. Trzy szpikulce wbiły mu się w brzuch. Trzy rozżarzone do czerwoności żagwie zatopiono w jego trzewiach. Zwijał się z cierpienia. Kurczył w konwulsjach, gdy coś poderwało go do góry i cisnęło w ciemną, wilgotną otchłań. Krzyczał, wył, jęczał, trzymając się za krwawiący brzuch. Nagle coś spadło obok. Mama! Mamusia! Przyłgnął do niej, prosząc bez słów, by ukoila jakoś ten straszny ból, ale ona... Ona...

Kuchta oczami tej dziewczyny patrzył na zakrwawionego synka. Ból rozciętego brzucha, z którego bestia przed chwilą wyrwała nienarodzone dziecko, był tak straszny, że nie pozwalał nawet zemdleć, ale jeszcze gorsze było cierpienie dziecka, trzyletniego chłopczyka, wijącego się tuż obok...

– Aaaaa! Aaaaa! – z krtani Kuchty wyrwał się nieludzki skowyt.

Leszeński uciszył go jednym ruchem dłoni.

– Masz patrzeć i czuć to cierpienie, które zadałeś. W milczeniu – usłyszał.

I od tej pory patrzył i czuł.

Ból gwałconej w sześciu dziewczynki. Miała może osiem lat. Zamęczyli ją na śmierć. Ból jej rodziców, rozkrzyżowanych na ścianie pokoju, którzy musieli na to patrzeć. Ból matki, którą gwałcili zaraz po dziewczynce, a potem dusili powoli, tak by czuła, długo czuła, że umiera. I znów ból męża i ojca, przybitego za ręce i nogi do ściany, zmuszonego, by oglądać śmierć najbliższych. Gdy łkając, poprosił o litość, wydlubali mu oczy. Teraz musiał słuchać...

Krzyknął:

– Zapłacicie za to, bandyci! Polska nas pomści!

Rozcięli mu brzuch, rozpięli na ścianie jelita na kształt mapy

Rzeczypospolitej i podpisali krwią konającego: „To twoja Polska”...

Zmiana miejsca. Zmiana czasu.

Jest kobietą, którą bestia zwana Kuchtą przywiązuje do wozu zaprzęzonego w dwa konie. Krzyczy ze strachu, ale to jeszcze nie jest ten strach. Oprawcy zaczynają przywiązywać do jej nogi najstarsze dziecko, sześćioletnią córeczkę. Mała jest tak przerażona, że nie broni się, nie krzyczy. Patrzy na bestie w milczeniu, jeden z oprawców głaszcze ją po splecionych w warkoczyki włoskach. Do jej nóżki przywiązują drugie w kolejności dziecko, czteroletnią siostrzyczkę, potem braciszka i na końcu niemowlę. Matka milknie. Wszystko naraz milknie. Dzikie wrzaski dookoła, płacz, krzyki, wszystko cichnie, jakby każdy patrzył z ciekawością, co się zaraz stanie. Z kobietą i jej czwórką dzieci, przywiązanymi po kolei za nogi do wozu.

Kuchta wskakuje na kozioł, strzela z bata, konie ruszają gwałtownie. Za plecami słyszy narastające, podnoszące włosy na karku wycie pięciu istot, obdzieranych żywcem ze skóry o żwir wiejskiej drogi. Śmieje się.

Teraz też chciał się zaśmiać, ale w tej chwili poczuł ból, ból zdzieranej z pleców, dłoni, ud, brzucha skóry, chciał zawyc jak jego ofiary, ale nie mógł wydobyć głosu. Ból rozdzierał go na strzępy, zwielokrotniony po pięciokroć. Kuchta wił się bezgłośnie pośrodku sypialni Leszeńskich. A to jeszcze nie był koniec. Jego ofiary ustawiły się w kolejce po zadośćuczynienie krzywdom...

– Bierz to, siadaj i pisz – usłyszał i przez opuchnięte oczy ujrzał kartkę papieru i długopis. – Pisz: „Zostałem napadnięty przez bandytów, a oskarżyłem mojego pasierba. Wybacz mi, Patryk”. Pisz, mówię! – Głos Leszeńskiego ciął nie gorzej od bata.

Kuchta zaczął stawiać koślawe litery, lecz nagle... długopis zawisł nad kartką. Słowo „Patryk” podziało na bestię jak płachta na byka. Zmiał kartkę, cisnął widmu w twarz i wycedził:

– Gównno tam. Nie wierzę ani w Boga, ani w diabła. Po śmierci nie ma nic. A ty jesteś wytworem mojego wyżartego przez prochy mózgu i wódy.

Leszeński podniósł kartkę, rzucił na stół i rzekł tylko:

– Chodź.

– D-dokąd?

– Na zewnątrz. Tam, gdzie są kamery. Nie będziesz się przecież wieszał tutaj. Musisz mieć świadków, wielu świadków, gdy będziesz popełniał samobójstwo.

– Ale ja nie chcę!

– O tak, bardzo chętnie byś to zrobił, gdyby któregoś z twoich pasierbów albo mojego syna udało się oskarżyć o morderstwo, ale już dosyć. Nigdy więcej nikogo nie skrzywdzisz. Wychodź na zewnątrz!

– Powiedziałem już: gównno z tobą! Chyba że naprawdę mam dzisiaj



zdechnąć... Wtedy ktoś za to zapłaci...

Wyciągnął telefon. Wcisnął klawisz szybkiego wybierania.

Kilka kilometrów dalej w kieszeni marynarki przewieszanej przez poręcz krzesła rozdzwoniła się komórka. Doktor Braniewski wszedł cicho do pokoju, wyciągnął telefon – to przecież mogło być coś ważnego – i spojrzał na wyświetlacz. „Kuchta”. A potem na śpiącego Wiktora. Bez chwili wahania wyłączył iPhone’a i wsunął z powrotem do kieszeni. Wyszedł tak cicho, jak się tu znalazł.

Telefon rozdzwonił się gdzie indziej. Ten ktoś również spojrzał na wyświetlacz, prychnął tylko i wcisnął czerwoną słuchawkę.

Ale trzeci na liście odebrał połączenie.

– Czego chcesz? – syknął.

– Dobrze cię słyszeć, synu. Mam dla ciebie niespodziankę. Czeka tuż obok. Będziesz u mnie za kwadrans, a nikomu nie stanie się krzywda.

Patryk zacisnął palce na telefonie tak silnie, aż pobieleły.

– Kto to jest? – wydusił. – Kogo znów dopadłeś, bydlaku?

Ale połączenie przerwano.

Mężczyzna poderwał się na równe nogi. Zaczął gorączkowo nakładać koszulę i spodnie. Ręce tak mu się trzęsły, że z trudem dopinał guziki.

Kto tym razem? Kogo to bydlę znów ma w garści?!

Chwilę potem wbiegał do garażu. Zdążył po drodze zadzwonić na zastrzeżone numery do Wiktora i Marcina. Zamiast tego pierwszego odebrał doktor Braniewski i zapewnił, że Wiktor jest bezpieczny. Marcin warknął:

– Jeśli to nie jest sprawa życia i śmierci, daj pospać, człowieku.

Jemu również nic nie zagrażało. Ostatnią osobą, na którą polował Kuchta, była Gabriela...

Patryk próbował się do niej dodzwonić, ale włączała się poczta głosowa.

Z sercem podchodzącym do gardła wskoczył za kierownicę porsche i przekreślił kluczyk.

Patryk, jeśli ci życie miłe, nie jedź tam!!!

– I co, skurwysynu? – Kuchta zaśmiał się triumfalnie. – Będziesz nadal nakłaniał mnie do samobójstwa? Nie ma sprawy, ale poczekamy na Patryczka. Wystarczy, żeby wszedł do środka. Po jego wyjściu mogę się wieszać. Z tego się tak łatwo nie wywinie.

Leszeński patrzył na niego beznamiętnie.

– Nawet teraz, w godzinie śmierci swojej, krzywdzisz, zamiast błagać o wybaczenie – odezwał się wreszcie.

– Jeszcze przeżyję moich pasierbów! Ciebie przeżyłem na pewno! – Pełne buty słowa były jak splunięcie Bogu w twarz. A Boska cierpliwość, w porównaniu z ludzką głupotą i podłością, ma swoje granice...

Od żoliborskiej willi dzieliło Patryka kilka przecznic, gdy coś zupełnie niespodziewanie wyskoczyło przed maskę porsche. Odruchowo wcisnął hamulec. Samochodem zarzuciło, ale na szczęście ulica była zupełnie pusta. Bezpański kot, bo to on wybiegł na drogę, czmychnął w piwniczne okienko, miaucząc przeciągle.

Patryk odetchnął głęboko, uruchomił silnik i już miał ruszać ponownie, gdy znów zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz i natychmiast odebrał.

Słyszając spokojny głos Gabrieli: – Patryk, mam prośbę, odbierzesz mnie z lotniska? Megan cudem zdobyła dla mnie bilet na wcześniejszy lot. Przed chwilą wylądowałam... – niemal rozplakał się z ulgi. Zawrócił z piskiem opon i zamiast na Żoliborz, pognął w przeciwnym kierunku.

– Nie zniszczysz już nikogo – odezwał się Alojzy Leszeński, patrząc na Kuchtę z mieszaniną odrazy i pogardy. – Nie ma w tobie skruchy, nie ma poczucia winy czy zwykłej przyzwoitości. Nie wiesz, co to wybaczenie, nie znasz pojęcia honoru. Jedyne, co dobrze ci w życiu wychodziło, to znęcanie się nad bezbronnymi. Idziemy.

Kuchta już miał roześmiać mu się w twarz, gdy poczuł, jak nieludzka siła podrywa go na równe nogi i popycha w stronę drzwi. Próbował chwycić się framugi, walczył o swoje nic niewarte życie, ale ręce słuchały Kogo Innego. Nacisnęły na kłamkę. Chciał wrzasnąć, krzyczeć tak długo i tak głośno, aż obudzi sąsiadów, ktoś wezwie policję i... z krtani nie wydobył mu się nawet najcichszy pisk.

Zataczając się i potykając, Kuchta ruszył przed siebie. Za nim jak cień podążał Leszeński.

Wyszli na jasno oświetloną ulicę. Podeszli do ławki stojącej pod latarnią. Oko kamery, którą Kuchta kazał zamontować na ścianie willi, patrzyło teraz prosto na niego.

– Wyciągnij z kieszeni sznur! – usłyszał rozkazujący głos Leszeńskiego.

„Nie mam sznura...”, chciał odpowiedzieć. Nie mógł się odezwać.

– Wyciągaj sznur! Na końcu ma gotową pętlę. Wejdz na ławkę. Przerzuć go przez latarnię.

„Nie! Nie! Nie!!!”, wył bezgłośnie Kuchta, patrząc, jak jego ręce biorą koniec sznura, przerzucają przez pałąk latarni i porządnie zawiązują o poręcz wmurowanej w chodnik ławki. Nagle zrozumiał, że to koniec. Naprawdę koniec. A po drugiej stronie jednak może coś być.

– Jeżeli to zrobię... – wyszeptał, patrząc w ostatniej minucie swojego podłego życia w oczy człowieka, którego zabił ciosem w krtani. – Jeśli sam się powieszę, to wystarczy? To będzie ta cała zapłata za grzechy?

– Tak lekce sobie ważysz Boską sprawiedliwość? – Leszeński spojrzał na niego, a Kuchta... poczuł to spojrzenie na dnie czegoś, co byłoby duszą, gdyby takową posiadał. Lecz tam był tylko wypełniony wodą, prochami i nienawiścią

kałdun... – Będiesz czuł cierpienie twoich ofiar aż do końca. Aż poczujesz ból ostatniej z nich: Patryka Prado, który przez ciebie zrobił to, co zrobił. Może wtedy Bóg ulituje się nad tobą, może twoje ofiary ci wybaczą i szczeni na zawsze. Tak się płaci za zło, które wyrządziłeś na tym świecie: cierpieniem swoich ofiar. Ono się właśnie zaczęło...

Pchnął lekko.

Kuchta spadł z ławki, zawisł, zaszamotał się i znieruchomiał, jeszcze przytomny. Oczy wyszły mu z orbit w obłąkanym przerażeniu. Zbliżała się kolejna ofiara jego zbydłęcia: śliczna, może siedemnastoletnia dziewczyna, którą razem z kompanami ćwiartował siekierą, powoli... dłonie, stopy, nogi, ręce, tak by czuła każdą sekundę swojej śmierci i żeby cierpiała... Nie znał tej dziewczyny, nic mu nie zrobiła, dzieci, kobiety i mężczyźni, których katował, bo lubił, także nie...

\*

Antoni Leszeński leżał na łóżku w sypialni swojego mieszkania i modlił się. Wiedział, że oto sprawiedliwości staje się zadość. Adolf Kuchta skonał, ale ta śmierć nie była wybawieniem. Właśnie zaczynała się zapłata za całe zło, jakiego ta bestia się dopuściła.

Nie było mu Kuchty żal. Nikt go nie zmuszał do ćwiartowania polskich dziewcząt. Przyłączył się do Ukraińców z własnej woli. Równie ochoczo zgłosił się na Rakowiecką, prosząc o posadę kata. Jak jemu podobni lubił znęcać się nad bezbronnymi ofiarami. Zadawanie cierpienia, poniżanie, katowanie dzieci było sensem jego parszywego istnienia. Lecz za każdą przyjemność kiedyś wystawia ci rachunek. Bóg właśnie to robił. W tej chwili i aż do końca istnienia, które bynajmniej nie zaczynało się i nie kończyło na tym świecie, Kuchta będzie zbierał to, co posiał. Zło powraca. I całe szczęście. Bo w jaką sprawiedliwość można wierzyć, jeśli nie w Boską? Przecież nie w ludzką...

Antoni modlił się.

Czarne dotychczas niebo zaczęło szarzeć. Nadchodził i jego czas. A przecież tak bardzo pragnął... Obiecano mu...

W drzwiach cicho zgrzytnął klucz. Zamek odskoczył ze szczękiem. Antoni uniósł się na łokciach, a słysząc lekkie, ciche kroki w korytarzu, opadł na poduszkę z westchnieniem ulgi i wdzięczności. Jak mógł zwątpić w Boskie miłosierdzie? Najwyższy dotrzymuje słowa!

Gabrysia wsunęła się do sypialni, a widząc szeroko otwarte oczy ojca, szukające jej spojrzenia, dopadła łóżka, uklękła, chwyciła dłoń Antoniego i przycisnęła do ust.

– Zdążyłaś, córeńko – wyszeptał z nieskończoną czułością, głaszcząc ją po policzku.

– Dlaczego wypisałeś się ze szpitala? – odrzekła z wyrzutem. – Jesteś

jeszcze osłabiony! Tak mi powiedział doktor! Wracasz tam, a ja już ciebie nie opuszczę, dopóki nie wyzdrowiejesz...

– Gabrysiu... – Ton jego głosu sprawił, że umilkła. Nagle ujrzała wyostrome rysy twarzy, gasnące oczy, pierś unoszącą się w coraz wolniejszym, coraz płytszym oddechu.

– Tatuniu? Tato! Nie opuszczaj mnie! Nie dochodź! Jeszcze nie teraz! Wytrzymaj... wezwę pogotowie... – Telefon wypadł jej z drżących rąk. Chciała go podnieść, ale zatrzymała ją dłoń ojca.

– Córeńko, przyszedł mój czas. Dotrwałem chwili, gdy jesteś bezpieczna. Ty i Wiktor. Śmierć jest dla mnie wybawieniem... od bólu i strachu. Prosiłem Boga tylko o to, by pozwolił mi po raz ostatni ciebie zobaczyć. Pożegnać się.

Uniósł się i ostatkiem sił przycisnął do piersi znieruchomiałą z rozpacz kobiety. Objęła go ramionami tak mocno, jakby w ten sposób mogła go zatrzymać po Tej Stronie.

– Żegnaj, Gabrysiu. Bądźcie szczęśliwi. Ty i wszyscy, których kochasz... Uśmiechnął się po raz ostatni, wreszcie spokojny, i zgasł.

\* <http://wmeritum.pl/362-sposoby-upa-mordowanie-polakow/33331>.

## ROZDZIAŁ XIV



Pogrzeb Kuchty, to znaczy prokuratora w stanie spoczynku Józefa Kuchcińskiego, odbył się z udziałem samych grabarzy. Odcięto go jeszcze przed świtem. Nagranie z kamery monitoringu nie pozostawiło wątpliwości: samobójstwo, za to pozostawiło kilka fotek, które ukazały się w brukowej prasie. W co zaniejszych gazetach pojawiły się nekrologi.

Zasłużonego chowano wśród równie zasłużonych jak on, podczas gdy duchy jego ofiar błagały o pamięć z zasypanych studni, bezimiennych mogił, masowych grobów...

Jedno rzucało się w oczy: oprócz grabarzy w ceremonii pochówku tak znakomitej osobistości nie uczestniczył nikt. Zupełnie nikt. Czy jednak kogokolwiek, kto miał Boga w sercu, mogło to dziwić? Czy świat po tym, jak Kuchta szczeł, stał się lepszy? Bynajmniej. Dziś takich bestii jest coraz więcej. I to nie tylko gdzieś tam, w dzikich krajach, ale tuż obok, w mieszkaniu obok, w sąsiednim pokoju. Są okrutne i podłe. Tak samo bezkarne, nie liczą się z niczym, nie boją się nikogo. Tyle że posługują się nie siekierami czy pięciopalczastym pejczem, a internetem. Znęcają się nad upatrzoną ofiarą, która nie uczyniła im niczego złego. Po prostu lubią zadawać ból, pławią się w swych megamocach niszczenia, dostają orgazmu, gdy ofiara cierpi, a najwyższym osiągnięciem tych bestii jest zaszczucie jej na śmierć.

Ale wszystko ma swoją cenę. Oprawcy nie wiedzą, że za każdą łzę tych, których krzywdzą, kiedyś zapłacą. Nie tutaj, nie w swoim żalonym istnieniu, ale kiedyś zapłacą. Bóg nie lubi, jak mu się pluje w twarz...

\*

Tego samego dnia co jego kat na cmentarzu Powązkowskim obok matki, żony i córki spoczął Antoni Leszeński, ale on był żegnany przez tych, którzy go szczerze kochali, szanowali, a dziś, w ten smutny mglisty poranek, także opłakiwali. Gdyby ten skromny, cichy człowiek widział tłumy, które przyszły na jego pogrzeb, nie wierzyłyby własnym oczom. Sąsiedzi z Żoliborza... Przyjaciele jeszcze z Powstania... Ci, którzy przeżyli katownię na Rakowieckiej... Sklepiarze z bazaru, gdzie od dziesiątków lat robił zakupy... Wydawcy, którzy drukowali jego tłumaczenia... Nie uwierzyłyby własnym oczom, gdyby ujrzał, ilu ludziom zapadł w serca. Odszedł „Wilczek”. Ten, który nigdy nie ugiął się przed bestiami z UB...

Wiktor, Patryk i Marcin byli tutaj, z Gabriellą, nad grobem jej ojca. Julia

i Majka stały po obu stronach przyjaciółki, trzymając ją za ręce. Wszystkich przepełniała rozpacz. Odszedł dobry, prawy człowiek, skrzywdzony za życia, jak tylko można kogoś skrzywdzić. Ale w tej rozpaczce była również ulga, bo cierpienie Antoniego wreszcie dobiegło końca. Umarł w ramionach kochającej go córki, zdążył ją pobłogosławić, a co najważniejsze, odchodził, wiedząc, że jest bezpieczna.

– Nie chcę wracać na Bielany – odezwała się Gabriela po pogrzebie.

Była cieniem dawnej siebie. Przez trzy dni, które minęły od śmierci ojca, sama wyglądała na półżywą. Przyjaciółki trwały przy niej dzień i noc.

– Zamieszkaj ze mną – poprosił Wiktor.

Pokręciła głową.

– Chcesz wrócić... tam? Na Żoliborz? – odezwała się Julia, patrząc na przyjaciółkę ogromniejącymi oczami.

Ona sama już chyba nigdy nie pojawi się w tej dzielnicy. A na pewno nie z własnej woli. Niechcący w jakimś brukowcu zobaczyła zdjęcie dyndających na latarni zwłok, z zamazaną twarzą, ale i tak widok Kuchty prześladował ją we dnie i w nocy. O nie, nie, Żoliborz będzie omijać z daleka, chyba że Gabrysia uprze się, by tam zamieszkać. Służbówka po panu Antonim należała teraz do niej, a Patryk na pewno wyrwie od państwa polskiego dom Leszeńskich, który również odziedziczy Gabriela. Jeśli zechce zamieszkać w willi, która po remoncie będzie naprawdę piękna, nikt nie będzie się sprzeciwiał.

– Leśna Polana jest moja, tak? – usłyszała cichy głos przyjaciółki. – I nikt mi już nie zagraża? Tam właśnie chcę jechać. Teraz.

– Gabryna, litości! – odezwała się Majka. Miała jeszcze oczy zaczerwienione od łez, ale gdy dochodziła do głosu odpowiedzialność za przyjaciół, jej własny ból schodził na dalszy plan. – W tej chałupie nie da się mieszkać! Tam nie ma bieżącej wody... jest ciemno i brudno... biegają szczury, myszy i pająki...

– Wysprzątam. Wezmę ze schroniska kota. I psa – odparła Gabriela pustym, beznamietnym głosem. – Możecie albo mi pomóc, albo odejść. Nie pozwolę się tutaj zatrzymać.

– Oczywiście, że ci pomożemy! – odezwała się natychmiast Julia. – Tylko... to straszne! – Rozpląkała się tak, jakby to był pogrzeb Gabrieli, a nie jej ojca. – Jak chcesz mieszkać na takim odludziu? Umrę ze strachu o ciebie!

– Nie będzie sama – rzekł ostro Wiktor. – Chyba nie myślicie, że zostawię ją ot tak, na pastwę losu? Chcesz jechać do Leśnej Polany, odwiezę cię choćby zaraz. Jeszcze dziś, do wieczora, przygotujemy jeden z pokoiów. Mieszkaliśmy w gorszych warunkach, ty też dasz sobie radę.

Patryk posłał bratu wielce mówiące spojrzenie:

„Chyba żartujesz... My mieszkaliśmy we trzech! I w mieście, a nie w lesie! Poza tym nie mieliśmy wyboru! Gabriela ma nas, ma nasze pieniądze – jeżeli nie

chce wracać do domu, niech mieszka w Bristolu! Chyba nie narazisz jej na niebezpieczeństwo po tym, co oboje przeszliście!?”

Wiktor położył mu dłoń na ramieniu i uściśnął uspokajającym gestem, który podziałał kojąco nie tylko na Patryka. Także Majka z Julią odetchnęły. To, że Gabrysia zamieszka w Leśnej Polanie, nie znaczy, że pozostawią ją samej sobie, prawda?

\*

Gdy dwa samochody – czerwona mazda z trzema kobietami i srebrne volvo z braćmi Prado – wjechały na polanę, otoczoną wiekowymi dębami, czas stanął w miejscu.

Wysiadali z aut i, mimo dramatycznych przeżyć ostatnich dni, odzyskiwali spokój ducha, jakby to miejsce, ciche i słoneczne, oddalało przeszłość od przyszłości, przenosiło ją w miejsce, gdzie powinna się znajdować: do wspomnień. Złych, dobrych, lepszych, gorszych, wspaniałych, ale już tylko wspomnień. Tutaj, na Leśnej Polanie, liczyła się chwila obecna. Szum drzew, otaczających to magiczne miejsce, śpiew ptaków, skrzywienie okiennicy na piętrze, odległe poszczekiwanie psów.

Gabriela usiadła na ławeczce pod lipą, zwróciła twarz ku słońcu i zamknęła powieki, czując, jak łkanie w duszy powoli milknie, a ból po stracie ojca łagodnieje. Nie mija, bo szybko nie minie, ale oprócz rozpaczony pojawia się w sercu wdzięczność, że tata wreszcie może odpocząć po długim, pełnym cierpienia życiu.

Słyszała Majkę, Wiktora i Marcina, wymieniających się uwagami na temat opłakanego stanu Leśnej Polany. Chwilowo nie interesowały jej ich komentarze. Sama szybko i dogłębnie pozna swój dom, bo jak postanowiła, tak uczyniła: spakowała rzeczy w jedną walizkę – nie wyjeżdżała przecież na antypody – laptop cisnęła na samo dno, bo chwilowo robiła sobie przerwę w wypełnianiu tabelki, pierwszy raz od lat – wsiadła do mazdy, przyjechała tutaj i nie pozwoli się zabrać z powrotem do Warszawy. Tu zostanie.

Patryk z Julią pojechali do Pułtuska kupić materiały i narzędzia niezbędne do przeprowadzenia szybkiego remontu, żeby jeszcze dziś dało się zamieszkać w choć jednym pokoju. Wracając, mieli zrobić zakupy na cały tydzień, by Gabrysia nie umarła z głodu. Zupełnie jakby się nie domyślała, że ot tak jej tutaj nie zostawią, że na pierwszą noc wprosi się Majka, na drugą Julia, na trzecią Wiktor... Marcin z Patrykiem będą jej pilnowali z większej odległości, bo nie wypadało, by mieszkali pod jednym dachem z obcą kobietą. Jakoś nikt nie pomyślał, że Gabrysia chciała po prostu być sama. Że po to uciekała z Warszawy – również przed przyjaciółmi – by pobyć sama ze sobą. Nikt jej też o to nie zapytał, jakby jej zdanie zupełnie się nie liczyło.

Oczywiście przyjaciele mieli dobre intencje: martwili się o nią, troszczyli,

wreszcie obawiali o jej bezpieczeństwo. Ale dobre intencje to czasami za mało. Czasem bardziej potrzebne jest zrozumienie...

– Ty sobie tutaj odpoczywaj, kochana, a my zabieramy się do pracy – usłyszała stanowczy głos Majki i niechętnie uniosła powieki.

Przyjaciółka podwijała rękawy białej bluzki, zupełnie nienadającej się na ubranie robocze.

„Dobrze, że włożyła dzinsy i adidasy, a nie obcisłą spódnicę i szpilki”, pomyślała Gabrysia i natychmiast zawstydziała się tej myśli.

Majka nie zasługiwała na taką złośliwość. Była dobrym, szlachetnym człowiekiem. Przyjaciółką przez duże P, która będzie wynosić śmieci i gruz dłońmi zupełnie nienawykłymi do fizycznej pracy. Połamie wypielegnowane paznokcie, obetrze kciuk do krwi, rąbnie głową we framugę, aż ją zamroczy, i nie piśnie słowa skargi. A wszystko to dla Gabrysi.

Właśnie wracali Patryk z Julią. Z bagażnikiem pełnym farby, wałków, wiader, rozpuszczalników... Oni też za chwilę z aktorki i biznesmena zmienią się w brygadę remontową. I opuszczą plac boju dopiero wieczorem, zmęczeni, ale szczęśliwi i zadowoleni z tego, co w pół dnia udało im się dokonać: mały pokój od frontu zostanie pomalowany, przewietrzony i wyposażony – skromnie, lecz wygodnie: w umywalkę, lodówkę, kuchenkę, stół, krzesła, szafę na ubrania, kredens i oczywiście wygodne łóżko.

A to wszystko bez udziału właścicielki domu, która przyglądała się krzątaniu przyjaciół, jakby przybyła z innej planety. Z życzliwym zainteresowaniem.

„Chciecie, to remontujcie. Ja marzę tylko o tym, by wreszcie zapanowała tu cisza” – mogliby odczytać na jej twarzy, lecz byli zbyt zajęci uszczęśliwianiem jej na siłę.

– Koniec na dziś – oznajmiła wreszcie z ulgą Majka.

Przyjaciółka opadła na ławkę obok Gabrysi i upiła duży łyk wody z trzymanej w ręku butelki.

– A właśnie, zapas wody masz w środku, w sieni, gdzie jest chłodno.

Gabriela skinęła tylko głową.

Majka nagle rzuciła się na nią, objęła ramionami, zaczęła obcałowywać po policzkach i wołać:

– Ależ nie dziękuj tak bardzo! To był naprawdę drobiazg! Całodniowa harówka dobrze nam zrobiła! Puszczaj, szalona kobieto, bo mnie udusisz z tej wdzięczności! – i puściła Gabrielę tak nagle, jak ją pochwyciła.

Ta przez chwilę przyglądała się Majce oniemiała ze zdumienia i nagle zaczęła się śmiać.

– Masz rację, Majuś, przepraszam. Jestem niewdzięcznica, bo nie dość, że wam nie pomagam, to jeszcze podziękować nie potrafię, ale... – umilkła, czując



dławienie w gardle. – Tak bardzo chciałabym już zostać sama.

– Od kiedy cię znam, zawsze chciałaś być sama, Gabryniu – odrzekła Majka.  
– A znam cię od psychiatryka. Lepiej skończ z tą samotnością, bo znów tam wrócisz. A tego byśmy nie chciały, prawda?

Musiała przytaknąć.

– Ja z Julią wracam do Warszawy. U mnie okno wstawili, ale Jula może pobyc jeszcze w twoim mieszkaniu?

– Oczywiście. Mieszkań i domów ci u mnie dostatek.

– Patryk zabiera ją dzisiaj na kolację. Myślisz, że coś z tego będzie...? –  
Obie spojrzały na Julię, której Patryk ze śmiechem próbował zmyć kropki po farbie z twarzy. Oganiała się od niego, piszcząc niczym nastolatka, a on biegał za nią dookoła studni. – Wyglądają razem na szczęśliwych... Jakby naprawdę odnalazły się dwie połówki jabłka...

– Ty i Marcin również – zauważyła Gabriela. – Wodzi za tobą tak rozkochanym spojrzeniem...

Majka zarumieniła się i uśmiechnęła. Ona też przepadła. Pierwszą randkę, tę we włoskiej restauracji, przegadali. Właściciel musiał ich grzecznie wyprosić po północy, bo naprawdę chciał już zamknąć, a oni zupełnie stracili poczucie czasu. Marcin odwiózł ją do hotelu, pocałował czule na dobranoc i odjechał taksówką.

Mieli się spotkać następnego dnia, ale nad ranem nadeszły dwie wiadomości: jedna o śmierci Kuchty, druga o odejściu pana Antoniego. I skończył się czas randek. Aż do dzisiaj. Dziś podczas remontu oboje wodzili za sobą wzrokiem, aż powietrze iskrzyło. I oboje nie mieli wątpliwości, jak, czy raczej gdzie, się to skończy.

Wiktor patrzył to na jedną parę, to na drugą, po czym zwracał tęskne spojrzenie na samotną postać, spoczywającą na ławce pod lipą. Serce wyrywało mu się do niej, ale rozum powtarzał: bądź cierpliwy, Gabriela potrzebuje czasu.

Lecz dzień dobiegał końca. Wiktor musiał z Gabrielą porozmawiać. Jeszcze tylko pożegna braci, Majkę i Julię i...

Czerwona mazda z całą czwórką zniknęła wreszcie.

Na polanie zapadła tak upragniona przez Gabrielę cisza.

Wiktor usiadł na trawie, oparł się plecami o pień lipy i w zamyśleniu żuł koniuszek źdźbła.

– Nie bój się o mnie – odezwała się wreszcie.

– To niemożliwe – odparł bez emocji, po prostu stwierdzając fakt. – Ledwo się odnaleźliśmy, odzyskaliśmy spokój i poczucie bezpieczeństwa, a ty narażasz się na... Bóg jeden wie co. To naprawdę pustelnia. Gdy ktoś włamie się w nocy do domu, nikt twojego krzyku nie usłyszy. Mogą cię zgwałcić albo zamordować, a ty mi mówisz: nie bój się? – Prychnął i pokręcił głową.

– Chcę zostać sama.

– Wiem. Tylko nie wiem, jak uszanować to życzenie i jednocześnie cię chronić.

– Zarygluję drzwi, zamknę od środka okiennice i będę spała z nożem pod poduszką. Czy to cię uspokoi?

Posłał jej tylko wiele mówiące spojrzenie.

– Uspokoi mnie, gdy powiesz: zostań, Wiktor, ze mną. – Wstał, usiadł obok niej, sięgnął do swej szyi, zrywając łańcuszek. – Ten pierścionek nadal na ciebie czeka – rzekł, otwierając jej dłoń i kładąc na niej klejnocik z dwoma serduszkami. Gabriela znów poczuła lży cisnące się do oczu. – Przyjmij go. – Delikatnie zamknął jej dłoń na pierścionku.

Uniosła na Wiktora oczy pełne łez. Dotknęła jego policzka.

– Potrzebuję trochę czasu dla siebie – wyszeptwała. – Chcę być wolna. Od nikogo niezależna. I żeby nikt nie potrzebował mojej opieki. Rozumiesz?

– Dopóki żyje choć jedna istota, która cię kocha, zawsze będziesz komuś potrzebna – odparł łamiącym się głosem. – Zatrzymaj pierścionek, Gabriela, a na noc zarygluj drzwi i okiennice, trzymaj pod ręką nóż. W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać. Wystarczy jedno twoje słowo, a wrócę.

– Wiem, Wiktor. Dziękuję. A teraz chcę zostać sama.

To nie były słowa, na które czekał... Za którymi tęsknił przez dziewięć lat... O których marzył... Widziała, jak zadają mu ból, jak blask w jego oczach gaśnie, jak opadają ramiona, lecz... nie miała zamiaru okłamywać ani jego, ani siebie.

– Masz numer mojego telefonu, ten zastrzeżony? – Jeszcze nie chciał odchodzić. Jeszcze pragnął spędzić z nią choć parę chwil.

– Mam. Jedź już. Zanim zrobi się zupełnie ciemno.

Wstał gwałtownie i odwrócił się w stronę samochodu, by nie widziała wyrazu jego twarzy w tej chwili. Rozpaczy w oczach.

– Przepraszam – szepnęła, ale już jej nie słuchał.

Wsiadł do srebrnego volvo i odjechał, dając Gabrieli to, czego pragnęła bardziej od jego miłości: wolność.

Właśnie dlatego, że ją kochał.

## ROZDZIAŁ XV



Leżała bez ruchu we własnym łóżku – po raz pierwszy tak właśnie czuła i tak myślała: we własnym łóżku pod własnym dachem – i rozkoszowała się tym uczuciem, panującą dookoła ciszą i ciemnością nocy za oknem. Nie zamknęła okiennic, chociaż przyrzekła to Wiktorowi, i teraz patrzyła na granatowe niebo, usiane miriadami gwiazd tak jasnych i bliskich, jakby zaraz miały spaść na ziemię, prosto w nadstawione ręce.

Wstała po cichu, chociaż nikogo nie mogła obudzić, owinęła się kołdrą i wyszła na zewnątrz, usiadła na schodkach ganku, oparła się o kolumnę i teraz, gdy była jeszcze bliżej rozgwieżdżonej nieskończoności, zanurzyła się w ciszę jeszcze głębiej, we własne myśli również.

Ból po utracie ojca był straszny, jeszcze większy żal, że Antoni nie może być teraz przy niej i cieszyć się wraz z nią spokojem, za którym tak bardzo tęskniła.

Zaczęła cicho płakać, bo do tej pory – otepiała i zszokowana – nie oplakała Antoniego. Od chwili jego śmierci aż do teraz trwała z godziny na godzinę, pozwalając za siebie decydować: Patryk zajął się sprawami prawnospadkowymi, przyjaciółki zorganizowały pogrzeb, Wiktor po prostu przy Gabrieli trwał. Była im wszystkim za to nieskończenie wdzięczna. Ale teraz nadszedł wreszcie czas, by Gabriela decydowała o sobie i swojej przyszłości. Sama. Ona będzie podejmowała decyzje i ona poniesie ich konsekwencje. Uczucie wolności zapierało dech w piersiach. Strach przed odpowiedzialnością także. Ale to pierwsze przeważało...

Coś krzyknęło w oddali. Przejmujący lament zwierzęcia pozbawianego życia. Kobieta wstrzymała oddech. Wzdrygnęła się. Jakiś czas później niedaleko od domu inna, znacznie potężniejsza istota zaczęła przedzierać się przez gęste krzaki jaśminu. I Gabriela ponownie wstrzymała oddech, czując na plecach nieprzyjemny dreszcz strachu. Na polanę wybiegło stadko dzików. Znieruchomiła. Jak długo siedziała wmurowana w schodki, czekając, aż niezwracające na nią uwagi zwierzęta przestaną buszować dookoła i znikną w zaroślach po przeciwnej stronie polany? Nie miała pojęcia. Lecz gdy w końcu odeszły, miśnie miała sztywne od bezruchu, krzyż aż piekł.

Pokręciła głową – już rozumiejąc, dlaczego Wiktor tak się o nią bał – po czym wróciła do domu, ryglując za sobą drzwi i zamykając okiennice. Nie przed dzikimi zwierzętami, a przed złymi ludźmi.

Zasnęła przed świtem.

Dwie godziny później obudził ją telefon.

Półprzutomna sięgnęła po komórkę i domyślając się, kto dzwoni o szóstej

rano, odebrała połączenie.

– Żyjesz – stwierdził z ulgą Wiktor.

– Żyję, kochany, ale... będę miała do ciebie prośbę, a nawet kilka – odparła Gabrysia, trąc oczy z niewyspania.

– Co tylko zechcesz – w jego głosie było tyle nadziei... aż żał, że musiała ją zgasić.

– Potrzebny mi pilnie płot. Wysoki, trudny do sforsowania.

– Zaraz się tym zajmę...

– Jest szósta rano! Daj ludziom żyć!

– Zajmę się tym, powiedziałem – uciał stanowczo. – Czy ktoś... cię w nocy niepokoił?

– Stado dzików – zaśmiała się. – Spróbuję połączyć się z internetem i znaleźć płot, jaki mi się podoba, dobrze?

– Jasne.

– To mamy z głowy. Chcę cię jeszcze prosić o pożyczkę na niewielkie, nierzucające się w oczy auto. Oddam, gdy tylko Patryk upłynni oba mieszkania.

– Nie musisz mi niczego oddawać. Ani za płot, ani za...

– Wikuś, za płot nie zamierzam zwracać ci pieniędzy, bo to nasz wspólny płot, otaczający nasz wspólny dom, który – mam nadzieję – wspólnie wyremontujemy. Ale samochód chcę mieć własny.

Zachwyciły go słowa o wspólnym domu. I dawno niesłyszane nuty w głosie Gabrysi. Zrozumiał, że ona go wczoraj nie odtrąciła, nie odrzuciła jego miłości, po prostu chciała być szczęśliwa na swoich warunkach.

I była szczęśliwa.

Przyjaciele, którzy w każdą sobotę przyjeżdżali do Gabrieli w odwiedziny – a weszło to wkrótce wszystkim w zwyczaj – ze zdumieniem patrzyli, jak ta przytłoczona życiem kobieta rozkwita z tygodnia na tydzień.

Najpierw zajęła się ogrodem. Gdy tylko cała polana została otoczona płotem z drewnianych sztachet, pomalowanych na ładny, mahoniowy kolor, a Wiktor skombinował forda fiestę, niewielkiego i nie najnowszego – o to Gabrysia szczególnie prosiła, żeby nie kusić losu – wsiadła do samochodu i pojechała do Pułtusa. Wróciła z pełnym bagażnikiem roślin i szczęściem w oczach.

Wiktor, który razem z robotnikami przygotowywał harmonogram remontu, zobaczył to szczęście i nie mógł się powstrzymać od pochwycenia kobiety w ramiona i długiego, coraz bardziej namiętnego pocałunku. Ujęła jego twarz w dłonie i zatraciła się w tej namiętności. W dawno zapomnianym uczuciu pożądania. Wiktor przyciągnął ją tak silnie, że stali się niemal jednym ciałem. Całował ją niemal z rozpaczą, bo wiedział, że niczego więcej oczekiwać nie może.

Mylił się.

Wokoło byli ludzie, owszem, ale już las należał tylko do nich.

– Chodź – szepnęła, odrywając się od niego, chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Najpierw ścieżką, biegnącą obok domu, potem coraz głębiej w leśną knieję. Wyszli na niewielką polankę, ukrytą przed resztą świata wśród gęstych, ciemnozielonych cisów.

Gabriela bez słowa pociągnęła ukochanego mężczyznę na miękki mech. Wsunął palce w jej włosy, zajrzał głęboko w pociemniałe źrenice. Znalazł w nich te dwa uczucia, które wypełniały jego serce: czystą miłość i pragnienie. Zaczął całować usta kobiety, jedną ręką nadal przytrzymując jej głowę, drugą pieszcząc ją delikatnie i niespiesznie.

Uniosła się odrobinę, by mógł zdjąć z niej sukienkę. Potem majteczki. Pomogła mu zsunąć spodnie, rozpiąć koszulę. Przez chwilę leżeli wtuleni w siebie, chłonąc ciepło i bliskość swoich ciał. Uniósł głowę, spojrzał na nią z taką miłością i zachwytem... Nagle jego oczy pociemniały. Dotknął opuszką blizny po kuli. Próbowwała zakryć szpetny znak dłonią, ale przytrzymał ją, pochylił się, pocałował to miejsce i szepnął:

– Przepraszam.

Położyła mu palec na ustach, pokręciła lekko głową, wybacząc bez słów, po czym przeciągnęła palcem po jednej z pięciu srebrnych blizn, tnących jego ramię. I teraz ona go całowała.

Tego było dla Wiktora za wiele. Dotyk jej ust na nagiej skórze... jej zapach, tak znany, tak utęskniony... pod dłonią bicie serca, które w tej chwili, a może już na zawsze, biło tylko dla niego... Tego było za wiele, by mógł dłużej powstrzymać palące pragnienie. Rozsunął jej uda, zaczął pieścić płeć, ale była gotowa na jego przyjęcie. Przyciągnęła go z całych sił i w następnej chwili krzyknęła z rozkoszy, gdy wszedł w nią, mocno, głęboko, jednym długim pchnięciem.

Oddawała się temu mężczyźnie z taką samą ufnością jak dziewięć lat temu. Kochali się tak pięknie, jakby przepaść między nimi nigdy nie istniała. Jakby nigdy siebie nie poranili, nigdy się nie rozstali. Pojękiwała cichutko w rytm jego ruchów, on szeptał słowa miłości. I przyspieszał. Pchnięcia były coraz silniejsze i głębsze. Uniosła biodra, by mógł brać ją jeszcze mocniej. Objęła jego lędźwie udami, przyciągnęła jego usta i zaczęła całować w rytm, jaki on narzucił. Połączyli się w pędzie ku spełnieniu. Oboje osiągnęli je w tej samej chwili. Nie mogła powstrzymać krzyku. On jęknął przeciągle, czując tak obezwładniającą rozkosz, jakiej nigdy nie zaznał.

Opadł na nią, otulił ramionami. Scałował łzy z kącików jej oczu. A potem leżeli długo, słuchając bicia własnych serc.

Las pochylał się nad nimi w błogosławieństwie...

Następne dni i tygodnie upłynęły w mgnieniu oka.

Wiktor co rano wiózł do Leśnej Polany robotników i razem z nimi, jak za dawnych czasów, pracował przy remoncie domu. Gabriela w tym czasie zajmowała się ogrodem, poznawała otoczenie, a także wypełniała tabele, bo znów nabrała chęci do pracy, a gdy podliczanie niekończących się kolumn liczb stawało się nieznośne, przebierała się we flanelową koszulę i stare dżinsy, podwijała rękawy i ruszała do pracy ramię w ramię z Wiktorem.

Koło południa oboje wymykali się do lasu, żeby daleko od domu, na małej, rozświetlonej słońcem polance, dawać rozkosz i ją brać. Szeptać „kocham cię” i słuchać tych słów.

Piękne to były chwile...

Mimo to Gabriela nie była gotowa, by zaprosić Wiktora do swego życia.

Tydzień po śmierci ojca rozmawiała o tym z Jerzym Masłowskim.

Zapisała się jak trzeba na wizytę w „Ukojeniu”, przyszła punktualnie, przywitała się z Monią, i doktor już prosił ją do gabinetu, uśmiechając się szeroko.

– Wyglądasz zupełnie inaczej niż ostatnio! – wykrzyknął z niedowierzaniem.  
– Jesteś smutna, ale świecisz własnym blaskiem! Odnalazłaś go, prawda? Spotkałaś się z Wiktorem?

Gabrysia skinęła głową, zarumieniona z radości.

– Tak. I... panie doktorze... on na mnie czekał przez wszystkie te lata. Jest sam, nigdy nie związał się z żadną kobietą. Powiedział, że nie wyobraża sobie życia z kimś innym niż ja – zawiesiła głos.

Wyciągnęła sześć tysięcy, które pożyczyła od Wiktora, by móc spłacić dług, i położyła je na stoliku.

– Dziękuję za te pieniądze. Pomógł mi pan odzyskać nadzieję. Nie wiem, co by się stało, gdyby dobre anioły nie postawiły pana na mojej drodze.

– Cieszę się, że tak myślisz, ale wierz mi, koleżanko, że jeśli nie mnie, to znalazłyby kogo innego. Nie jesteś sama. Ale mimo spotkania po tylu latach swej miłości coś cię trapi.

– Mój tatuś zmarł niedawno – odparła cicho.

– Och... bardzo mi przykro. Współczuję ci tej straty.

– Jest jeszcze coś... – Uniosła na męczyznię pociemniałe spojrzenie. – Ja nie chcę być z Wiktorem.

Na twarzy doktora odmalowało się zaskoczenie.

– On nie chce przyjąć do wiadomości tego, że na razie pragnę być sama.

Masłowski zmarszczył brwi w zamyśleniu i rzekł:

– Właściwie to zrozumiałe. Nie widzieliście się tyle lat. Zostawił cię bez słowa wyjaśnienia. Teraz wraca, jak gdyby nigdy nic, wierząc, iż wierna Penelopa na niego czeka...

– Właśnie tak! Ale we mnie nie ma złości! I tylko na razie nie chcę z nim być! Po prostu... potrzebuję chwili dla samej siebie. Muszę poukładać sobie

w ciszy i spokoju wydarzenia ostatnich dni, miesięcy i lat. Gdy zrobię porządek ze sobą i swoją przeszłością, będę gotowa na nowe życie. Z Wiktorem – dokończyła stanowczo.

Tylko czy Wiktor zechce poczekać?

Miała co do tego pewne obawy. Nie rozumiał, nie chciał zrozumieć, dlaczego Gabrysia mu to robi. On też cierpiał przez ostatnie lata. Również odrzucał miłość, a przecież mógł wyciągnąć rękę po pierwszą lepszą kobietę i miałby to, za czym tęsknił: dom, rodzinę, żonę, dzieci... Mimo to czekał dnia, aż będzie mógł po raz drugi poprosić Gabrielę o rękę. A ona nie chciała o tym rozmawiać.

Któregoś dnia ledwo się pohamował, by nie rzucić kilku gorzkich słów.

„Kochać się ze mną na polance możesz, ale zostać moją żoną już nie?!”

Na szczęście zdołał się pohamować.

Gdy remont na parterze dobiegł końca, Wiktor po raz ostatni zapytał Gabrielę, czy jest pewna, że chce tutaj zostać. Przytaknęła.

Nie pozostało mu nic innego, jak wrócić do Warszawy. Praca, ciężka praca, zawsze pozwalała mu zapomnieć...

\*

Patryk przygotowywał dwie duże umowy: sprzedaży działki na Mokotowie i kupna pałacu na Miodowej. Wieczorami, zanim padł na łóżko w swoim mieszkaniu, wstępował na Bielany, do Julii. Tej samej, która parę tygodni temu uciekała przez balkon przed psychopatą, a teraz, będąc kochana przez prawdziwie dobrego człowieka, po prostu rozkwitła.

Już wcześniej była skończoną pięknoscią. Jej delikatna, słowiańska uroda przyciągała męskie spojrzenia. Gdyby zachowywała się tak wyzywająco jak Majka, mogłaby przebierać i wybierać, ale Julia była nieśmiała. I dokonywała niewłaściwych wyborów. Aż do teraz. Patryk Prado dodał jej pewności siebie. Na castingi wchodziła z uniesioną głową, uśmiechnięta, promieniejąca wewnętrznym światłem. A kamera taką promiennosc uwielbiała.

Julia zawarła pierwszy duży kontrakt: stała się twarzą znanej i lubianej marki kosmetyków dla młodych kobiet. Posypały się propozycje małych ról w serialach. Za radą Patryka czekała jednak na coś ciekawszego. Teraz nie spieszyło się jej nigdzie. Miała gdzie mieszkać, miała co jeść. Była szczęśliwa.

Związek Majki i Marcina przypominał rollercoaster. Na przemian to się kochali, to nienawidzili. Jeśli kochali, to do utraty tchu, jeżeli nienawidzili, to tylko po to, by mieć pretekst do pogodzenia się i... kochania do utraty tchu. Patryk i Julia przestali za tą dwójką nadążać gdzieś w połowie września. Gabrysia z Wiktorem tylko się uśmiechali z pobłażaniem, nie biorąc skarg Majki na Marcina i odwrotnie z należytą powagą. W związku z tym Majka i Marcin natychmiast się godzili, by stworzyć wspólny front przeciwko przyjacielom. Naprawdę dobrze się bawili

w swoim towarzystwie!

W każdą sobotę spotykali się całą szóstką w Leśnej Polanie.

Na ganek albo na trawnik przed domem, o ile pozwalała na to pogoda, wynoszono dębowy stół, nakrywano go śnieżnobiałym, lnianym obrusem i zastawiano piękną porcelaną z Ćmielowa. Panowie ruszali do walki z grillem, a dziewczęta plotkowały, układając na półmiskach sałatki, sery i wędliny. Potem wszyscy razem zasiadali do stołu jak jedna kochająca się rodzina, bo zaczęli taką tworzyć.

Rodzina owa niespodziewanie zaczęła się powiększać.

Najpierw przybłąkał się kot. Gabriela znalazła go w środku lasu. Po tym, jak ufnie do niej przybiegł, jak zaczął się łąsić, przeszczęśliwy, że znalazła go jakaś ludzka istota, stwierdziła ze smutkiem, że ktoś musiał go wywieźć tak daleko, by nie odnalazł drogi do domu, i tu zostawić.

Zabrała go ze sobą, nakarmiła, kupiła płyn przeciw pchłom i wykapała znajdę, który – bojąc się protestować – znosił wszystkie zabiegi z nieprzerwanym mruzeniem. Gdy wysechł po kąpieli okazał się całkiem ładnym stworzeniem, które od razu pokochała Julia.

– Gdzie mój pieszczonek? – zapytała tydzień później, a kot, usłyszawszy jej głos, przybiegł tak szybko, że mało łapek nie pogubił.

To określenie do niego przylgnęło. Zaczęli go nazywać „Pieszczonekiem Julii”.

Tydzień później gości powitało już od bramy basowe szczekanie.

– O rany! – wykrzyknęła Majka, która pierwsza wjechała do środka. – Gabriela kupiła szczekającego cielaka!

Rzeczywiście pies – bo to był pies, nie cielak, jak z naciskiem powtarzała Gabrysia – przypominał nie tylko umaszczeniem, ale i niezdarnością nowo narodzone cielę. Chude jak patyki, długie łapy ciągle myliły kolejność. Zupełnie jakby każda grała we własnej drużynie, żadna zespołowo. Psiak potykał się o nie, wywracał co chwila, ale i tak był szczęśliwy.

– Skąd go wytrzasnęłaś? Jest zabójczy! – Majka pokochała psiaka od pierwszego wejrzenia, tak jak Julia kota. – Cielakopies z sierścią jak u lamy. I te uszy...! – Pomachała wielkimi jak naleśniki uszami zwierzaka, a on liznął ją po twarzy.

– To landseer z rodowodem – wyjaśniła Gabriela, przybierając urażony ton, ale oczy jej się śmiały. Ona też pokochała cielaczka, gdy tylko zobaczyła jego zdjęcie w internecie. – Ma wadę zgryzu, więc nikt go nie chciał. Nikt oprócz mnie. Pojechałam po niego we wtorek i dobrze, że mieliśmy niemal cały tydzień, bo nie zbliżyłabym się do biedaka wcześniej. Tak cuchnącego, zabiedzonego zwierzęcia jeszcze nie widziałam... Kapałam go ze cztery razy, by mógł w końcu wejść do domu.



– Jest puszysty jak ogon szopa – zauważyła Julia.  
– Ale nadal chudy. Nie dość, że był niedożywiony, to ciągle rośnie! Nie nadążam z napełnianiem misek!  
– Jak ma na imię? – Marcin wziął psiaka za przednie łapy i uniósł do pionu.  
– Rany, jest wyższy ode mnie! Ja się tak nie bawię! Jak ma na imię?  
– Cielak. Przecież widzisz – odparła Majka.  
– King, nie żaden cielak! – sprzeciwiła się właścicielka pociesznego stworzenia.

– Gabrina, widziałas ty kiedyś króla w czarno-białe łaty?  
– W żadne łaty nie widziałam, ale nie pozwolę zrobić z mojego obrońcy „pieszczoszka Majki”! Już wystarczy, że jednego zdrajcę hoduję! – To było do kota, który oczywiście jak wskoczył Julii na kolana, tak nie chciał zejść.

Pies i kot – można było przewidzieć, że w Leśnej Polanie się pojawią, ale gdy pod koniec października przyjechali jak zwykle w sobotę, a na powitanie wybiegł im... koń, oczywiście w czarno-białe łaty – tego było już za wiele.

Chichotom i docinkom nie było końca. Gabriela musiała już bronić nie tylko Kinga, ale i Dropsa – tak ku uciesze przyjaciół miał na imię jej nowy nabytek.

I tylko Wiktor nie przyłączył się do ogólnej radości. Zrozumiał bowiem, że Gabriela dokonała wyboru: tu zostaje. Na zawsze. To nie chwilowy kaprys, ale poważna decyzja. Szkoda tylko, że podjęła ją, nie pytając o zdanie Wiktora... Tym samym jemu nie dawała wyboru: jeżeli chciał wyjechać z Polski i wrócić do Stanów, wracałby sam. Jeśli zaś chciał mieć Gabrielę, to tu był ich dom.

Podczas obiadu kobieta szukała wzrokiem jego spojrzenia, ale on po raz pierwszy usiadł tak, by na nią nie patrzeć. Powiedzieć, że to Gabrielę zraniło, byłoby za mało. Przeraziła się!

Tak, dobrze zrozumiał jej przesłanie, myślała jednak, że Wiktor pragnie tego samego: szczęśliwej rodziny i domu pełnego miłości. Tego domu!

„Chyba nie postawisz mnie pod ścianą: Leśna Polana albo ja?!”, pytały zielone oczy, pociemniałe ze zmartwienia.

Ale Wiktor nie zamierzał Gabrieli do niczego zmuszać...

Chciała być sama – była sama.

Chciała mieszkać na odludziu – mieszkała.

Zechce zaprosić go na powrót do swojego życia – on wróci.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk łyżeczki uderzającej o kieliszek.

Podniósł oczy na Marcina.

– Słuchajcie, mamy dla was z Majką dwie niespodzianki! Jedna fantastyczna, druga jeszcze lepsza. Chociaż nie, ta pierwsza jest chyba najwspanialsza... Jak myślisz? – zwrócił się do Majki, która, nagle sploniona, utkwiała wzrok w swoim talerzu.

– Może nas uświadomisz co do tych niespodzianek i przegłosujemy, która

lepszą? – zaproponował Patryk, wzbudzając tym salwę śmiechu.

– Majka jest w ciąży i bierzemy ślub! – wypalił Marcin.

Gabrysia i Julia krzyknęły z zaskoczenia i radości.

– Jak to w ciąży? Który miesiąc? Nic po tobie nie widać!

Wiktor milczał, patrząc na Majkę. Patryk także, wbijając wzrok w talerz przed sobą, tak jak ona.

– Hej, nie cieszyście się? – Marcin obszedł stół i położył dłonie na ramionach obu braci. – Znalazłem kobietę, o której marzyłem. Bierzymy ślub. Za siedem miesięcy urodzi mi się synek albo córeczka. A moi bracia, zamiast otwierać szampana – milczą, jakbym ich tym osobiście obraził. Macie swoje kobiety. Żeńcie się z nimi, zamiast zazdrościć!

Tym razem Gabriela z Julią umilkły. Gabriela, bo nie chciała jeszcze wiązać się z Wiktorem, a Julia, bo Patryk nie poprosił jej o rękę. Nie miał nawet chyba takiego zamiaru. Nigdy nie rozmawiali o ślubie... Mówił, że ją kocha. Mówił, że pragnie z nią zamieszkać. Z nią być. Ale zapytać, czy chciałaby zostać jego żoną? Nie. Nawet się na ten temat nie zająknął. Co więcej: nie doszło między nimi do zbliżenia. Owszem, całował ją tak, jak nikt przed nim, ale gdy tylko próbowała zachęcić go do czegoś więcej – nie była przecież dziewicą! – on się wycofywał. Z trudem, bo z trudem, to musiała przyznać, odrywał się od jej ust i... zwykle wychodził, ledwie rzucając słowa pożegnania.

Patryk czuł jej ból, widział łzy, jakie rozbłysły w pięknych, zwykle radosnych oczach Julii, ale... czekał właśnie na tę chwilę. Na dzień, w którym Marcin dowie się o dziecku. Niemal na sto procent nie swoim, a całkiem prawdopodobnie, że swego brata. Patryka.

Powoli uniósł wzrok i spojrzał na Majkę, która uczyniła to samo, prosto w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie, przeniosła wzrok na Wiktora i zapytała powoli:

– Będziemy mieli dziecko. Nie cieszyście się?

– Nie wiedzieć skąd powiało chłodem.

Julia otuliła się ramionami.

Wiktor spojrzał w pociemniałe niebo i rzekł:

– Nadciąga burza...

## ROZDZIAŁ XVI



Reszta obiadu upłynęła w niezwykłym dla szóstki przyjaciół milczeniu. Każde zapadnięte było we własne myśli. Jedynie Marcin nie miał pojęcia, dlaczego nikt się nie cieszy tak, jak tego oczekiwał, i postanowił przy najbliższej sposobności zażądać od braci wyjaśnień. Owszem, swego czasu Wiktor miał z Majką na pieńku, ale wydawało się, że należy to do przeszłości. Coś tam sobie wyjaśnili, wybaczyli i przez ostatnie tygodnie sprawiali wrażenie, że naprawdę się lubią. Widocznie się mylił...

Po obiedzie Wiktor wstał i rzekł:

– Majka, mogę cię prosić o kilka słów na osobności?

Marcin odparł natychmiast:

– Czego od niej chcesz? Nie podoba ci się, że...

– Bardzo mi się podoba – przerwał mu Wiktor. – Jest naprawdę śliczna. Szczególnie teraz, gdy promienieje od niej to szczególne światło przyszyłej matki.

– Nie kpij z niej, bo dostaniesz po ryju! – wściekł się tamten.

Wiktor uniósł tylko brew.

Majka wstała raptownie.

– Potrafię sama się obronić. – Zatrzymała Marcina nieznoszącym sprzeciwu gestem dłoni i rzekła do Wiktora:

– Przejdziemy się?

Obszedł stół dookoła i rzekł krótko:

– Chodźmy.

Zdjął marynarkę i narzucił ją na ramiona dziewczyny, bo zimny wiatr przybrał na sile. Zaskoczył ją tym gestem.

– Pozwolisz, że się przyłączę? – usłyszała pytanie Patryka.

– Pewnie. We dwóch prowadźcie mnie na rzeź – odparła lekko, chociaż w duszy poczuła nieznośny ciężar.

Powoli ruszyli ścieżką w stronę lasu, odprowadzani spojrzeniami tych, którzy zostali przy stole.

Wiktor otworzył furtkę, przepuścił Majkę przodem i dopiero gdy razem z Patrykiem zniknęli reszcie z oczu, zapytał:

– Powiedziałaś Marcinowi, że to nie jego dziecko?

– Dlaczego sądzisz, że nie jego?! – zaatakowała natychmiast. – Sugerujesz, że pieprzę się z kimś jeszcze poza twoim bratem?!

– Nawet nie przyszło mi to do głowy, ale skoro ty to powiedziałaś, pozwól, że zapytam: czy pieprzysz się z kimś jeszcze poza moim bratem?

Uniosła dłoń, by go spoliczkować, ale chwycił ją za nadgarstek i wycedził zimno:

– Nie tym razem!

– Spokojnie, Majka, Wiktor, porozmawiajmy jak ludzie. – Patryk wszedł między nich. Teraz, żeby się pozabijać, musieli najpierw zabić jego. – Mamy prawo o to zapytać. Ja mam prawo. Który to miesiąc?

Pytanie powinno brzmieć raczej: kto jest ojcem, ale Patryk był delikatniejszy niż Wiktor. Majka milczała długą chwilę, walcząc ze łzami. Obaj patrzyli na to, nie próbując jej pomóc żadnym gestem czy słowem. Wreszcie zebrała się w sobie na tyle, by zapytać:

– Dlaczego chcecie to zniszczyć? Macie swoje szczęścia: ty, Wiktor, Gabriele, ty, Patryk, Julię. Dlaczego ja z Marcinem nie mogę mieć własnego?

– Nie zbudujesz szczęścia na kłamstwie – odparł Patryk.

– On nie musi o niczym wiedzieć!

– Ale ty będziesz wiedziała. I my.

– Nic nie wiecie! Nic nie możecie udowodnić!

– Jeszcze nie – wtrącił Wiktor. – Lecz gdy to małe się urodzi, możesz być pewna, moja droga kłamczucho, że zbiorę dowody i przedstawię je Marcinowi. Chyba że dziecko jest jego, wtedy... – Uniósł dłonie w przeproszającym geście.

Odwróciła się na pięcie, by nie widzieli uczuć, jakie właśnie nią wstrząsały. Wściekłość i rozpacz. Gniew i żal. I poczucie krzywdy... Czy do końca życia ma odpowiadać za grzechy, jakich się dopuściła? Ci dwaj, pieprzeni rycerze bez zmayı i skazy rzeczywiście byli w stanie ją skrzywdzić, to było jasne, ale swojego brata?

– Powiem Marcinowi w swoim czasie – odrzekła cicho.

– Kiedy?

– Gdy przekonam się, że bierze to na serio. Dziecko, ślub, rodzina, dom... Że dorósł do roli męża i ojca. Jeśli nie, szkoda go niepotrzebnie ranić. Rozstaniemy się wcześniej, niż pobierzemy.

– Rozumiem – w głosie Wiktora brzmiał śmiertelny chłód. – Ile czasu potrzebujesz na zebranie niezbędnej wiedzy?

– Marcin wymarzył sobie ślub w Boże Narodzenie. Trochę to niestosowne, wiem, że panna młoda będzie w widocznej ciąży, ale... sądząc po waszej reakcji... do tego czasu zdążycie nad Marcinem popracować i odwoła zaręczyny.

– Znów oceniasz innych podług siebie, Majeczko. – Wiktor uśmiechnął się z goryczą. – Nie zamierzam ingerować w wasz związek. Małżeństwo budowane na kłamstwie. I to jakim... Cóż, pozostało tylko pogratulować. – Uniósł jej bezwładną dłoń i ucałował, nim zdążyła ją wyrwać. – Wracajmy, zanim zaczną padać.

Majka ruszyła przodem.

Mimo że szła wyprostowana, obaj wiedzieli, że z trudem powstrzymuje płacz. Patryk chciał się z nią zrównać, spróbować coś powiedzieć, ale

powstrzymała go ręką brata.

– Jesteś w to tak samo zamieszany jak Majka. I ja. Albo jesteś z nią, albo ze mną. Wybieraj.

Patryk zatrzymał się gwałtownie, poblądły z gniewu, po czym rzucił:

– Pieprz się, Wiktor!

I skręcił w las.

Do domu wrócili we dwoje. W chwili, gdy Gabriela zamykała za nimi drzwi, na zewnątrz rozpętała się burza.

Marcin w jednej sekundzie był przy Majce i chwycił ją w ramiona. W następnej zwracał się do brata, ledwo nad sobą panując:

– Co jej powiedziałaś?! Macie przede mną jakieś tajemnice? Może powinienem je poznać?

„Raczej nie chciałbyś poznać tej tajemnicy”, pomyślał Wiktor, a na głos rzekł lekkim tonem:

– Pytałem Majkę, czy na pewno wie, co robi, biorąc ciebie na męża i ojca swego dziecka.

– Gdybyś rzeczywiście ją o to zapytał, roześmiałaby ci się w twarz, a nie wracała zapłakana! *À propos* zaś bycia ojcem: ja swojego dziecka nie zabiłem. Ty – owszem. Pośrednio, ale jednak.

O, to było podłe. Wyjątkowo podłe. Gabriela aż jęknęła, chowając twarz w dłoniach. Wiktor przez chwilę zaciskał zęby, by nie rzucić bratu w twarz: „Bronisz dziwki, która cię wrabia! Ona sama nie wie, z kim ma to dziecko!”, ale zapanował nad gniewem. On wiedział, kiedy ugryźć się w język.

Majka ma czas do dnia ślubu.

Jeżeli nie wyzna Marcinowi całej prawdy, on, Wiktor, zrobi to w kościele. Przy wszystkich.

To musiała wyczytać w jego czarnych, błyszczących z wściekłości oczach, bo skinęła lekko głową i zwróciła się do Marcina:

– Wracajmy do domu.

– Przeczekajcie chociaż burzę! – sprzeciwiła się Gabriela. – Nie wolno wychodzić na zewnątrz w taką nawałnicę!

– Gdzie jest Patryk? – padło nagle pytanie.

Dobre pytanie.

Szczególnie biorąc pod uwagę, że wyszedł z Majką i Wiktorem. Oni wrócili. A on? Marcin spojrzał na brata, potem na Majkę. To się w ogóle nie kleiło. Co łączyło tych troje? Patryk podkochał się poprzednio w Majce? Wcale by się bratu nie dziwił, potrafiła być zniewalająca, ale... co miał do tego Wiktor, na miłość boską?! Był przeciwny związkowi Patryka i Majki? Majki i Marcina? Patryka i Marcina?! Gdy jeszcze dodać do równania Julię i Gabrielę... Chryste... potarł twarz dłońmi.

– Wiecie co? Chrzanię wasze sekrety, całe to „lubię, nie, jednak nie lubię”. Chcę, żebyśmy pozostali przyjaciółmi i rodziną. Wkurza mnie, że podzieliliśmy się z wami naszym szczęściem i zamiast gratulacji otrzymaliśmy... nie wiem dokładnie co, ale na pewno nie radość... Cóż jednak poradzić. Rodziny się nie wybiera. – Spojrzał wymownie na Wiktora. – A skoro już jesteśmy przy rodzinie, może powiesz mi, gdzie się podział mój drugi brat. Tak się składa, że jestem doń szczerze przywiązany i nie chciałbym go stracić z powodu głupiej burzy.

Te na pół żartobliwe, na pół poważne słowa rozładowały napiętą atmosferę. Lecz zanim postanowili ruszyć na poszukiwania, zguba się znalazła, przyprowadzona przez cielakowatego psiaka. Obaj weszli do sieni, ociekając wodą. Obaj wyglądali jak ostatnie nieszczęścia. Przy czym pies szybko się otrząsnął, zalewając ich potokami wody, Patryka trzeba było posadzić w ciepłej kuchni, otulić ręcznikami i napić gorącą herbatą.

W całym tym zamieszaniu temat dziecka Majki odszedł w zapomnienie. Nie łudziła się jednak, że raz na zawsze.

## ROZDZIAŁ XVII



Marcin w najśmielszych snach nie oczekiwał, że życie będzie miało dla niego taką niespodziankę. Tego samego wieczoru Majka zgodziła się z nim zamieszkać. Ile razy ją o to prosił... Zawsze odpowiadała, że jeszcze nie jest gotowa, że nie nadaje się na słodką żoneczkę, że musi jej dać więcej czasu... Wkurzało go to, nie potrzebował słodkiej żoneczki, ale takiej kobiety, towarzyszką życia, kochanki i przyjaciółki jak Majka! Gotować im mogła kucharka, pucować do połysku mieszkanie sprzątaczką. Nie potrzebował gospośi, tylko Majki! I o to wybuchały karczemne awantury, które kończyły się przeważnie czułymi pojednaniami w łóżku. A w tym oboje byli niezrównani...

I właśnie przed chwilą, po niezmiernym seksie, Majka wyszeptała:

– Chcę zostać. Tutaj. Z tobą.

– To zostań.

– Mówię serio. Chcę się wprowadzić. Być z tobą w dzień i w nocy, jak po ślubie. Taka przymiarka do małżeństwa.

Doprawdy, mogłaby być czasami bardziej romantyczna... Ale tę bezpośredniość też w niej lubił. Wystarczy, że on był romantyczny za nich dwoje.

– Cieszę się – szepnęła, pochylił się ku dziewczynie i zaczął całować jej gorące, jak zawsze chętne usta.

Gdy po raz drugi opadli na skotłowaną pościel, zupełnie bez sił, Majka łapała jeszcze przez chwilę oddech.

– Teraz, nawet gdybym chciała wrócić do siebie, to nie mam siły – wydusiła, rozbijając go tym. – Gdy zamieszkamy razem i będziemy mieć taki seks na wyciągnięcie ręki... nie wiem, jak rano znajdę w sobie energię, żeby ci zrobić śniadanie.

– Zrobię nam obojgu i jeszcze podam do łóżka – wymruczał, przyciągając ją ramieniem. Naprawdę był szczęśliwy, że rano obudzi się przy kobiecie, którą kochał, a nie w pustym łóżku i z kartką na nocnej szafce ze zdawkowym: „Było ekstra. Zdzwonimy się”.

Majka uniosła się na łokciu i przechyliła głowę niczym ciekawski wróbel.

– Facet podający kobiecie śniadanie do łóżka? Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę.

I zobaczyła.

Nazajutrz obudził ją pocałunkiem. Po chwili z kuchni zaczęły dochodzić niezmiernie aromatyczne. Wiedział, co lubi, i to właśnie przyniósł, nie pozwalając jej wstać. Nie zaczął jej karmić z dzióbka do dzióbka, nie było to w stylu Majki, ale

położył się na boku i z przyjemnością patrzył, jak zjada wszystko, co dla niej przygotował, do ostatniej okruszynki.

– Było pyszne, będzie jeszcze pysniejsze – wymruczała, oblizując palce i patrząc na Marcina zmrużonymi oczami. Po czym osunęła się nisko, ujęła jego męskość w dłoń i zaczęła pieścić go językiem i ustami dotąd, aż zaspokoila jego głód.

To było cudowne.

Nie mógł marzyć o niczym więcej...

\*

– Oni się naprawdę dogadują – zauważył Patryk, siadając naprzeciw Wiktora z kubkiem kawy w ręce. – Dobrali się jak w korcu maku.

– Mówisz, jakbyś zazdrościł – mruknął Wiktor, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa.

– Czego tu zazdrościć? Majka pozwala Marcinowi śnić piękny sen. Przebudzenie będzie tym bardziej bolesne. Nie chciałbym być na jego miejscu...

– A co z tobą i Julią? – Wiktor wreszcie spojrział na brata.

Do tej pory unikali tematu swoich związków.

Patryk wiedział tylko tyle, że Wiktor nie zamieszkał z Gabriellą w ich wymarzonym domu. Czy nie życzyła sobie tego ona, czy nie chciał on – pozostawało dla wszystkich zagadką. Smutną zagadką, biorąc pod uwagę to, co łączyło tych dwoje. Byli sobie przeznaczeni. Dlaczego ryzykowali utratę takiego daru?

A dlaczego ryzykował on, Patryk? Bo sam zadawał sobie pytanie: co z nim i Julią?

– Dopóki nie wyjaśni się sprawa między Marcinem a Majką? Nic. Nie chcę przysparzać bólu niczemu niewinnej Julii.

– A co ma Majka z Marcinem do niej? – Wiktor uniósł brew.

– To może być moje dziecko – przypomniał mu z naciskiem.

– Sam w to nie wierzysz. Ale jako wymówka, by nie zaangażować się bardziej w związek z Julią – genialne.

– Już o tym rozmawialiśmy! – krzyknął Patryk z gniewem. – Przedstawisz dowód, że to nie jest mój bękart, i będę wolny!

– Nawet jeśli będzie twój, badanie DNA wskaże Marcina jako ojca – odparł spokojnie Wiktor. – Macie identyczne genotypy. Nikt oprócz ciebie, mnie i Majki nie wie, co zaszło między wami. Ona jest cwana, nie będzie ryzykowała utraty takiego faceta jak nasz brat i opowiadała o tamtej nocy. Mnie ani tobie również na tym nie zależy. Może się przyznać jedynie do tego, że nie jest pewna, czy Marcin jest ojcem, bo wcześniej miała wielu facetów. To nasz brat łyknie. I tylko tego od Majki oczekuję. Że wyzna mu choć połowę prawdy.



– Mówisz to tak zimno... cynicznie... bezwzględnie... – Patryk pokręcił głową.

Jemu niepewność i wyrzuty sumienia nie dawały spać po nocach, szczególnie odkąd pojawiła się Julia. Bo prawda mogła zniszczyć nie tylko miłość Marcina i Majki, ale także to, co było między Patrykiem i Julią.

– Patryś, skończyłem z rozczulaniem się nad sobą, gdy miałem jakieś trzynaście lat. Najwyższy czas, żebyś ty także dorósł. Popełniłeś błąd, trudno, stało się. Jeżeli trzeba będzie ponieść konsekwencje, poniesiesz, a ja ci w tym pomogę, jeśli tylko zdołam, ale przestań, do cholery, uciekać! I szukać kretyńskich wymówek w rodzaju: „nie wiem, czyje to dziecko”! Nie dowiesz się nigdy, bo może być zarówno twoje, jak i Marcina, taki wasz los. Nie możesz przez to jednak tracić szansy na miłość. Sypiacie ze sobą?

– Co cię to obchodzi?! Czy ja cię pytam o seks z Gabriellą?!

– To ważne pytanie w tej sytuacji. Może się szybko okazać, że nie tylko Marcin został wrobiony w ojcostwo.

– Julia w nic mnie nie wrabia! – warknął Patryk. – Nie tak dawno oberwałeś ode mnie za podobne słowa!

– Umówmy się: pozwoliłem, byś mnie uderzył.

– Wiktor, za chwilę zostaniesz sam. Obrażasz dziewczynę, którą kocham, obrażasz...

– Daj spokój, nie dąsaj się jak dziecko. Jeżeli czujesz, że Julia to ta jedyna, po prostu zrób to: poproś ją o rękę, zamieszkajcie razem, przekonajcie się, czy rzeczywiście Ktoś was sobie przeznaczył i...

– I nasza miłość skończy się tak szybko jak twoja i Gabrieli? – wpadł mu w słowo.

Wiktor patrzył nań przez chwilę, lekko mrużąc oczy.

– Kto mówi, że się skończyła? Ona? Gabriela? Rozmawialiście o nas? I powiedziała ci to?

– Jest na tyle uczciwa, że najpierw powiedziałaaby tobie.

– Skąd więc takie wnioski?

– Ty tutaj, ona na wygnaniu...

– Chciała być przez jakiś czas sama.

– Rozumiem to. Po tym, co przeszła, po śmierci ojca... Tylko ten „jakiś czas” trwa trzeci miesiąc. Ja bez Julii tygodnia bym nie wytrzymał, a znamy się znacznie krócej niż wy. Przemyśl to, bracie. – Patryk klepnął go w kolano i wstał.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Wiktor długo siedział bez ruchu, wpatrzony w ekran laptopa. Ale zamiast danych z warszawskiej giełdy widział swoje oczy, a w nich pytanie, na które nie znał odpowiedzi.

Przyszedł czas, by ją poznać.

Pierwszy śnieg – chociaż była połowa listopada – jak zwykle zaskoczył

drogowców, ale nie zaskoczył Wiktora. Volvo, już jakiś czas temu zaopatrzone w zimowe opony, mknęło wąską szosą, nie zważając na breję, którą pokryty był asfalt.

Mimo to odetchnął, skręcając w leśną drogę prowadzącą do domu Gabrieli. Ich domu. Nacisnął pilota, brama majestatycznie otworzyła przed nim swe podwoje. Gabriela, którą uprzedził o przyjeździe, już biegła w jego stronę, zarumieniona, uśmiechnięta i szczęśliwa.

Zatrzymał się w połowie podjazdu, opuścił szybę i przyjął od kobiety długi powitalny pocałunek. Jakim cudem mieszkali osobno, tak za sobą tęskniąc?! Dzisiaj nie wyjedzie bez odpowiedzi na to pytanie.

– Co ty tu robisz?! – wykrzyknęła Gabriela zaskoczona, ale szczęśliwa. – Jest środek tygodnia. Mówiłeś wczoraj, że lecisz do Krakowa. Ależ się cieszę, że cię widzę!

Obiegła samochód dookoła, wsiadła od strony pasażera i ze śmiechem przytuliła się do mężczyzny. Teraz on zaczął ją całować. Zachłannie, niemal brutalnie, jakby ją karał za to, że nie chce takich pocałunków codziennie rano.

– Masz w domu gości czy jesteś sama? – zapytał niskim, gardłowym, nabrzmiałym požądaniem głosem.

– Podejrzewasz, że ukryłam w szafie kochanka? – znów się zaśmiała.

– Zabiłbym go – odpowiedział zupełnie serio.

– Jestem sama. Bardzo, ale to bardzo samotna. A moje łóżko jest puste i zimne – wyszeptała, trzymając jego twarz w dłoniach i patrząc prosto w szeroko otwarte źrenice ukochanego mężczyzny. Ona również czuła, całym sercem, duszą i spragnionym ciałem, że nadszedł czas, by znów należeli do siebie. Miała dosyć samotności i przebudzeń w pustym łóżku. I takiej tęsknoty, aż bolesnej, jaką czuła w tej chwili.

A gdy nieco później dostała od Wiktora rozkosz, o jakiej nie śniła, podjęła decyzję. Powie mu... poprosi... jeżeli on jeszcze tego chce...

Pogładziła go wierzchem dłoni po policzku. Otworzył oczy, nadal oddychając jak po długim szaleńczym biegu, uśmiechnął się do Gabrysi.

I już miała zadać mu pytanie, na które oboje czekali. I otrzymać odpowiedź, jakiej pragnęła, gdy... ostry dzwonek do drzwi sprawił, że oboje usiedli.

– Mówiłaś, że nie spodziewasz się gości – rzucił z gniewem.

Chciał mieć dziś Gabrielę tylko dla siebie.

– Gość dzwoniłby do bramy, nie do drzwi – odparła, sięgając po szlafrok.

– Gabrysiu, jesteś tam?! – Ktoś zapukał w oszronioną szybę. Poznała głos Julii. I serce od razu w niej zamarło w oczekiwaniu czegoś strasznego.

– Jestem, Jula, już biegnę! – odrzyknęła.

W następnej chwili wpuszczając do sieni przemarzniętą przyjaciółkę.

– Rany boskie, co się stało?! – krzyknęła, widząc sine usta dygoczącej

z zimna dziewczyny.

– M-mój samochód nie odpalił. Przyjechałam pekaesem i sz-szłam od przystanku.

– To przecież trzy kilometry! A jest parę stopni na minusie! Natychmiast wchodź pod prysznic, bo dostaniesz zapalenia płuc!

– M-muszę z tobą porozmawiać. Zaparz mi tylko herbaty.

– Dobrze, w kuchni jest ciepło. Zdejmuj to paltko. Mogłaś się przynajmniej ubrać stosownie do pogody! – gderała Gabrysia niczym zatroskana matka.

Czuła, że Julia nie wpadła z przyjacielską wizytą. Za jej desperacką podróżą coś się kryło. I chyba nie chciała wiedzieć co...

Julia usiadła ciężko przy stole i nagle... rozplakała się.

– Boże, Jula, co się stało?! – Gabriela przyskoczyła do niej przerażona. – Powiedz w końcu, bo na serce umrę. Coś z tobą? Z Patrykiem?

– I ze mną, i z nim – wydusiła Julia, podnosząc na przyjaciółkę zszokowane oczy. To właśnie ujrzała Gabriela w szeroko otwartych źrenicach przyjaciółki: szok.

– Powiedz spokojnie, co się stało... – poprosiła.

Żadna z nich nie zauważyła Wiktora, który stanął w kuchennych drzwiach, ale na słowa Julii „i ze mną, i z nim” cofnął się do sieni.

– Gabrysia... będę miała dziecko.

Gabriela usiadła tak, jak stała. Na najbliższym krześle, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– To... to chyba dobrze? Patryk będzie szczęśliwy. Jestem pewna, że będzie...

– Ale to nie jest dziecko Patryka!

Wiktor, oparty o ścianę, stłumił jęk. Boże, tylko nie to! Nie znów! Nie Patryk!!

– Jula... – usłyszał wstrząśnięty głos Gabrieli – ...jeśli nie Patryka, to czyje?

I w momencie, w którym miała paść odpowiedź, motyl po raz ostatni zatrzepotał skrzydełkami.

Rozpętało się piekło...

W sypialni dzwoni telefon. Ten telefon. Wiktor odruchowo rusza w jego stronę. Julia podrywa głowę, patrzy na oddalającego się mężczyznę, potem na Gabrielę. Chce wykrzyknąć: dlaczego mi nie powiedziałaś, że on tu jest?! Ale pierwsze słowa Wiktora, rzucane do telefonu, sprawiają, że pytanie zamiera jej na ustach.

– Co jest, Patryk?

Chwila ciszy.

I słowa, które obu kobietom podnoszą włosy na karku.

– Chryste!... Nie!... Nie Marcin!... Jadę tam. Czekaj na mnie.

W sieni Wiktor wpada na Gabrielę. Jest tak blady, jakby za chwilę miał zemdleć.

– C-co...? – zaczyna, ale on nie daje jej dokończyć pytania:

– Marcin został postrzelony. Jest w ciężkim stanie. Operują go. Jadę do Warszawy.

Wybiega, zostawiając obie kobiety w sieni.

Powinien powiedzieć im to, co usłyszał na końcu od Patryka, ale...

Wsiada do samochodu i nie zważając na wołanie Gabrieli, odjeżdża, wzbijając chmurę śnieżnego puchu.

Z Marcinem była Majka.

Lecz tego właśnie im nie powiedział.

## ROZDZIAŁ XVIII



A ranek zaczął się tak niewinnie...

Majkę obudził zapach świeżo zaparzonej kawy. Jak co dzień, od czasu, gdy zamieszkali z Marcinem razem w jego niewielkim mieszkaniu na warszawskiej Starówce. Mimo że dzielili kawalerską do tej pory sypialnię – co akurat nie było wcale takie złe – kuchnię, salon i łazienkę, wołała to przytulne gniazdko na poddaszu, z oknami, przez które widać było tylko bezmiar nieba, od swojego apartamentu na Powiślu.

Prawdę mówiąc, nie zaglądała tam od czasu, gdy Marcin zarzucił na ramię ostatnią torbę z jej ciuchami, a ona zamknęła za nimi drzwi. Może tamto mieszkanie już nie istniało? Nastąpił jakiś kataklizm i znikło, jak znikła tamta Majka?

Dzisiaj, przeciągając się rozkosznie w wygodnym, miękkim łóżku – ciekawe, z iloma kobietami Marcin je do czasu nastania Majki dzielił, musi go o to zapytać, pewnie się wkurzy! – przelotnie pomyślała o sobie sprzed kilku miesięcy. Zamiast się puszczać na prawo i lewo, mogła poszukać takiego Marcina... I już od dawna byłaby szczęśliwa...

– Co dzisiaj zyczą sobie na śniadanie moje księżniczki? – usłyszała jego kochany, pełen czułości głos i poczuła ciepłą dłoń na brzuchu.

Poczucie szczęścia i bez troski przysło. Musi mu powiedzieć! Jak najszybciej! Może jeszcze dzisiaj!

Ale nie teraz, nie w tej chwili. Niech przynajmniej on spokojnie zje śniadanie.

– Księżniczki? Skąd wiesz, że to dziewczynka? – zapytała, podnosząc się i całując go w usta.

Wzruszył nonszalancko ramionami.

– Chciałbym mieć drugą Majeczkę...

– Ja ci nie wystarczam?!

– Mam wielkie serce. – Zaśmiał się, pocałował dziewczynę raz jeszcze w miejsce, gdzie rosło nowe niewinne życie, i zniknął w kuchni. – Od dziś zamiast kawy sok pomarańczowy, świeżo wyciskany! – krzyknął przez otwarte drzwi. – Kawa jest niezdrowa dla dziecka. Jeśli masz uczulenie na pomarańcze, będę wyciskał jabłka, chociaż z tym jest więcej zachodu. Ale czego się nie robi dla moich księżniczek...

Dokończył, wracając do sypialni z tacą pełną smakołyków.

Majka rzuciła się na jedzenie, jak na kobietę w czwartym miesiącu ciąży

przystało. Z zadowoleniem patrzył, jak znikają rogaliki, kanapki, smażony bekon i jajka. Włożył w przygotowanie śniadania dla Majki i ich maleństwa tyle miłości...

– Słuchaj, kochana, wiem, że ci tu dobrze ze mną – zaczął, przysiadając na brzegu łóżka.

– Chyba mnie nie wyrzucasz?! – przeraziła się.

– No coś ty! Mnie jeszcze lepiej z tobą! Ale to mieszkanie staje się po prostu za małe. Trzeba przygotować pokój dla dziecka... kupić łóżeczko... mebelki... gwiazdki na ścianę... – Najwyraźniej się rozmarzył.

– To może być chłopczyk. Jeśli mu kupisz biało-różowe mebelki, gotów cię znienawidzić od urodzenia. Wstrzymajmy się z tym do wyników USG...

– Ale za domem musimy się już rozglądać – uciał stanowczo. – Gdzie chciałabyś zamieszkać? Masz do wyboru cały świat.

– Po co mi świat, skoro tu jest dobrze? Mam przyjaciół, będę miała rodzinę... – Poglądziła go po ramieniu.

Przytulił ją i ucałował pachnące różanym szamponem włosy. Majka cała pachniała jak róża. I jeszcze – od niedawna, ale jej o tym nie powiedział, bo była drażliwa na tym punkcie – pachniała domowym mlekiem prosto od krowy. Jego śliczna, kochana, mleczna krówka. Krówka ciągutka – przygryzł jej ucho, aż musiała jęknąć.

– Oż ty draniu – bez namysłu sięgnęła tam, gdzie on był najbardziej wrażliwy, ale przytrzymał ją za nadgarstek.

– Zaczekaj, nim zaczniemy poranne zabawy, załatwmy sprawę domu. Naprawdę chciałbym już mieć coś naszego. Chcesz zostać w Polsce, okej. W Warszawie? Też okej. Dom czy mieszkanie?

Zasypywał Majkę pytaniami dotąd, aż mniej więcej wiedział, czego ona pragnie – oprócz porannej dawki seksu z nim, Marcinem – i czego pragnie on sam. Patryk będzie musiał się postarać, żeby znaleźć dla nich wymarzony dom.

Wybrał numer do brata i zaczął, gdy tylko ten odebrał:

– Cześć, Patryś, jest prośba.

– Dawaj. Tylko szybko, bo prowadzę.

– Znalazłbyś miły domek dla nas i naszego maleństwa? W Konstancinie?

– Pewnie!

– Jak myślisz, co bym wolał? Córcię czy synka?

„Wolałbyś, żeby to dziecko było twoje”, pomyślał z goryczą Patryk. Na szczęście Marcin nie oczekiwał odpowiedzi. Opisał mu dom, jaki chciałaby Majka, potem taki, jaki podobałby się jemu i zakończył:

– Prościzna, co?

– Skoro to takie proste, to dlaczego sam nie ruszysz na polowanie? – brat odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie byłbym obiektywny. Szukałbym takiego, który podoba się mnie, a Majka też musi być w nim szczęśliwa. Przede wszystkim ona. No i nasze małeństwo.

Patryk musiał się powstrzymać, żeby nie zgrzytnąć zębami.

Kiedy ta kobieta w końcu powie Marcinowi, że dziecko nie jest jego?!

– Postaram się, żebyście oboje byli zachwyceni – odezwał się.

– Dzięki, Pat, zawsze można na ciebie liczyć.

Tak, na Patryka zawsze można było liczyć. Z wyjątkiem sytuacji takich jak ta, gdy trzymanie języka za zębami sprawiało mu coraz większą trudność. Czasami miał ochotę wysłać Marcinowi esemesa, bo nie byłby w stanie rzucić mu tego w twarz: „Frajerze, Majka wrabia cię w czyjś bachora! Otrząśnij się! Zapytaj lekarza o wiek płodu! Może się pomylić co do dnia, ale nie co do kilku tygodni! Dlaczego ty jej tak ufasz?!”.

– Bo pragnie zaufać komuś więcej niż tylko nam – odpowiedział mu kiedyś starszy brat.

Więc Patryk milczał.

Wiktor także.

I po dzisiejszej rozmowie Patryk wiedział, że wszystko jest w rękach Majki. Przeklętej, zakłamaney Majki...

...która właśnie ze zdumieniem patrzyła na wyświetlacz swojego telefonu. Wczoraj Marcin zapytał ją, czy zaprosi na ślub rodziców. Niewiele mu o nich opowiadała. Ten temat nie należał do jej ulubionych. Wywnioskował, że są ze sobą skłóceni. Ślub córki i rychłe narodziny wnuka powinny jednak stopić zatwardziałe serca, no nie? Marcin był tak szczęśliwy, że chciałby widzieć dookoła siebie samych szczęśliwych ludzi.

Dlatego zapytał Majkę o rodziców.

– Nie życzę ich sobie – odparła krótko.

I właśnie teraz dzwonił jej ojciec. Chyba Marcin nie rozmawiał z nim o ślubie za jej plecami?

– Słucham? – odezwała się zimno.

– Halo... – jak nienawidziła tego „Halo...”!

– Słucham cię. To ty do mnie dzwonicz, więc daruj sobie to snobistyczne, kretyńskie „Halo...”.

– Oho, Majeczka nie w humorku? Za wcześnie dzwonię? Obudziłem?

– Boże, daj spokój, tato, i przejdź do rzeczy. Nigdy cię nie obchodziło, czy dzwonicz w porę.

Marcin, który przysłuchiwał się tej rozmowie, zapytał bezgłośnie, czy zostawić Majkę samą, ale pokręciła głową i chwyciła go za rękę, jakby miał ją tym uratować.

– Słuchaj, kochanie, parę miesięcy temu pożyczyłaś od nas pieniądze. Nie

czas, by je oddać?

– Oddam przy najbliższej okazji.

– Ta okazja musi się nadarzyć dzisiaj. Najlepiej od razu po naszej rozmowie.

– Dzisiaj jestem zajęta. – Uśmiechnęła się krzywo. Lubiła wkurzać tego snoba.

– Majeczko, nie chciałbym cię straszyć, ale te pieniądze są potrzebne pewnemu... człowiekowi. On zwykł prosić tylko raz. Za drugim strzela w kolano. Trzeciego nie ma.

– Słucham?! Zadałeś się z jakimś gangsterem?! I własną córkę w to wplątujesz?! Niech cię szlag! – Przed chwilą przełączyła telefon na głośnomówiący, żeby Marcin miał świadomość, kogo nie chciałby zapraszać na ślub. Teraz chciał jej odebrać telefon i go wyłączyć, ale znów pokręciła głową.

– Majka, będę z tobą szczery – odezwał się jej ojciec już zupełnie innym tonem. – Ten człowiek jest naprawdę niebezpieczny. A pieniądze należały... między innymi do niego. Wkurwi się, jeśli dzisiaj nie będzie w sejfie całej kwoty. A jeszcze bardziej się wkurwi, jeżeli kod do sejfu został zmieniony. Nie zrobiłaś tego, Majuniu, prawda?

Wiedział, bydlak, że zmieniła szyfr, ale zamiast powiedzieć prosto z mostu: „Majka, masz wprowadzić poprzedni!”, musiał wyjechać z tym swoim słodkim do porzygania: „Nie zrobiłaś tego, Majuniuuu”. Wsadziła sobie palec w gardło, pokazując Marciniowi, na co jej się zbiera, gdy słucha ojca.

– Nie, no coś ty! Skoro to takie pilne, wsiądę w samochód i zawiozę te pieniądze, żeby ci bandzior kolan nie przestrzelił.

– On przestrzelił je tobie, kochanie, jeśli nie przywieziesz pieniążków do południa – odparł jej ojciec i jak zwykle bez pożegnania rozłączył się.

Majka spojrzała na Marcina wzrokiem zbitego psa.

On spojrzał na nią.

– Jezu, Majka, co to było?

– Mój ojciec.

– Domyślam się. Ale skąd on się urwał? Myśli, że bezkarnie będzie ci przestrzeleniem kolan groził? Zabiję skurwiela!

– Nie mam nic przeciwko temu, ale najpierw oddajmy te pieniądze, bo inny skurwiela zabije mnie, okej?

Brzmiało to logicznie nawet dla wzburzonego Marcina Prado. Ale ojcu Majki nie odpuści. Nie pozwoli nikomu traktować swojej narzeczonej tak parszywie!

W drodze na Powiśle zaczął ostrożnie dopytywać się o jej rodzinę, ale Majka milczała. Uszanował to milczenie. Na razie.

Weszli do pustego mieszkania. Majce zawsze wydawało się odpychające i zimne, chociaż nie aż tak, jak szklana kula jej rodziców, teraz jednak, po



tygodniach spędzonych w uroczej kawalerce u boku ukochanego mężczyzny, aż zadrżała na myśl, że może to szczęście i tego mężczyznę stracić. A wtedy wróci do swojego zimnego, pustego apartamentu z widokiem na szare wody Wisły...

Weszła do sypialni, która natychmiast przywróciła wspomnienie Patryka i tego, na co mu pozwoliła... do czego go sprowokowała... Odegnęła to wspomnienie. Jeszcze nie teraz. Wróci do niego, gdy przyjdzie czas. Może jeszcze dzisiaj, może jutro, wyzna Marcinowi wszystkie grzechy i z pokorą będzie czekała na potępienie albo słowo „wybaczam”.

Najpierw jednak musi oddać pieniądze.

Rozsunęła drzwi garderoby, otworzyła szafkę z butami i z najniższej półki wyciągnęła torbę z pięciuset tysiącami złotych, tę samą, w której Wiktor oddał jej pożyczkę wieki temu.

Marcin wciągnął powietrze i pokręcił głową.

– Trzymałaś pół miliona w szafce z butami? Łał... Nawet ja nie jestem tak bez troski...

– Oj, miałam nadzieję, że ktoś je zwinie i wkurzę tym starych jeszcze bardziej. Skąd mogłam wiedzieć, że to nie ich forsa?

Parę minut później parkowali pod wspnianym budynkiem na Złotej.

Majka zarzuciła torbę z pieniędzmi na ramię i spojrzała na Marcina:

– Nie musisz tam ze mną wchodzić.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Wiesz... jeśli ten gangster na mnie czeka...

– Naoglądałaś się za dużo filmów, moja kochana – objął ją i cmoknął w usta.

– Dzisiaj nie strzela się do ludzi, jeżeli można odzyskać forszę bez rozlewu krwi. A ty ją właśnie zwracasz, no nie?

Musiła przytaknąć. Gangster nie gangster, nie będzie od razu strzelał do ciężarnej kobiety! Obciągnęła bluzkę, by uwidocznic zaokrąglony brzuch. Marcin zaśmiał się.

– Nie bój się. Będę przy tobie. I nie pozwolę cię skrzywdzić. Nikomu.

Jadąc windą na trzynaste piętro, poczuła łyzy w oczach. Nie ze strachu. Z żalu, że jest tak podła dla dobrego, szlachetnego człowieka. Dla Marcina.

Jednak przekręcając klucz w zamku, poczuła, jak serce bije jej coraz mocniej.

Wstrzymując oddech, weszła do środka. Nic. Nikogo. Cicho, pusto, zimno...

Weszła do łazienki. Obejrzała się przez ramię. Marcin stał w korytarzyku i uśmiechał się do niej. Ten uśmiech będzie ostatnim, jaki zapamięta...

Lekko drżącymi dłońmi wprowadziła szyfr, otworzyła drzwi sejfów i... w tym momencie wszystkie okna rozprysły się w szklany pył.

Oboje rzucili się na podłogę, nakrywając głowy rękami.

Huk wystrzału i drzwi wejściowe również poszły w drzazgi, z całej siły

odkopnięte na ścianę.

– Na ziemię!!! Wszyscy na ziemię, kurwa!!! – ktoś wrzasnął.

Nie trzeba było tego powtarzać. Majka skuliła się jeszcze bardziej.

Leżąc w łazience, słyszała krótkie warknięcia. Uniosła na sekundę głowę.

Przez korytarz przebiegła potężna sylwetka w czerni. Kolejny huk i następne drzwi, widać zamknięte, zostały sforsowane.

– Czysto!

– Czysto!

– Czysto! – usłyszała i spojrzała na Marcina. On uniósł lekko głowę i patrzył prosto na nią.

„Uciekaj!”, błagały jego oczy, ale z łazienki nie było ucieczki. Z mieszkania też nie.

Dwóch drabów w czerni poderwało go za ramiona i zniknął jej z oczu. Nie. Tego nie mogła dłużej znieść. Wstała, ruszyła biegiem do wyjścia. Coś pochwyciło ją i uniosło na parę centymetrów w górę.

– Mamy oboje, mężczyznę i kobietę, szefie – padły słowa.

Pchnięto Majkę na ścianę po przeciwnej stronie korytarza.

– Nie tak brutalnie, co?! – rozległ się wściekły krzyk Marcina. – To kobieta!

Ona niczego...

– Zamknij się!

– Sam się zamknij! Co to za napad?! To mieszkanie nie jest nasze! Czego chcecie?! Skąd...

Usłyszała jęk. Marcin umilkł.

Szarpnęła się w mocnym uścisku draba z lewej.

– Czego od nas chcecie? Kim jesteście? Oddałam pieniądze! Sejf jest otwarty!

– Milcz – uciszył ją jednym warknięciem.

I wtedy... może gdyby miała w sobie więcej pokory... gdyby była mniej przerażona i jaśniej myślała... może nie obróciłaby się w jego kierunku, nie wrzasnęła: „Sam sobie milcz!” i nie strzeliła go w twarz.

W następnej chwili uderzenie kolbą w brzuch wydusiło jej z piersi przeciągły jęk. Zgięła się wpół i powoli, jak we śnie osunęła na zimną, marmurową posadzkę.

– Co tu się dzieje?! – Czyjś głos docierał do niej jak przez mgłę.

– Stawiała się.

– Trzeba było...

Przerwał temu ktoś strzał.

Po nim krzyk Marcina.

Wyszłochała jego imię, próbując się podnieść. Ból przygiął ją z powrotem do ziemi.

Zapadła cisza.

– Kto strzelał, kurwa wasza mać?! – usłyszała głos tego, który przyszedł ostatni, a potem nagłe zamieszanie. – Co z nim? Oż w mordę...

Komisarz Bracki, dowodzący akcją, patrzył na ciało młodego mężczyzny, leżącego pod ścianą sypialni, do której przed chwilą go wepchnięto. Z rany na plecach już zaczęła tryskać krew.

– Kurwa, kto strzelił skutemu facetowi w plecy?! – krzyknął do podkomendnych.

Jeden z nich zrobił krok naprzód.

– To ja. Trzymałem go na muszce. Nie wiem, dlaczego spluwa wystrzeliła.

– Nie wiesz dlaczego?! A wiesz, co z tobą zrobi prasa, jak się dowie, że wpieprzyłeś bezbronnemu człowiekowi kulę w plecy?!

Przechylił głowę i powiedział szybko do mikrofonu, wszytego w kołnierz munduru:

– Dawajcie na górę medyka. Mamy rannego. Przygotujcie Wołoską na ranę postrzałową. Ciężką.

Spojrzał ponuro na młodego policjanta:

– Masz szczęście, że facet stał tyłem, a ty waliłeś w serce. Gdyby stał przodem, trafiłbyś bez pudła i mielibyśmy trupa, a tak może z tego wyjdzie...

– Szefie! – przerwał mu krzyk z korytarza. – Z kobietą coś się dzieje! Podłoga jest cała we krwi!

– Kurrrwa – warknął, wybiegając z sypialni.

Dopadł dziewczyny. Trzepnął ją wierzchem dłoni po bladym policzku.

– Hej, proszę pani, co się dzieje? Jest pani ranna? – Uniosła na chwilę powieki, po czym głowa jej opadła bezwładnie. – Coście jej zrobili? Do niej też ktoś strzelał?! Z kim ja, kurwa, dzisiaj pracuję?!

– Ona krwawi stamtąd. – Dryblas wskazał na czerwone od krwi uda nieprzytomnej.

– Rany boskie, ta kobieta jest w ciąży! – dowódcy zbrakło przekleństw.

W tej chwili do mieszkania wpadło dwóch z noszami.

– Kto jest ranny? Ona? – Jeden z nich pochylił się nad dziewczyną, ale dowódca odciągnął go.

– Tam, w sypialni, mamy drugiego. Dostał podczas...

– Dostał w plecy – skwitował sanitariusz, klękając przy Marcinie. – Skuliście go po postrzale czy przed?

– Nie bądź taki mądry. Zajmij się nim jak najlepiej. Ten facet musi z tego wyjść.

– Na moje oko z dziewczyną jest gorzej. Bierzemy i ją, i jego.

– Dobra. I na Wołoską.

– Nie ma mowy! Najbliżej jest Lindleya! Ta dziewczyna...

– Na Wołoską, powiedziałem! On ma kulę w plecach. W plecach,

rozumiesz?

– Szefie, z całym szacunkiem, ja decyduję...

– To rozkaz!

– Rozumiem. Bierzemy go, chłopaki. W karetce zróbcie od razu wklucie dożylnie i płyn w szybkim wlewie. Ja biorę dziewczynę. Dajcie jakiś koc, nie możemy zostawić krwi na korytarzu!

Majka ułamkiem świadomości rejestrowała wszystko, co się dookoła niej dzieje. Widziała, jak wynoszą nieprzytomnego Marcina. Czuła, jak ktoś bierze ją na ręce, delikatnie, a mimo to z bólu, szarpiącego trzewia, mało nie zemdlą ponownie. A przecież nie mogła znów uciec w nieświadomość! Musi dopilnować, by Marcin przeżył! By ci, co ich napadli, zrobili wszystko, żeby go uratować!

Z jej ust wyrwał się mimowolny szloch.

– Spokojnie, zaraz będziemy na miejscu – uspokoił ją kojący głos.

– Za co? – wyszeptała. – Za co go zastrzeliliście? On nic nie zrobił...

– Proszę na razie nic nie mówić. Traci pani dużo krwi. Proszę leżeć bez ruchu, dobrze? On... jak ma na imię?

– Marcin.

– A pani?

– Majka.

– Marcin z tego wyjdzie. Ty też. Tylko, proszę cię, leż spokojnie. Będzie trochę trzęsło... – I już zupełnie innym tonem warknął do kierowcy, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi wojskowej karetki. – Na Wołoską. Migiem!

Samochód ruszył na sygnale. Podskoczył na krawężniku. Majka znów poczuła dźgnięcie bólu. Jęknęła.

– Trzymaj się, kobieto! – dobiegł z bardzo daleka czyjś głos. – Szybciej!

I wszystko zgasło.

\*

Patryk gnał przez miasto, łamiąc wszelkie przepisy. Chwilę wcześniej odebrał telefon podpisany „Marcin”, ale zamiast brata w słuchawce odezwał się czyjś surowy, zimny głos. Ten ktoś upewnił się, że rozmawia z Patrykiem, bratem Marcina Prado, po czym rzucił krótko:

– Pana brat brał udział w strzelaninie. Jest ciężko ranny. Obecnie operują go w szpitalu na Wołoskiej. Potrzebujemy paru podpisów kogoś z rodziny.

Będąc akurat na Puławskiej, zawrócił niemal w miejscu.

– Jadę tam – warknął do telefonu i już chciał się rozłączyć, gdy usłyszał:

– Była z nim Majka Trojanowska. Zna ją pan?

– Znam.

– Ona też... jest ranna. Lekarze robią, co w ich mocy, ale... proszę się pośpieszyć.

Więc spieszył się, jak mógł, modląc się bezgłośnie. Wiktor też był już w drodze. Nie pozwolą umrzeć Marcinowi! Nie stracą brata!

Majka... Majki też nie!

Wpadł na izbę przyjęć. Pielęgniarka skierowała go na Oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii.

Tam wyszła do niego jakaś kobieta. Był w stanie wykrztusić tylko imię i nazwisko.

– Marcin Prado jest operowany. To potrwa – odrzekła.

– W jakim jest stanie? Błagam, niech mi pani powie... – Ile razy słyszała takie słowa. I to błaganie o odrobinę otuchy...

Temu mężczyźnie mogła ją dać.

– Postrzał prawego płuca. Nie mogę nic przesądzać, ale... – Ucisnęła lekko jego ramię i uśmiechnęła się. Nie mogła nic więcej powiedzieć, ale już ten uśmiech dawał nadzieję.

– Dziękuję... dziękuję pani... – Patryk przyłożył dłoń do oczu, by powstrzymać łzy. – Jeszcze jedno. – Zatrzymał kobietę, która wracała na salę. – Majka Trojanowska. Poinformowano mnie, że przywieziono ich razem. Ona też została ranna.

Kobieta nagle spoważniała. Na jej twarzy nie było już uśmiechu.

– To pana krewna?

– Narzeczona brata.

– Jest tam, na końcu korytarza, drzwi po prawej. Proszę do niej iść. Ona bardziej teraz pana potrzebuje niż brat.

Patryk skinął sztywno głową i ruszył we wskazanym kierunku.

To jakiś koszmar! To nie dzieje się naprawdę! Może ktoś za chwilę go obudzi, Julia, Wiktor, ktokolwiek, i powie, że to tylko zły, okrutny sen...

Stał przed drzwiami sali pooperacyjnej. Starszy człowiek w lekarskim fartuchu podniósł głowę znad karty, którą studiował w milczeniu.

– Szukam Majki Trojanowskiej.

Lekarz szybkim krokiem ruszył do drzwi, wyszedł na korytarz i rzucił z widocznym napięciem:

– Należy pan do rodziny?

– Przecież bym o nią nie pytał, gdybym nie należał!

– Spokojnie, proszę głęboko oddychać, pobladł pan...

– Doktorze, mój brat, ciężko ranny w jakiejś strzelaninie, jest właśnie operowany. Jego narzeczona leży tutaj, za pana plecami. Powiedziano mi, że również została ranna, a pan mi mówi o spokoju?!

– Pani Trojanowska nie została ranna. Poroniła.

Patryk poczuł, że robi mu się słabo.

Majka... straciła dziecko, którego on, Patryk, tak nienawidził. Jak bardzo,

zrozumiał dopiero w tej chwili. Dotarło też do niego, jak mocno pragnął, by ono nigdy się nie urodziło.

I nie urodzi się.

Znów musiał siłą powstrzymać łyzy.

– Proszę posłuchać, uważnie posłuchać. – Lekarz ujął go za łokieć i ścisnął lekko, jakby nie wystarczyły jego słowa i groza sytuacji. – Pacjentka silnie krwawi, nie możemy powstrzymać krwotoku. Dostała wszystkie możliwe leki, podajmy jej krew i osocze wzbogacone płytkami, ale to nie wystarcza. Musimy powstrzymać krwotok w miejscu jego wystąpienia!

– Więc zróbcie to! Na co czekacie?!

– Pani Trojanowska odmówiła.

– Co?!

– Odmówiła podpisania zgody na zabieg. Musiałem przedstawić jej całą sytuację, przywieziono ją przytomną, nie mogłem pominąć procedur. Może niepotrzebnie byłem z nią tak szczery, ale... miałem obowiązek poinformować pacjentkę. O możliwej histerektomii też. I wtedy ona przekreśliła zgodę na zabieg. Oddała mi dokumenty. Mówiła, że jej narzeczony marzy o dzieciach, a ona nie będzie mu odbierać tych marzeń. Próbowałem uświadomić Majce, w jak ciężkim jest stanie. Mówiłem, nie wprost oczywiście, że ryzykując życiem, może już nigdy dziecka nie urodzić. Ale nie chciała mnie już słuchać...

– Jestem prawnikiem – odezwał się Patryk, próbując panować nad wzburzeniem. – Ma pan prawo przeprowadzić operację nawet bez zgody pacjenta...

– Ale nie mam prawa, gdy pacjent przytomnie tej zgody nie dał. Pan, jako prawnik, rozumie różnicę. Brak zgody a niezgoda to dwa różne pojęcia. I tak będzie mnie oceniał sąd.

Patryk musiał przyznać mu rację.

– Ale pan – lekarz dźgnął go w pierś – jako opiekun zastępczy może taką zgodę wydać.

– Ja?! – Patryk spojrzał na niego ze zgrozą.

– Ona umiera. Z każdą sekundą traci krew. I życie. Jeszcze jest czas. Możemy ją uratować. Pan może ją uratować.

Patrzył na doktora bez słowa. Umysł miał zupełnie pusty.

– Proszę do niej pójść. Proszę zmusić ją do podpisania zgody na zabieg. Jeżeli tego nie zrobi... jej życie jest w pana rękach.

Podał Patrykowi plik papierów i pchnął go lekko w stronę niewielkiej sali, gdzie w półmroku, na jedynym łóżku leżała drobna i bezbronna postać... Majka. Dziewczyna, którą on znienawidził, a jego brat pokochał całym sercem.

„Boże mój... jest taka blada...”

Usiadł przy łóżku, uniósł jej nic nieważącą dłoń i przytknął do ust.

Z dwóch kroplówek spływał do jej żył szkarłatny płyn. Na ekranie powyżej głowy cienka zielona linia skakała w górę i w dół. Nie wskazywała miarowych, spokojnych uderzeń serca, raczej walkę, jaką serce dziewczyny toczy o każdą sekundę, każdy następny wysiłek. Odwrócił wzrok do monitora. Nie mógł na to patrzeć.

– Majeczko, kochana moja – wyszeptał, przykładając dłoń do jej policzka.

Powoli podniosła powieki. W zamglonych przez leki i ból oczach błysnęło rozpoznanie.

– Patryk... – usłyszał cichy szept.

Próbował się uśmiechnąć.

– Co z Marcinem?

– Wszystko w porządku. Jest już po operacji. Spisali się świetnie. Nie martw się o niego – mówił szybko to, co chciałaby usłyszeć.

Odetchnęła. Zamknęła oczy.

– Majka, posłuchaj, posłuchaj mnie, dziewczyno! – Jego głos zmusił ją do uniesienia powiek. – Musisz walczyć, słyszysz?! Marcin tak bardzo cię kocha! Zrób to dla niego, nie opuszczaj go!

– Straciłam to dziecko – wyszeptała.

– Wiem, wiem, kochana, ale będziecie mieć jeszcze dużo dzieci. Marcin pogodzi się z jego utratą, ale nie może stracić ciebie! Proszę, Majka, podpisz te dokumenty albo pozwól mi podpisać...

Tylko na niego patrzyła.

– Maja... jeżeli nie dasz zgody na zabieg, możesz umrzeć, a wtedy na pewno nie urodzisz Marcinowi synka czy córeczki. Maja...

Była już zupełnie gdzie indziej...

– Przepraszam cię za wszystko.

– Kochana, nie masz za co przeproszać, tylko podpisz...

– Patryk... – Powiedziała jego imię tak cicho, że musiał się pochylić, by słyszeć niknący szept. – Nie mów Marcinowi, że ono nie było jego, dobrze? Nie rań go. Wystarczy, że ja to zrobiłam...

– Majka... Boże pomóż mi!... Dajcie te papiery! Podpiszę wszystko, co trzeba, tylko ratujcie ją!

– Ja... nigdy... nie pasowałam... do was... Jesteście dobrymi... dobrymi... ludźmi... ja...

– Kochamy cię, słyszysz?! Kochamy cię! Majka... błagam...

Uniosła powieki po raz ostatni.

– Dziękuję... – było tak ciche jak westchnienie.

Jej palce do tej pory zaciśnięte na jego dłoni nagle zwolniły uścisk.

– Proszę cię, nie... – wyszeptał.

Ale ona już tego szeptu nie słyszała...

Ciąg dalszy w tomie III, *Błękitne Sny*  
5 marca 2017



Copyright © by Katarzyna Michalak

Koncepcja okładki  
Katarzyna Michalak

Opracowanie graficzne okładki  
Magdalena Zawadzka

Fotografia na okładce  
Klaudia Rataj-Sopyłło

Opracowanie tekstu  
DreamTeam

ISBN 978-83-240-4645-4



Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink



[woblink.com](http://woblink.com)

